

Alexis Ragougneau



KRYMINAL

MADONNA Z NOTRE-DAME



Alexis
Ragougneau

MADONNA Z NOTRE-DAME

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Mačkowiak



Tytuł oryginału:
LA MADONE DE NOTRE-DAME

Copyright © Editions Viviane Hamy, 2014
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Kula

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Magdalena Bargłowska, Iwona Wyrwiz

ISBN: 978-83-7999-567-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Poniedziałek

Wtorek

Środa

Czwartek

Piątek

Przypisy

Akcja powieści rozgrywa się głównie w paryskiej katedrze Notre-Dame, toteż opisane tu miejsca są znane zarówno częstym bywalcom świątyni, jak i tym, którzy mieli okazję ją zwiedzać.

Fikcyjne są natomiast wszystkie wydarzenia i bohaterowie książki.

Poniedziałek

– Gérard, alarm bombowy. W obejściu chóru. Tym razem sprawa jest poważna, to ostra sztuka.

Dyżurny porządkowy, trzymając w ręce ciężki pęk kluczy, oparł się o framugę drzwi i obserwował zakrystiana, który otwierał kolejno szafy i szafki w zakrystii, wyciągał z nich ścielki, gąbki i środki do czyszczenia sreber, raz po raz mamrocząc pod nosem oryginalne przekleństwa świadczące o dużej pomysłowości.

– Gérardzie, slyszaleś, co powiedzialem? Naprawde powinienes tam isc, rzucic na to okiem. Pracuje w tym fachu od pietnastu lat, ale czego takiego jeszcze nie widzialem. Wystarczy, zeby wysadzić cala katedre.

Gérard przerwał szperanie po szafkach i raczył wreszcie zwrócić uwagę na porządkowego, który zawiesił pęk kluczy na zwykłym gwoździu wbitym w boazerię.

– Skoro chcesz, to tam pójdę, ale za chwilę. Może być? Zadowolony?

– Co się z tobą dziś dzieje? Nie masz już czasu na to, co naprawdę ważne?

– Nie zwracaj mi dupy. Pracuję tu od trzydziestu lat i rok w rok powtarza się ta sama historia: piętnastego sierpnia robią mi pieprznik w całej zakrystii, a następnego dnia nie mogę niczego znaleźć. Marnuję dwie godziny, żeby wszystko uporządkować. A przecież to takie proste. Przychodzą, wkładają ornaty, idą na procesję, a potem zdejmują ornaty i cześć, do przyszłego roku... I po co grzebią mi po szafach?

– Gérard, lepiej powiedz, co ci zginęło.

– Rękawiczki. Pudełko z rękawiczkami do sreber. Bez rękawiczek zniszczę sobie ręce tymi piekielnymi środkami...

– Pomóc ci szukać? Przykro mi, rozumiem, że masz tego dość.

– Nie twoja wina, o, już znalazłem. Ale na miłość boską, nie tak trudno odłożyć rzeczy na miejsce...

Porządkowy poszperał w kieszeni, wrzucił monetę do automatu i wybrał przycisk kawy. Skiniął zakrystianowi ręką i z parującym kubeczką ruszył w głąb katedry. Gérard dogonił go w korytarzu.

– Powiedz w końcu, co z tą bombą... Myślisz, że warto zwracać sobie głowę?

– Daję słowo, ma wszystko jak należy: i tik-tak, i minutnik i laski dynamitu.

– Dobrze, zaraz tam pójdę, na pewno przed mszą o dziewiątej. Może jeszcze tam będzie. Mówiłeś, że gdzie siedzi ta twoja bomba?

– Pod chórem, przed kaplicą Matki Boskiej Bolesnej. Zauważysz, nie sposób przeoczyć.

Nawa jak co dnia powoli zaczynała wypełniać się turystami. Między ósmą a dziewiątą zwykle dominowali tu Azjaci – Notre-Dame stanowiła pierwszy punkt programu zwiedzania, zgodnie z którym w ciągu jednego dnia mieli jeszcze trafić do Luwru, na Montmartre, na wieżę Eiffla, do opery i sklepów przy bulwarze Haussmanna.

Gérard popychał wózek przeładowany kartonowymi pudłami i zatrzymywał się przy każdej bocznej kaplicy. Wprawnym ruchem nacinał tekturowe pudełko na bokach, potem unosił górną

część, a leżące wewnątrz świece z wizerunkiem Matki Boskiej wstawiał do odpowiednich przegródek stojaków. Nad świecami umieszczono tabliczki, na których w kilku językach błyszczącymi literami napisano: „Ofiara za świeczkę co laska, zalecana kwota: 5 euro”. Potem równie znużonym gestem zakrystian usuwał ogarki ze świeczników, w których poprzedniego dnia z upływem godzin wypaliły się ich setki. Teraz trzeba było zrobić miejsce dla nowych ofiar, modlitw i pełnych nadziei błagań kierowanych do Marii Panny. W ciągu dnia inny pracownik przychodził opróżnić wypełnione monetami i banknotami skarbonki, których zawartość trafiała do zabezpieczonych płóciennych worków. Takie stojaki na świece znajdowały się w całej katedrze, rozmieszczono je w strategicznych punktach – u stóp figur, pod krucyfikami, w kaplicach, gdzie wierni mogli modlić się w skupieniu. Westchnął świadom, że zapowiada się ciężki poranek. W takich chwilach perspektywa piętnastu lat dzielących go od emerytury jawiła mu się jako długa droga, na której niczym wyboje zalegają dziesiątki tysięcy kartonowych pudeł pełnych świec z wizerunkiem Marii Panny.

Gérard westchnął i ruszył w dalszą drogę. Jak każdego dnia od wielu lat pani Siuśka siedziała niezmiennie na tym samym krześle przy figurze Matki Boskiej z Dzieciątkiem pod filarem, niezmiennie w tym samym słomkowym kapeluszu zdobionym czerwonymi plastikowymi kwiatami i rzuciła mu niezmiennie spłoszone spojrzenie, rozchyłając usta, żeby się do niego zwrócić. I jak przez wszystkie dni od lat pani Siuśka niezmiennie odwróciła głowę, czyniąc znak krzyża, który zaczynał i kończył tę rozmowę bez słów. Przy odrobinie szczęścia da Gérardowi dokończyć poranny obchód. A potem niezmiennie stara wariatka zaśnie i zsika się pod siebie, a on będzie musiał przyjść ze ścierką, żeby zmyć to świństwo z posadzki.

Idąc dalej, przywitał się z dwiema sprzątaczkami, które kończyły zamiatanie północnego transeptu, potem uciszył grupę Chińczyków zakłócających spokój swoim gdaaniem, którego nie zagłuszały o tej wczesnej porze żadne szmery. Popychając przed sobą wózek, wszedł następnie na białą-czarną posadzkę obejścia chóru. Wtedy właśnie przypomniał sobie o swoim koledze, porządkowym. I zaraz ją zobaczył. A właściwie dostrzegł jej kształt w panującym półmroku.

Bomba naprawdę tu była, w głębi obejścia chóru, absolutnie nieruchoma, sama, jakby ostrożnie przysiadła na ławce na wprost kaplicy Matki Boskiej Bolesnej. Gérard podszedł bliżej i zaczął opróżniać najbliższe rzędy świecznika. Nieliczne świece zapalone przez wiernych, którzy o tej wczesnej porze odwiedzili świątynię, dawały więcej cienia niż światła, toteż ujrzał ledwie zarys sylwetki, a nie ciało, i profil, a nie twarz. Miała na sobie krótką białą sukienkę z tkaniny tak lekkiej, że podkreślała każdą krągłość figury, każdy ruch ciała. Jej włosy – czarne, lśniące – spływały po szyi i ramionach jak jedwabna rzeka. Dłonie, które złożyła do modlitwy w dziecięcym geście, opierały się o gołe uda. Stopy, grzecznie przytulone do siebie pod ławką jak nogi zdyscyplinowanej uczennicy, tkwiły w czółenkach na wysokim obcasie – białych lakierkach, które przyciągały spojrzenie i podkreślały zgrabne łydki i szczupłe kostki.

Wpatrzony w tę cudowną sylwetkę Gérard na krótką chwilę zapomniał o pełnych świec pudłach, o wózku, o wszystkich zupełnie niepotrzebnych kłopotach i monotonii pracy zakrystiana. Ale w zaurczenia wyrwały go trzaski radia, które nosił przy pasku, a które teraz do niego gadało.

– Porządkowy do zakrystiana... Gérard?... Gérard, słyszysz mnie?

– Tak słyszę. Czego chcesz?

– Widziałeś ją?

– Właśnie przy niej jestem.

– Dalej tam jest?

– Owszem. Grzeczna jak obrazek

– I co?

– Bomba w każdym calu... Miałaś rację.

Wsunął walkie-talkie za pas, kiedy brzmiał w nim jeszcze śmiech porządkowego, a potem jakby z żalem dokończył czyszczenie świecznika. Za jego plecami na chór wchodzili już pierwsi wierni. Do mszy o dziewiątej zostało kilka minut. Musiał przygotować potrzebne naczynia liturgiczne. Tego poranka mszę odprawić miał ojciec Kern, a ojciec Kern nie tolerował najmniejszych opóźnień.

Wkrótce znów nadarzyła mu się okazja, by zajrzeć do obejścia chóru. Zaciął się automat sprzedający medaliki z napisem *Ave Maria Gratia Plena* i korpulentna amerykańska turystka z uporem pastwiła się nad przy ciskiem zwrotu pieniędzy. Na chórze wszystko przebiegało zgodnie z porządkiem mszy. Ojciec Kern metalicznym władczym głosem zwracał się do wiernych w kazaniu, wymuszając na obecnych pełną skupienia ciszę. Kiedy Gérard podniósł kapę dystrybutora medalików, a zablokowane monety zaczęły spadać jedna po drugiej na dno skarbonki, pozwolił sobie zerknąć na ubraną na białą młodą kobietę. Wciąż była w tym samym miejscu, nie ruszyła się, jej dłonie nadal leżały splecione na białych udach, a pantofelki stały grzecznie przytulone do siebie. Słońce, które było coraz wyżej, padało prosto na jedną z kaplic i przez witraż wschodni muskało już delikatną jak porcelana twarz kobiety, kładąc się na niej czerwoną i niebieską poświatą niczym pędzlem Rafaela na twarzy Madonny. Trwała w bezruchu na tej ławce przeznaczanej do modlitwy, chroniona liną, która oddzielała ją od zwiedzających i upodobniała do świętych relikwii. Jej spojrzenie, zwrócone na figurę Matki Boskiej Bolesnej, było zdumiewająco puste.

Gérard zamknął automat z medalikami i niepewnym krokiem ruszył w stronę młodej kobiety w bieli, ale amerykańska turystka go wyprzedziła. Wyjęła z torebki banknot, wsunęła go do automatu, potem wzięła cztery świeczki i ustawiła je na świeczniku, kolejno zapalając. Ich migotliwy blask wystarczając dobrze oświetlił twarz madonny.

Turystka przeżegnała się i wolno zbliżyła się do ławki. Szeptem, z silnym obcym akcentem, zapytała młodą kobietę w bieli, czy mogłaby usiąść obok niej, żeby się pomodlić. Jednak ta w bieli nie skinęła nawet głową, wciąż tak samo nieruchoma, z oczyma wpatrzonymi w Matkę Boską Bolesną, jakby ta figura miała na nią magnetyczny wpływ. Amerykanka ponowiła grzecznościowe pytanie, ponieważ jednak i tym razem nie uzyskała odpowiedzi, rozsiadła się na ławce, która lekko zaskrzyphiała pod jej okazałym ciężarem. I wtedy w zwolnionym tempie biała madonna skinęła głową. Jej broda dotknęła klatki piersiowej, a potem bardzo łagodnie, niemal wdzięcznie, całe jej ciało pochyliło się do przodu i osunęło na szachownicę posadzki.

Wtedy gruba Amerykanka przeraźliwie wrzasnęła.

– Twoja klientka na pewno skręciła sobie kark, kiedy zeszywnienie pośmiertne zaczęło ustępować. Do tego czasu trzymała się grzecznie i sztywno na ławce.

Lekarz sądowy ściągnął lateksową rękawiczkę i podrapał się po głowie, a potem dodał:

– Mam czekać na prokuratora czy zacząć od razu?

W odpowiedzi Landard wyjął z kieszeni kurtki paczkę gitanes'ów, wsunął papierosa do ust, rozejrzał się wokół i postanowił na razie nie palić.

– Daj jej chwilę na przejście przez dziedziniec. Kochane biedactwo nie przywykło chyba do chodzenia.

– Czy li sprawdziłeś już, kto ma dyżur?

– Owszem, sprawdziłem. Mała Mistinguett, ta...

– Kto taki?

– Ta mała blondyneczka w okularach... Kojarzysz, ma całkiem niezłe nogi...

– Mówisz o Kauffmann?

– O właśnie, Kauffmann...

– Ładna, zimna jak ostre noża, a na dokładkę drętwa jak posąg Temidy. Żadnemu z tych złotoustych podrywaczy z pałacu nigdy nie udało się wyciągnąć jej na drinka.

– Myślisz, że woli kobietki?

– Bo ja wiem... Za to doskonale zna każdą sprawę, którą prowadzi. I rzadko zdarza jej się spóźnić.

Jakby na potwierdzenie tych słów lekarza sądowego w obejściu chóru rozległ się odgłos sztychów pewnych kroków. Młoda kobieta minęła grupkę ubranych w białe kombinezony techników śledczych, którzy czekali na przybycie prokuratora, by zacząć pracę, i skierowała się w stronę płacht osłaniających miejsce zbrodni.

– Doktorze... komendancie Landard... Witam panów, Claire Kauffmann, zastępca prokuratora. Jak to wygląda?

Lekarz wsunął dłoń w rękawiczkę.

– Bardzo czysto, powiedziałbym, że za bardzo. Jeżeli pani chce, możemy od razu to sobie obejrzeć.

Ciało leżało w ostrym świetle reflektorów ustawionych przez ekipę techniczną. Claire Kauffmann wprawnym gestem przytrzymała skraj spódnicy, żeby przykucnąć przy zwłokach. Jej spojrzenie zatrzymało się na szyi denatki.

– Udušenje?

Lekarz także przykucnął.

– Tak ślady są dość wyraźne. Poza tym górna warga jest lekko uniesiona, a na przedramionach widać krwaki, proszę spojrzeć. Strażak, który badał ją pierwszy, natychmiast zwrócił na nie uwagę. To on około dziesiątej wezwał policję.

Pani prokurator zwróciła się do Landarda, który stał nieco dalej:

– To nie ktoś stąd was wezwał?

– Myśleli, że zasłabła. A w przypadku zasłabnięcia wzywają strażaków.

– Znamy jej tożsamość?

– Nie miała ani torebki ani dokumentów, ani telefonu komórkowego. Zupełnie nic.

– Dziwny strój do kościoła. Rzucający się w oczy i krótki.

– Gdyby wszystkie dziewczyny ubierały się tak na mszę, francuskie kościoły pęłalyby w szwach. Tylu parafian by przychodziło...

– Parafian pana pokroju, komendancie?

Landard wcisnął ręce do kieszeni kurtki. Ta cała prokurator nawet nie rzączyła na niego spojrzeć. Odwróciła się od oficera, jakby ich rozmowę uważała za zakończoną, i podeszła do lekarza sądowego.

– Czas zgonu, doktorze?

– Zaraz zmierzę jej temperaturę i podam pani przybliżoną godzinę śmierci.

Zostawwszy lekarza z termometrem i ofiarą, Claire Kauffmann i komendant Landard wrócili do obejścia chóru, gdzie czekał na nich porucznik Gombrowicz. Landard, który nie mógł już wytrzymać, wyjął jednorazową zapalniczkę i potrząsnął nią, zanim zapalił trzymanego nadal w ustach papierosa. Głęboko się zaciągnął i wypuścił dym przez nozdrza, a potem pytająco spojrzął na Gombrowicza, który sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po notes i odczytał pierwsze strony pełne sprzecznych słów, znaków zapytania, niezadanych rysunków i przekreśleń.

– W skrócie sytuacja wygląda tak dziś rano, tuż przed dziesiątą, dziewczyna, która siedziała w ławce dla modlących się, nagle upadła na posadzkę. Katedra powiadomiła strażaków, którzy dotarli na miejsce w ciągu pięciu minut i stwierdzili zgon.

Claire Kauffmann przerwała Gombrowiczowi:

– Ta, jak pan to ujął, „katedra”, to ktoś konkretny?

– O ile mi wiadomo, ci tam.

Młody porucznik spojrział na grupkę ludzi czekających w drugim końcu obejścia, tuż przy drzwiach zakrystii: dwóch księży, z których jeden był jeszcze w szatach liturgicznych, i stojącego między nimi mężczyznę w jasnoniebieskiej koszuli z krótkim rękawem. Gombrowicz skinął na tego ostatniego.

– To zakrystian, który podniósł zmarłą.

Gérard musiał podać nazwisko i funkcję, a następnie odpowiedzieć na lawinę pytań prokuratora.

– To pan znalazł dziś rano ofiarę?

– Ja.

– Kiedy upadła na posadzkę?

– Tak

– I to pan wezwał strażaków?

– Nie, zrobił to ojciec Kern.

– Ojciec Kern to ten wysoki łysy czy niski brunet?

– Niski brunet. To on odprawiał mszę, kiedy dziewczyna w bieli spadła z ławki. Jakaś amerykańska turystka zaczęła strasznie krzyczeć, więc Kern przerwał nabożeństwo i przyszedł sprawdzić, co się stało.

– Czy widział pan wcześniej tę kobietę w bieli?

– Była tu od dłuższego czasu.

– Zwrócił pan na nią uwagę?

Gérard wcisnął ręce do kieszeni i spuścił głowę.

– Znaczący... była ubrana tak... jak by to powiedzieć?

– Wyzywająco? To pan miał na myśli?

– Owszem, można to tak ująć. Latem widzimy tu dużo krótkich spódniczek i już dawno przestaliśmy z tym walczyć. Gdybyśmy mieli nie wpuszczać do kościoła wszystkich krótko ubranych dziewczyn, nie mielibyśmy czasu zając się niczym innym.

– Rozumiem.

– Czasem zdarzają się takie, które przychodzą w górze od bikini. Te odprawiamy, żeby się ubrały. W końcu wszystko ma swoje granice, nawet w upały.

– Oczywiście. Nie można dopuścić, żeby któryś z parafian w typie komendanta Landarda gwałtownie się rozpalil na środku katedry, prawda?...

Zakrystian spojrział pytająco na Landarda, ale pani prokurator już zadawała następne pytanie:

– Czy widział pan, jakta kobieta w bieli wchodzi do kościoła? Albo jak siada na ławce?

– Nie.

– Czy słyszał pan, by ktoś z obsługi katedry widział ją wchodzącą albo siadającą? A może ktoś jej towarzyszył?

– Nie wiem.

Gombrowicz włączył się, żeby uzupełnić tę odpowiedź.

– Porządkowy, który pełnił służbę, powiedział mi, że także zwrócił na nią uwagę. On również nie widział, jak wchodziła, i nie zauważył, by ktoś jej towarzyszył.

– I sądzi pan, że siedziała tu od dawna?

Zakrystian wyglądał na zakłopotanego.

– Przypuszczam, że od dość dawna.

– Czy mógłby pan określić to trochę dokładniej?

– Od wczesnego ranka. Powiedziałbym, że pojawiła się tuż po otwarciu.

– O której otwieracie katedrę?

– O ósmej.

– Proszę?

– Katedra jest otwarta przez cały rok od ósmej rano. Co w tym dziwnego?

– Chce mi pan powiedzieć, że ta biedna dziewczyna przez prawie dwie godziny tkwiła z szeroko otwartymi oczyma na ławce, pomiędzy turystami i obsługą, i nikt nie zauważył, że jest martwa?

– Bardzo możliwe.

– Bardzo możliwe? Jak to: bardzo możliwe?

– Proszę pani, musi pani zrozumieć, że wchodzi tu średnio pięćdziesiąt tysięcy osób dziennie. Nie możemy zapewnić, że za każdym turystą będzie chodził ochroniarz.

– Oczywiście. Jesteście zbyt zajęci polowaniem na bikini. Ale przecież i ta była w mini, ktoś powinien ją zauważyć.

Zakrystian znów spojrzął na Landarda. Claire Kauffmann odesłała Gérarda do zakrystii, prosząc, by pozostał do dyspozycji wymiaru sprawiedliwości. A potem zwróciła się do dwóch oficerów:

– A co z tą turystką? Z Amerykanką? Gdzie teraz jest? Można z nią pomówić?

Landard dopalał papierosa i zdawał się być myślami daleko od katedry. Gombrowicz, który wodził czubkiem buta po konturze czarnej kamiennej płyty, dopiero po chwili odpowiedział na to pytanie:

– Wyszła.

– Wyszła? Co to ma znaczyć?

– Zaraz po przybyciu straży pożarnej katedra zdecydowała się ewakuować wszystkich zgromadzonych tu turystów i wiernych. No i Amerykanka poszła w miasto z całą resztą.

Pani prokurator podniosła głos lekko zirytowana.

– Katedra? No jasne... Kto to jest ta katedra?

– Katedra to ja.

Głos, który wypowiedział te słowa, należał do wyższego i starszego z dwóch księży stojących kilka metrów dalej. Stary człowiek o łysej głowie podszedł do Claire Kauffmann sztywnym krokiem. Był ubrany w elegancki czarny garnitur, a jedyny jasny akcent jego stroju stanowiła biała koloratka. Stanąwszy obok młodej pani prokurator, którą przewyższał o ponad trzydzieści centymetrów, pochylał nad nią wychudłą twarz ascety o policzkach pokrytych starannie przyciętym srebrzystym zarostem.

– Ksiądz de Bracy, rektor katedry Notre-Dame. Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

Prokurator przedstawiła się, podając nazwisko i funkcję. Prałata chyba zaskoczyło, że osoba o tak młodym wyglądzie pełni tak odpowiedzialną funkcję.

– Proszę pani, prosiłem już panów z policji, których zresztą bardzo cenimy, by zechciano informować nas... że się tak wyrażę... w czasie rzeczywistym o postępach śledztwa. Nasz arcybiskup przebywa obecnie na Filipinach, ale skontaktowałem się z nim dziś rano i poinformowałem o tym godnym ubolewania wypadku...

– Proszę pana, nie ma tu mowy o wypadku, ale o zabójstwie.

– Proszę księdza.

– A co się tyczy śledztwa, proszę księdza, już wam się udało je utrudnić, każąc ewakuować setki potencjalnych świadków, zanim na miejsce dotarli śledczy...

Prałat wyraźnie się obruszył.

– Pani prokurator, do Notre-Dame przychodzi ponad pięćdziesiąt tysięcy osób dziennie. Kiedy poinformowano mnie, że w murach świątyni ktoś zmarł, uznałem za właściwe nie wystawiać ciała na widowisko hordzie Azjatów uzbrojonych w kamery i aparaty fotograficzne. To miejsce,

szanowna pani, służy modlitwie i skupieniu. Oczywiście to także zabytek architektoniczny interesujący turystów. Proszę mi wierzyć, że czasami nad tym ubolewamy. Natomiast ta świątynia z pewnością nie jest i nigdy nie będzie sceną makabrycznych widowisk, które po chwili wszyscy mogliby oglądać w Internecie. Młoda damo, chciałbym, aby pani zrozumiała, że miejsce, w którym pani przebywa, to nie jakaś opuszczona fabryka, gdzie odnaleziono zwłoki narkomana albo prostytutki. Rozumiemy się?

Claire Kauffmann patrzyła na prałata, jakby odebrała jej mowę. A staruszek stwierdziwszy, że osiągnął pożądany efekt, nieco złagodził ton.

– Zechce pani łaskawie podać mi nazwisko sędziego śledczego, który będzie prowadził tę sprawę. – Odwrócił się do Landarda i Gombrowicza, by uściśnąć im dłonie po męsku, ale serdecznie. – Do widzenia panom. Liczę, że postaracie się, żeby katedra szybko została otwarta, a dziennikarze w miarę możliwości trzymali się z dala od nas. Katedra i tak jest już obiektem licznych ataków, nie należy znów wydawać jej na pastwę tej części prasy, która jest nam wroga. Oczywiście pozostaję do panów dyspozycji, kiedy tylko będzie tego wymagało dobro śledztwa, i uczynię co w mojej mocy, aby ułatwić wam pracę. Powodzenia, komendancie. Będzie pan tak miły i zechce powstrzymać się od palenia w katedrze?

Ojciec de Bracy odszedł szybkim zdecydowanym krokiem, równie sztywny i pełen godności jak wówczas, gdy się do nich zbliżał, a ojciec Kern, który czekał na niego w drzwiach zakrystii, podążył w ślad za nim. Landard wyjął peta z ust i utopił go w najbliższej kąpielnicy. Gombrowicz dołączył do niego, uśmiechając się pod nosem.

– Widziałeś, jak ustawił naszą pannicę prokurator?

Landard sięgnął po paczkę gitanes'ów i już po chwili zapalił kolejnego.

– A co myślisz o tym starym?

– Trochę podobny do tego aktora, wiesz, tego wysokiego, który grał w westernach...

– Do Johna Wayne'a?

– Właśnie, do Johna Wayne'a.

– Skoro tak mówisz... John Wayne w sutannie. Brodaty i łysy.

– Mój kuzyn ma piętnastoletniego doga niemieckiego. Wygląda, wypisz wymaluj, jak ten księżulo.

– Twój kuzyn? Ten, który handluje gablotami przy porte de Bagnolet?

– Aha.

– Gombrowicz, chodzisz czasami na mszę?

– Ja? Nie, a dlaczego?

Znów pojawił się lekarz sądowy. Podszedł do pani prokurator i skinął na obu oficerów policji. Na jego twarzy malowało się zmieszanie.

– Tak na oko śmierć nastąpiła między dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą. Bardzo możliwe, że ciało zostało przeniesione po śmierci. Jest nadal dość sztywne.

– Czyli została zabita gdzieś indziej, a następnie przeniesiona do katedry?

– Nie jestem jeszcze pewien, czy zabito ją tu czy w innym miejscu. Mam nadzieję, że po sekcji będę w stanie powiedzieć coś więcej, pani prokurator.

– Tak czy inaczej, przesiedziała noc na tej ławce?

– To najbardziej prawdopodobna hipoteza.

Prokurator zwróciła się do Gombrowicza:

– Czy jest tu stróż?

Młody porucznik przejrzał notatkę, zanim odpowiedział:

- Mieszka na parterze prezbiterium. Nic nie widział ani nie słyszał. Spał jak suseł.
- Nie robi obchodu katedry? Mam na myśli nocny obchód.
- Nigdy.
- Dlaczego? Pytał pan o to?
- Oczywiście, pani prokurator.
- I co?
- Po co, skoro w nocy katedra jest zamknięta? Takiej udzielono mi odpowiedzi.
- Rozumiem. A dziś rano nikt nie zauważył niczego dziwnego, kiedy otwierano świątynię? Dyżurny porządkowy, zakrystian, księża, że nie wspomnę o setkach turystów, którzy mijali ją przez te dwie godziny? Nikt nie zauważył, że jest martwa?
- Setki? Podejrzewam, że raczej tysiące. Zapisałem tu gdzieś, że przez katedrę przewija się średnio... chwileczkę...
- Tak poruczniku, wiem, pięćdziesiąt tysięcy osób dziennie. Dobrze. Komendantcie Landard, bezzwłocznie podejmuje pan śledztwo. Damy do prasy zdjęcie ofiary. Proszę mnie natychmiast zawiadomić, jeśli dowie się pan czegoś o jej tożsamości. Doktorze, zajmie się pan przewiezieniem zwłok? Panowie, zostawiam was, za niespełna pięć minut muszę być w pałacu.
- Lekarz znów zdjął rękawiczkę i podrapał się po głowie.
- Coś jeszcze, doktorze?
- Owszem... Przed chwilą, kiedy mierzyłem jej temperaturę, zauważyłem pewien szczegół, który... prawdę mówiąc, trudno to nazwać szczegółem.
- Tylko proszę mi nie mówić, że doznała przemocy seksualnej?! Tu? W katedrze?
- W pewnym sensie wręcz przeciwnie...
- Co to znaczy?
- Otóż... pani prokurator, jej wagina została zalepiona woskiem.
- Czy mógłby pan powtórzyć?
- Po śmierci zalano jej waginę gorącym woskiem. A dokładniej, pani prokurator, woskiem ze świecy.

Landard był głodny. Landard się nudził. Miejsca zbrodni nudziły go i męczyły jak nic na świecie. Nie znosił tych hord techników i fotografów w nieskazitelnie białych kombinezonach. Musiał powstrzymać się od palenia, powstrzymać się od chodzenia, powstrzymać się od kaszlu, brakowało tylko, żeby musiał powstrzymać się od oddychania. W ciągu dwudziestu dwóch lat pracy w Brygadzie Kryminalnej zdążył dużo zobaczyć i wiele się nauczył. Owszem, w prostych przypadkach ci w białych kombinezonach okazywali się bardzo przydatni. Czasami praca śledczych sprowadzała się do czekania na wyniki analiz materiału pobranego na miejscu zbrodni i wyniki sekcji. Jeden włos, odcisk palca, ślad DNA i sprawa była zamknięta. Sędzia miał dowód, sędzia był zachwycony; rodziny ofiar także, ponieważ nauka dostarczyła im niepodważalnych dowodów, które kiedy winny był już pod kluczem, pozwalały im odbyć żałobę w obecności kamer telewizyjnych. Śledczy, ci prawdziwi, którzy ciężko pracowali w terenie, mogli wracać do domu, nawet nie wyciągnąwszy spluwy – oczywiście w przenośni. Fach tracił swój charakter, ginął.

Przed południem trzech innych oficerów z kryminalnej – trzech młodych poruczników wychowanych w tej samej szkole co Gombrowicz – przybyło w roli wsparcia z centrali. To był pięciominutowy spacer wolnym krokiem. Można by to nazwać śledztwem w sąsiedztwie. Trzeba było przesłuchać cały personel i duchownych z katedry, żeby umożliwić im powrót do

codziennych obowiązków. Zakrywanie, porządkowi, klucznik, sprzątaczkę, konserwatorzy, drukarz, sprzedawczy ni kart pocztowych i różańców, pracownicy wyprodukalni przewodników audio, przewodnicy wolontariusze, organisci, chórzysci, klerycy i oczywiscie księża – grono było liczne.

Kiedy prokurator wyszła, Landard polecił Gombrowiczowi zająć się przesłuchaniami, a sam wrócił, żeby przyjrzeć się ciału. Biedna dziewczyna leżała na posadzce fotografowana ze wszystkich stron. Czy ubrałaby się wczoraj w tak krótką sukienkę, gdyby przewidziała, co może ją spotkać?

Lekarz sądowy zapewnił go, że ciało zostanie zabrane w możliwie krótkim czasie. Dochodzenie z prawdziwego zdarzenia mogło się zacząć późnym popołudniem, kiedy białe kombinezony już się wyniosą, a Gombrowicz wstępnie ogarnie sytuację. Landard spojrział na zegarek – za dziesięć dwunasta; miał ponad dwie godziny, żeby wyskoczyć na obiad.

Po wyjściu z katedry skręcił w lewo, zostawiając za sobą potężną kolejkę turystów, którzy czekali przed zamkniętą teraz kratą. Ta kolejka wila się po dziedzińcu. Był poniedziałek, 16 sierpnia. Szczyt sezonu turystycznego. Mogli sobie czekać, katedra przy odrobinie szczęścia zostanie otwarta jutro. Tymczasem zamiast pięćdziesięciu tysięcy turystów, księży, nabożeństw i koncertów organowych w Notre-Dame rozpanoszyli się gliniarze z Brygady Kryminalnej z siedzibą przy quai des Orfèvres.

Przeszedł przez most Marie i skręcił do najbliższej knajpki. Mimo upału usiadł wewnątrz przy stoliku, który dawał mu doskonały widok na Notre-Dame. Zamówił tatarą z frytkami i piwo, rozparł się w fotelu i splótł ręce na brzuchu, nawiasem mówiąc – sporym.

Landard rozmyślał.

Po pierwsze, to, że trafił na prokuratora odrobinę nadgorliwego i pełnego inicjatywy, miała swoje dobre strony. Na przykład dziś, kiedy mała Kauffmann kucnęła przy zwłokach, on mógł spokojnie gapić się na jej nogi, stojąc sobie z rękami w kieszeniach i petem w zębach.

Zamówił drugie piwo.

Po drugie, to, że dostała mu się sprawa z takim ciałem jak dziś – młodej ładniutkiej dziewczyny, która nadal leżała na posadzce Notre-Dame – wcale nie było najgorszym początkiem dnia dla starego wyjadacza z kryminalnej. Przez tyle lat pracy naoglądał się już horrorów, i to o każdej porze dnia i nocy. Widział ludzkie ciała w najrozmaitszym stanie – rozkładające się, spalone, poćwiartowane, wyłowione z wody, kompletnie wykrwawione, nafaszerowane ołowiem, strzaskane kijem bejsbolowym albo żelaznym prętem, potraktowane kwasem, pocięte brzytwą, rozszarpane przez psy, nadjedzone przez szczury, poszatkowane pod kołami pociągu albo metra...

Kelner podał mu tatarą i Landard skorzystał z okazji, żeby zamówić trzecie piwo.

Ofiara z Notre-Dame, ubrana w śnieżnobiałą sukienkę, z gołymi nogami, miała w sobie coś podniecającego – rzecz jasna seksualnie – i to ohydne, a jednak nieodparto odczucie łączący komendanta ze wszystkimi mężczyznami, którzy ją widzieli, którzy fotografowali ją przez całe przedpołudnie, nie wyłączając księży. Był przekonany, że żaden nie patrzył na nią obojętnie. Równie istotny wydał mu się jednak moralny aspekt sprawy: otóż ta śliczna dziewczyna, pełna wdzięku, wyglądająca spokojnie jak Śpiąca Królewna, zagadkowo mobilizowała do działania, jakby jej śmierć musiała wzbudzić w każdym dobrym, szanującym się policjancie wolę wzięcia na siebie roli tego, który wymierzy sprawiedliwość i obetnie jaja łajdakowi odpowiedzialnemu za śmierć tej piękności.

Kelner zabrał dokładnie opróżniony talerz oficera. Landard tylko zerknął na kartę deserów, nie odmówił sobie jednakawy i kieliszeczka calvadosu.

Musiał przyznać, że trafić na mordercę bez wątpienia szalonego, a jednak ostrożnego, inteligentnego i działającego zgodnie z dokładnym planem, stanowiło z intelektualnego punktu

widzenia wyzwanie, które musiało wzbudzać wielkie zadowolenie. Bo przecież trzeba było ogromnej determinacji i woli, by stworzyć scenierię śmierci godną ezoterycznego thrillera: ofiara ubrana w biel, śliczna jak z obrazka, odnaleziona w sanktuarium Marii Panny, gdzie pozostawiono ją, nie wiedząc jaki kiedy, z błoną dziewiczą odtworzoną z wosku.

Kaznodzieja... Landard miał do czynienia z kaznodzieją... Z zabójcą, który pragnął przywrócić dziewictwo wszystkim kiso ubranym dziewczynom z Paryża i który urządził to widowisko, żeby wstrząsnąć ludźmi. Landard był głęboko przekonany, że morderca wróci na miejsce zbrodni. Nie zdoła się powstrzymać, zbyt mocno pragnie bowiem na własne oczy ujrzeć, jak na ludzkie dusze i umysły wpłynęło jego pierwsze pouczenie.

Kwadrans po drugiej zadowolony ze swej pracy Landard poprosił o rachunek i zszedł do toalety, żeby ulżyć pęcherzowi po sporej dawce piwa.

Katedra wyglądała jak monumentalny komisariat, po którym krążyli policjanci ubrani po cywilnemu, w mundury albo kombinezony. Nie chcąc przeszkadzać w pracy technikom, Gombrowicz i trzej śledczy zawładnęli nawą, którą podzieliłi na cztery pokoje przesłuchań. W głębi kościoła, w rzędach krzesel służących zwykle wiernym, czekali w komplecie pracownicy katedry. Każdy pracownik, każdy duchowny, każdy wolontariusz był pojedynczo wzywany przez policjantów i przesłuchiwany w sprawie porannych wydarzeń, a także wszystkich faktów, które mogłyby mieć jakiś związek z morderstwem tajemniczej dziewczyny w bieli. Widząc z dala ich opierające się na skraju wyplatanych krzesel zadki, pochylone plecy, usta poruszające się w szepcie i szyje wyciągnięte ku siedzącym na wprost ludziom, którzy słuchali ich w iście nabożnym skupieniu, można było pomyśleć, że to spowiedź, z tą jednak różnicą, że składali przysięganie nie kapłanom, lecz oficerom policji śledczej.

Po powrocie Landard zastał porucznika Gombrowicza w stanie takiego podniecenia, że zastanawiał się nawet, czy jego młody podwładny trochę sobie nie popił.

– Chyba robimy postępy. I to naprawdę znaczne. Wygląda na to, że wszystko rozegrało się wczoraj po południu. Zeznania są zgodne.

Landard zapalił Bóg wie którego gitanes'a i wypuścił dym pod sklepienie nawy. Szare smugi wiły się wokół siebie, zanim rozplynęły się w przesiąkniętym wonnościami powietrzu.

– Opowiadaj, Gombrowicz. Zamieniam się w słuch.

Otóż poprzedniego dnia pewien incydent zakłócił uroczystość Wniebowzięcia, a dokładniej procesję maryjną, gdy między Wyspami Świętego Ludwika i Cité przetaczał się nieprzerwany dziesięciotyśięczny strumień wiernych, a z głośników zamontowanych na czterech wynajętych samochodach płynęły dźwięki *Ave Maria*. Wtedy to doszło do krótkiej, ale gwałtownej sprzeczki między jednym ze stałych bywalców katedry a nieznaną w bieli. Na czele procesji, zaledwie kilka metrów od srebrnej figury Matki Boskiej niesionej przez sześciu rycerzy Grobu Bożego, na oczach zdumionego jego ekscelencji biskupa pomocniczego Rieux Le Molaya, duchowieństwa Notre-Dame oraz licznych świadków, wyglądający bardzo młodo kędzierzawy blondyn próbował wykluczyć z grona wiernych młodą kobietę, spychając ją na chodnik, wymachując krucyfiksem, a w końcu posługując się nim jako bronią, którą zamierzał uderzyć ją w twarz. Jeden z porządkowych katedry, niejaki Murad, musiał interweniować. Rozdzielił ich, pomógł wstać ofierze, a napastnika ostro skarcił i odprawił na koniec procesji.

Landard zgasił papierosa w najbliższej kropielnicy i odchrząknął. Nadszedł czas, by to on wkroczył na scenę.

– Ten biskup pomocniczy ...

- Rieux Le Molay?
- Można z nim pomówić?
- Wyjechał.
- Dokąd?
- Do Lourdes.
- Kiedy?
- Dziś wcześniej rano. Pociągiem.
- Kardynał u skośnookich, a biskup w Lourdes. Tutejsze szefostwo najwyraźniej wolało zwinąć manatki.
- Dziwi cię to? Zostawili cały ten bałagan na głowie starego rektora, żeby sam załatwił co najgorsze.
- Czy ten Murad też wyparował?
- Gombrowicz skinął na mężczyznę siedzącego w pierwszym rzędzie pracowników, człowieka o posturze potężnej kasy pancерnej, ubranego w sfatygowany sweter i za ciepłe na tę porę roku wełniane spodnie przewiązane w pasie sznurem, z którego zwisał potężny, liczący na oko co najmniej dwadzieścia sztuk pęk kluczy.
- Ty jesteś Murad?
- Tak, proszę pana.
- Byłeś tu dziś rano?
- Nie, zacząłem pracę o wpół do pierwszej, bo wczoraj późno wyszedłem.
- I co ci powiedziano, kiedy tu dziś przyszedłeś?
- Zaskoczyło mnie, że katedra jest zamknięta. Pomyślałem sobie: „Murad, coś tu się musiało stać”. Zadzwoeniłem do kolegi z porannej zmiany. Był jeszcze w środku, chociaż w zasadzie powinien mieć przerwę obiadową. To on mnie tu wpuścił. Był z nim policjant.
- Powiedziano ci, co się stało?
- Tak, dowiedziałem się, że w katedrze znaleziono dziewczynę.
- Murad, potwierdzasz, że wczoraj też pracowałeś?
- Tak, proszę pana. Od wpół do pierwszej do wpół do jedenastej wieczorem.
- I jak minął ten dzień?
- Wczoraj?
- Wczoraj. Spróbuj mi o tym dokładnie opowiedzieć.
- Piętnasty sierpnia i Boże Narodzenie to dla nas najtrudniejsze dni roku. We Wniebowzięcie za kwadrans pierwsza zaczyna się suma, za kwadrans czwarta nieszpory, a dziesięć po czwartej rusza procesja. Wyprowadzamy dużą srebrną figurę Matki Boskiej, wszyscy idą za nią. Nikt nie może zostać w katedrze, więc zawsze musimy przekonywać staruszki, które chciałyby poczełać wewnątrz, a my musimy przestrzegać poleceń rektora: katedra ma być pusta aż do powrotu procesji około szóstej wieczorem. Kiedy wszyscy już wyjdą, razem z kolegami zamykamy katedrę i dołączamy do procesji.
- W której części orszaku szedłeś?
- Na czele. Zawsze ustawiają mnie na czele, przy biskupie, księżach i figurze Matki Boskiej.
- Dlaczego właśnie ciebie?
- Bo inni ochroniarze nie są tak potężnie zbudowani. A jeśli zdarzają się jakieś problemy, to na ogół właśnie na początku.
- A jakie problemy mogą się zdarzyć podczas procesji?
- Bo ja wiem... ktoś mógłby zaatakować biskupa albo figurę Matki Boskiej.
- Tak sądzisz? Kto mógłby zrobić coś takiego?
- Nie wiem. Na przykład ludzie z Act Up.

- Z Act Up? Pedaly?
- No tak, podam przykład. Jakieś dziesięć dni temu urządzili tu sobie taką akcję: wpadli do katedry jak komandosi, żeby protestować przeciwko temu, co papież powiedział o gumach... Było dość ostro. Zlecieli się dziennikarze, były kamery, telewizja...
- Słowem, niezły burdel...
- Oj, tak!
- Powiedz mi jeszcze, Murad, wczoraj po południu, podczas procesji, też chyba doszło do drobnej awantury, co?
- Tak, to była przepychanka. Co roku zdarzają się takie incydenty. Zwykle biją się staruszki, po procesji każda chce wejść pierwsza do katedry.
- Te staruszki są bardzo pobożne?
- Najbardziej zależy im na tym, żeby znaleźć dobre miejsce siedzące.
- Ale ta wczorajsza przepychanka to nie staruszki.
- Nie, ci byli młodzi.
- W takim razie opowiedz mi, co dokładnie zaszło, Murad.
- Ten chłopak, wszyscy go tu znają, bo przychodzi od miesiący... Jest troszkę, jak by to powiedzieć...
- Trochę dziwny, tak?
- No właśnie, jakiś dziwny. Czasami można pomyśleć, że uważa Najświętszą Panienkę za swoją siostrę albo matkę.
- Rozumiem.
- Modli się i płacze u jej stóp, leży krzyżem na posadzce, fotografuje ją, próbuje dotykać, przynosi jej kwiaty... Co wieczór przed zamknięciem powtarza się to samo. Nie chce wyjść, mówi, że zostanie i będzie spał przy Matce Boskiej z Dzieciątkiem pod filarem.
- Która to rzeźba?
- Ta na prawo od głównego ołtarza. To ona widnieje na wszystkich pocztówkach, w przewodnikach turystycznych, na świecach...
- Na świecach też?
- Tak, tak, proszę zobaczyć.
- Murad przyniósł świecę z jednego ze stojaków.
- I ten młodzieniec rozkochany w Najświętszej Panience próbował obić komuś pysk podczas procesji? Komu?
- Dziewczyne w bieli, która szła obok.
- Obok kogo, Murad?
- No mówię, obok figury Matki Boskiej. Szła obok niej od początku procesji. Czasem z przodu, czasem z boku... Fakt, że w pewnym momencie zaczęła wszystkim przeszkadzać.
- Jakim wszystkim?
- Biskupowi, księżom, kawalerom... Wszystkim.
- A kim są ci kawalerowie?
- Kawalerowie Grobu Bożego to ci, którzy niosą srebrny posąg Najświętszej Panienki. Widzi pan, ona waży ze dwieście kilo.
- Dlaczego ta dziewczyna przeszkadzała twoim kawalerom?
- Bo była taka piękna i miała bardzo krótką sukienkę. W pewnej chwili Papa Smerf poprosił mnie nawet, żebym do niej podszedł i coś jej powiedział.
- Kto to jest Papa Smerf?
- Rektor. Nazywamy go tak między sobą, ale proszę mu o tym nie mówić.
- Czyli sam Papa Smerf powiedział, żebyś podszedł do tej małej w mini i poprosił, by

przeniosła się trochę dalej w procesji, bo kawalerowie, księża i biskup za bardzo się napalili? Tak?

Murad skwitował to pytanie uśmiechem.

– No i co ci powiedziała ta ślicznotka?

– Nie zdążyłem z nią pomówić, bo tamten już się na nią rzucił. Złapał ją za włosy, potrząsał nią, wymyślał jej od prostytutki, dziwek, gadał o Babilonie i tak bez końca! Że Matkę Boską trzeba zostawić w spokoju, że należy brać z niej przykład, bo to kobieta nad kobietami...

– I co wtedy zrobiłeś, Murad?

– Złapałem chłopaka za kołnierz i kolaniem przygniotłem go do ziemi. Potem zapytałem dziewczynę, czy nic jej nie jest i czy ma zamiar wezwać policję. Wargę jej lekko krwawiła.

– I co?

– Nie chciała wzywać policji. Tylko zapytała: „A co ty tu robisz, dlaczego pracujesz u tych ludzi?”.

– Co mogła mieć na myśli?

– Nie mam pojęcia.

Gombrowicz kręcił się nerwowo już od paru minut, mniej więcej odkąd Murad zaczął opowiadać o przepychance.

– Murad, powiedz mi, powtórz to, co nam powiedziałeś. Po jakimu mówiła ta dziewczyna?

– Do mnie? Oczywiście po arabsku.

Landard prychnął.

– Masz rację, Murad, a po jakimu mielibyście ze sobą rozmawiać? Ale pamiętaj, że jesteśmy we Francji. Co by było dalej?

– Potem powiedziałem temu chłopakowi, że nie chcę go widzieć do wieczora. Uciekł biegiem, ale wykrzyczał mi jeszcze, że świat się wali, że powinienem się wynieść do siebie.

– Jak sądzisz, co miał na myśli?

Murad spojrzał Landardowi prosto w oczy.

– Inspektorze, doskonale pan wie co!

Landard sięgnął do kieszeni, lecz znalazł w niej tylko pogniecioną pustą paczkę po papierosach.

– Dobrze, Murad. Co by było potem?

– Potem procesja weszła do katedry i zaczęła się uroczysta msza.

– A dziewczyna w bieli była na tej uroczystej mszy?

– W pierwszej ławce, trzymała nogę na nodze.

– Dobrze. Co dalej?

– Potem, po mszy, około ósmej wieczorem, poprosiliśmy wszystkich o opuszczenie katedry na czas rozwieszania płótna.

– Jakiego płótna?

– W letnie wieczory rozwieszamy w transepcie ogromny ekran, ponieważ o wpół do dziesiątej otwieramy katedrę na *Raduj się, Maryjo*.

– A cóż to takiego *Raduj się, Maryjo*?

– Film o Wniebowzięciu.

– Oczywiście, idiotyczne pytanie... A zatem o dwudziestej pierwszej trzydziści znów otworzyliście drzwi i ludzie weszli jak do kina.

– Owszem.

– I o której godzinie skończyło się *Raduj się, Maryjo*?

– Film trwa czterdzieści pięć minut. O wpół do jedenastej znów opróżniliśmy katedrę.

– Czy dziewczyna w bieli też przyszła na *Raduj się, Maryjo*?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Nie widziałeś jej?

- Nie.
- Po mszy już jej wczoraj nie widziałeś?
- Katedra była pełna. Ponad ty sięc osób.
- Jak to urządzenie w tym wnętrzu? Tak jak w kinie? Przy gaszacie światło?
- Zostaje tylko łagodne światło przy wejściu. Lamy i świece.
- A ludzie mogą swobodnie wchodzić i wychodzić?
- Owszem, robią, co chcą.
- I nigdy nie było żadnych problemów?
- Jakiego rodzaju problemów?
- Nie wiem, jakaś parka, która migdałi się w łacie, dzieciaki, które usiłują zostać tu na noc, żeby potem sikać do kroielnic...
- Bardzo rzadko. Zresztą po zamknięciu robimy obchód, żeby wszystko dokładnie sprawdzić.
- To mnóstwo pracy, Murad.
- Przecież mówiłem, że Boże Narodzenie i piętnasty sierpnia to najcięższe dni w roku.
- Przez te tłumy?
- Przez tłumy, wariatów, wariatki...
- A powiedz mi, gdzie mieszkasz, Murad?
- W Garges-lès-Gonesse. Dlaczego pan pyta?
- Kawał drogi, zwłaszcza kiedy trzeba wracać wieczorem.
- Jadę RER z Châtelet. A potem autobusem. Muszę dojść kawałek piechotą.
- Kiedy zamylasz katedrę, zdążasz jeszcze na autobus w Gonesse?
- Przeważnie spóźniam się na ostatni.
- I co wtedy?
- Spacer.
- Idziesz taki kawał drogi od dworca RER?
- Nie mam innego wyjścia.
- Nie masz samochodu?
- Nie stać mnie.
- O której docierasz do domu, jeżeli wychodzisz stąd o wpół do jedenastej albo o jedenastej?
- Murad milczał.
- Powiedz mi, jesteś pewien, że wczoraj wieczorem zrobiłeś obchód?
- Co to za pytanie, inspektorze?
- Murad, nie denerwuj się. Ja tylko pytam. Przecież po takim długim dniu jak wczoraj każdy chciałby jak najszybciej wrócić do domu i iść spać, prawda? Próbuję się postawić na twoim miejscu. Gdybym mógł zdążyć na autobus, to daję słowo, że długo bym się nie zastanawiał i nie robiłbym obchodu. Ostatni autobus w Gonesse to w końcu ważna sprawa!
- Inspektorze, przeprowadziłem wczoraj wieczorem obchód jak zawsze, kiedy to ja zamykam katedrę. Ma pan jeszcze jakieś pytania czy mogę już iść?
- Możesz wracać do domu.
- Czy ta dziewczyna, którą znaleziono rano, to ona? Dziewczyna w bieli, na którą wczoraj napadł ten wariat?
- Zgadłeś, Murad. Powinieneś wstąpić do policji.
- Porządkowy odszedł, podzwaniając kluczami w rytm kroków, i ten dźwięk słychać było, nawet kiedy Landard stracił go z oczu.
- Masz fajki, Gombrowicz?

Gombrowicz wyjął z kieszeni dzinsów paczkę cameli light i podsunął ją Landardowi, który wziął papierosa, skrzywił się i wsunął go do ust, a potem długo potrząsał zapalniczką, lecz nie

zdolał jej zapalić.

– Masz ogień, Gombrowicz?

– Nie. Przy pał od świeczki.

Landard podszedł do świecznika, wyciągnął świeczkę z wizerunkiem Matki Boskiej i przypalił papierosa. Zadumany stał w gęstniejących kłębach dymu. Nagle machnął ręką, jakby chciał uporządkować myśli, i spojrzął na Gombrowicza.

– Słuchaj, Gombrowicz... Chcesz się założyć, że ten Murad nie zrobił wczoraj wieczornego obchodu?

Kiedy ojciec Kern wracał do domu, huczało mu w głowie i czuł się potwornie zmęczony. Na placu przed katedrą, pomiędzy zdruzonymi czekaniem turystami, sprzedawcami wież Eiffła i romskimi żebraczkami, kobieta, którą porządkowi, kościelni i zakrystianie nazywali „panią Siusłą”, zdawała się drzemać na ławce w cieniu posągu Karola Wielkiego na koniu. Wcześniej rano staruszkę wyproszone na dwór, ponieważ rektor katedry zarządził ewakuację obecnych w świątyni. Wciąż mając przed oczyma młodą martwą kobietę, która leżała na posadzce, Kern mimowolnie popatrzył na niesamowity ukwiecony kapelusz starej dziwaczki. Przedtem widział, jak kołysał się nad hałaśliwym tłumem turystów i wiernych, popychany w kierunku wyjść awaryjnych, bezwolny jak źdźbło trawy na wietrze, rozpaczliwie usiłujący zawrócić pod prąd, gubiący po drodze plastikowe mały, aż wreszcie zniknął w wartkim nurcie przelewającym się przez portal Sądu Ostatecznego.

Kiedy ksiądz mijał staruszkę, niczym za sprawą czaru obudziła się z drzemki. Spojrzała na niego z niepokojem, jak zwykle bliska paniki, i skinęła mu nieśmiało. Kern uniósł rękę na pożegnanie i przy spieszył kroku. Nie dziś. Nie teraz. Musi poczekać, aż będzie zdolny wysłuchiwać opowieści o jej apokaliptycznych wizjach, o paranoidalnych rojeniach, o diabelskich napaściach, których często była świadkiem. Dziś nie miał też siły zachwycać się olśniewającymi ripostami, które mogła jej podszeptać tylko sama Matka Boska. Kern nie wiedział, jakie kręte ścieżki przywiodły panią Siusłą do tego krzesła w Notre-Dame, które stało zaledwie trzy metry od posągu Matki Boskiej z Dzieciątkiem, gdzie co rano przechodziła koić swe lęki. Jakich nieszczęść musiała doświadczyć, by niczym narkotyku potrzebować dobrotliwego spojrzenia tej marmurowej Madonny? Personel katedry nie wiedział niemal nic o tej starszej pani w kapeluszu z kwiatkami. Nie znano nawet jej nazwiska. Bardzo nieliczni byli księża, u których się spowiadała. Wiedzano tylko, że na jej dzieciństwie silne piętno odcisnął brutalny ojciec, że strach był nieodstępnym kompanem dziewczynki, więc z czasem zastąpiła go samotnością, aż wreszcie stopniowo pogrążyła się w umysłowej izolacji i coraz silniejszym uzależnieniu od religii, popadła w mutyzm nie do przezwyciężenia, choć raz po raz wydawało się, że próbuje się z niego wyrwać, nigdy sobie z tym nie poradziła i trudno było nawet z przekonaniem wpisać ją w krąg tego, co określa się straszonym słowem „szaleństwo”, o które część stałych bywalców katedry niewątpliwie się ocierała.

Od jedenastu lat ojciec Kern porzucił w sierpniu swoją parafię w Poissy, żeby zastępować udających się na wakacje księży z Notre-Dame, zdążył więc poznać zagubione dusze z katedry. Pod tym względem prawdopodobnie nic się tu nie zmieniło od średniowiecza – drzwi świątyni o każdej porze dnia stały otworem przed żywymi i rozbitkami, przed tymi, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca na brutalnym, przychylnym dla silnych świecie, gdzie rzucił ich przy padek narodzin, więc poszukując odrobiny wytchnienia, a może choćby złudzeń, przychodzili do tego ogromnego kościoła w sercu wyspy Cité. Była ich grupka. Co rano, tuż po otwarciu,

wchodzili do nawy, siadali na krzesła, które poprzedniego dnia opuścili, i pozostawali tam do wieczora obojętni na hordy turystów panoszących się w świątyni. Rozbitkowie zdawali się balansować na pograniczu dwóch światów, ich oczy błędziły w pustce albo całymi godzinami wpatrywały się w Matkę Boską, w Chrystusa lub świeczkę. Nikomu nie przyszłoby do głowy przeganiać ich z tych miejsc. Tylko czasami należało ich łagodnie uciszać, kiedy nawiązywali bezpośrednią rozmowę z Bogiem albo Marią i zachowywali się zbyt hałaśliwie. A od czasu do czasu trzeba było wymyć posadzkę pod ich krzesłami.

Tym razem ojciec Kern wracał do domu, a jego serce zupełnie wyjątkowo było – tak samo jak drzwi katedry – zamknięte na kilka najbliższych godzin.

W wagonie RER, jadąc w kierunku Poissy, starał się uporządkować myśli. Po pierwsze, musiał się uporać z prześladowającym go obrazem dziewczyny leżącej na posadzce, tragicznej i bezwstydnej, odnalezionej w chwili, gdy on wypowiedział pierwsze słowa *Salve Regina*.

A potem armia policjantów wtargnęła do świątyni z bronią u pasa, choć od niepamiętnych czasów wchodziło do niej w pokoju, pozostawiając oręż przed wejściem. Może to jednak było tylko złudzenie. Może ból i przemoc już dawno zakradły się w mury katedry. Może walka między ciemnością a światłem od zawsze toczyła się w tej budowlu pamiętającej długie wieki ludzkich dziejów. I może ta walka w rzeczywistości była tu bardziej zajadła niż na zewnątrz.

Tego popołudnia w katedrze młody śledczy z Brygady Kryminalnej przesłuchiwał go, podobnie jak wszystkich innych księży i cały personel. Kern musiał przypomnieć sobie wczorajszy dzień. Msze, tłumy, zgilek procesję i żar lejący się z nieba. Śpiewy, modły, powtarzane *Ave Maria*. Skupienie. Tłum i znowu upał. I tę młodą kobietę, piękną i wyzywającą, tak rzucającą się w oczy, promienną, o magnetycznej mocy, z pełną świadomością wodzącą na pokuszenie sześciu kawalerów Grobu Bożego, którzy otwierali procesję. Ubrani w trzyczęściowe garnitury, białe rękawiczki, okryci rycerskimi pelerynami ze szkarłatnym krzyżem jerozolimskim, pocili się w bezlitosnym słońcu, uginali pod ciężarem srebrnej figury Matki Boskiej. Oczy wychodziły im na wierzch. Były przekrwione. Czy jednak z wysiłku? Czy z bólu, jaki sprawiały wbijające się w ramiona drążki? A może od patrzenia na dziewczynę, która paradowała tuż przed nimi, może od irytującego stukania obcasów na asfalcie? A co powiedzieć o dwudziestu księżym, którzy szli za kawalerami? Spojrzenia spod oka, krótkie, przelotne, na których przyłapywał swych współbraci w sutannach, lustrowanie dziewczyny od stóp do głów, tak żeby bezwiednie pieścić ją wzrokiem i mimo liturgicznych szat muskać oczyma figurę, krągłość pośladków, linię nóg dziewczyny stąpającej po bruku równoległe do procesji w pantofelkach, których obcasy przyparowały o zawrót głowy. A co powiedzieć o biskupie pomocniczym jego ekscelencji Rieux Le Molayu? Idący między kawalerami a gromadą księży, doskonale widoczny dzięki mitrze i pastorałowi, które dominowały nad tłumem, uniesioną ręką raz po raz niezmiernie błogosławił wiernych. A czasami, kiedy jego palce, kreśląc znak krzyża, kończyły wędrowkę w powietrzu na prawo i już miały opaść, oczy – nie zawsze, ale jednak – lekko zwracały się za nimi, biegly nieco poza ramiona tego symbolicznego krzyża, który już rozplywał się w gorącym powietrzu, i wtedy te oczy, oczy biskupa, pieściły przez sekundę, przelotnie, cudowną białą sylwetkę, szczuple kostki, kształtne sprężyste łydki, smagle uda chowające się pod nierozsądnie krótką sukienką. Pokusa... Pokusa mężczyzny, który pragnie wyrwać się na niezauważalną krótką chwilę spod ciężkiej, wyszywanej złotem kapy.

Prawdę mówiąc, chyba cała wyspa Cité patrzyła na nią pożądliwie albo zazdrośnie. A może nawet cały Paryż? I jakby tego było mało, jeszcze ta burza na brzemienym w chmury niebie, jeszcze ta absurdalna awantura z młodym pobożnym blondynem – na pozór niegroźnym wariatem, który nagle stał się gwałtowny. Co się stało? I kim była ta dziewczyna? Następnego ranka znaleziono ją martwą. Co się naprawdę wydarzyło?

Oczywiście policja pytała go o incydent, do którego doszło podczas procesji. Kim był ten chłopak – blondyn o bladej anielskiej twarzy? Czy znał jego nazwisko? Czy od dawna przychodził do katedry? Czy już wcześniej zdarzały mu się agresywne zachowania? Czy kiedyś go spowiadał?

Na te pytania ojciec Kern mógł odpowiedzieć tylko wzruszeniem ramion. Tak zna tego młodego człowieka, ale jedynie z widzenia. Nie, nie wie, jak się nazywa. Nigdy nie zdarzyło mu się go spowiadać. A gdyby nawet, to kapłan nie ma obowiązku sprawdzać tożsamości grzesznika, który przyszedł błagać Boga o wybaczenie. Nie, o ile mu wiadomo, chłopak dotąd nie przejawiał agresji... Był jednym z nich. Z tych zagubionych z Notre-Dame, których znajome sylwetki co rano pojawiały się w rzędach krzesel.

Pewnego dnia właśnie podczas spowiedzi młoda wierna, z której oczu wycierało lekkie szaleństwo, przychodząca zawsze na mszę o ósmej rano, otworzyła torebkę i pokazała Kernowi na pół zardzewiały nóż do chleba. „Gdyby zaatakował mnie diabeł”, powiedziała. Ojciec Kern uznał, że nie należy uprzedzać o tym dyżurującego porządkowego, ponieważ uważał, że szatański atak jest wysoce nieprawdopodobny. Czy popełnił błąd? Czy zagubieni z Notre-Dame są tak szaleni, że mogą stanowić zagrożenie?

Snuł te rozmyślenia aż do progów prezbiterium. Dzwon jego parafii wybijał właśnie osiemnastą. Zanim zdążył zamknąć drzwi, zadzwonił telefon.

– François? Mówi de Bracy.

– Słucham?

– Już ksiądz wrócił?

– Tak

– Policja księdza przesłuchała?

– Owszem.

– O co pytali?

– Interesował ich incydent podczas wczorajszej procesji.

– Naturalnie. Wiązą go z makabrycznym odkryciem z dzisiejszego ranka. Doprawdy, to się może fatalnie odbić na naszym wizerunku. I ta biedna dziewczyna! Znał ją ksiądz? Bywała wcześniej w katedrze?

– Nie, nigdy jej nie widziałem. To znaczy... nigdy przed procesją piętnastego sierpnia.

– Ja też nie. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, co tam robiła w tym niestosownym stroju.

– Czy wiadomo, kiedy nastąpi otwarcie katedry?

– Przed chwilą rozmawiałem z komendantem Landardem. Pragnie, by było to możliwe już jutro. To doskonała nowina, choć pociąga za sobą ryzyko, że rano zwali się nam na kark horda dziennikarzy.

– Czy to nie za wcześnie? Może powinniśmy zacząć, aż policja przedstawi wstępne wnioski z dochodzenia albo sędzia śledczy podejmie konkretne decyzje?

– Rozumiem stanowisko księdza, jednak jestem zmuszony podjąć decyzję już teraz. Biorąc pod uwagę różnicę czasu między Paryżem a Manilą, nie skontaktuję się z arcybiskupem przed północą. Natomiast z jego ekscelencją Rieux Le Molayem od rana usiłuję się porozumieć, jednak od wyjazdu do Lourdes nie odbiera telefonu, odzywa się tylko jego poczta głosowa.

– Rozumiem. A zatem ksiądz rektor pragnie jak najszybciej otworzyć katedrę?

– Uważam, że im szybciej, tym lepiej. Wierni Matki Bożej domagają się wstępu do swego domu. Poza tym mam wrażenie, że policja chce wypróbować stare przekonanie, wedle którego morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

– Uważa ksiądz, że jeśli ten młody chłopak jest czemuś winien, to będzie kręcił się w okolicy?

– Nie wiem, François. W odróżnieniu od księdza nie posiadam tak głębokiej wiedzy o przestępcach. W tej chwili chciałbym po prostu uprzedzić księdza, że prawdopodobnie

świątynia zostanie otwarta jutro rano. Z Bogiem, François.

– Z Bogiem.

Kiedy odkładał słuchawkę, zauważył czerwone ślady na nadgarstkach. Spokojnie zdjął marynarkę, do której klapy przypięty był dyskretny krzyż rzymski, i dokładnie obejrzał przedramiona. Pręgi sięgały powyżej łokci. Wiedział, co to oznacza. Znow dopadła go choroba. Przez najbliższe dni będzie żył jak w oblężeniu, jego organizm stanie się polem walki, on zaś będzie musiał stoczyć kolejną bitwę, dopisać do długiej listy kolejny atak – jeden z wielu, którym musiał stawiać czoło od najmłodszych lat, rozmaite metody leczenia przyplacając przedwczesnym zahamowaniem wzrostu. Tak właśnie stał się tą ektoplazmą w sutannie mierzącą metr czterdzieści osiem i ważącą czterdzieści trzy kilogramy.

Wtorek

Kłęcząc przed wielkim Chrystusem na krzyżu wiszącym na południowej ścianie, Gombrowicz z rękami złożonymi pod brodą poruszał ustami w niemej modlitwie. Jednak głos, który słyszał, z pewnością nie był boski. Bo głos, który mówił do niego przez słuchawkę wciśniętą do ucha, należał do jego przełożonego z Brygady Kryminalnej komendanta Landarda.

– Nie przesadzaj, Gombrowicz. Wyglądasz jak dziewczynka podczas pierwszej komunii, brakuje ci tylko białych skarpetek

Gombrowicz uniósł ręce o kilka centymetrów i szeptał do mikrofonu przypiętego do mankietu koszuli.

– Zaczynają mnie boleć kolana. Jak oni wytrzymują, tak długo się nie ruszając? Obok mnie kłęczy jakaś stara bigotka, która modli się bez przerwy co najmniej od godziny. Można by pomyśleć, że to jeszcze jeden posąg.

Landard cmoknął.

– Może to też trup. Trać ją lekko, zobaczymy, czy nie padnie na posadzkę.

– Nic z tego. Mogę się założyć, że jej dziewictwo pozostało nienaruszone. Nie trzeba niczego zalepiać woskiem.

Tuż przed otwarciem Landard rozmieścił ludzi na stanowiskach. Poza Gombrowiczem, któremu wyznaczył miejsce przy portalu Świętej Anny, żeby mógł obserwować wejście, miał jeszcze trzech młodych poruczników o atletycznej posturze, którzy broń służbową ukryli w przymocowanych do pasa torbach i pilnowali nawy, udając albo wiernych, albo turystów bez kasy. W dość regularnych odstępach czasu przyłapywani na gorącym uczynku kieszonkowcy dotkliwie odczuwali skutki nietypowej koncentracji sił policyjnych w tym miejscu ulubionym przez różnego pokroju paryskich złodziejasków.

Landard za kwatere obrał sobie katedralną reżyserkę audio-wideo mieszczącą się nad zakrytą. Siedział przed konsolą, na której migotały światła, i mając walkie-talkie w zasięgu ręki, bawił się niczym król obserwujący każdy zakątek swojego państewka za pośrednictwem zainstalowanych w nawie kamer, zwykle wykorzystywanych do transmisji niedzielnej sumy w katolickiej stacji KTO. Obok siedział Murad, którego Landard niejako zarekwirował, by mieć przewodnika po tej mozaice ujęć i widoków Notre-Dame, które przesuwały się przed jego oczyma. Landard miał nadzieję, że Murad, jeśli tylko nadarzy się okazja, wskaże mu w gęstym tłumie anonimowych turystów jasnowłosego podejrzanego na któryś z ekranów kontrolnych reżyserki. Od wczesnego ranka policjanci czekali, a cała katedra wstrzymywała oddech, wsłuchana w wypełniający ją z wolna gwar, licząc, że pojawi się ten, którego cały personel Notre-Dame nazywał już „jasnowłosy aniołem”. Jeden z księży przyszedł, by odprawić dwie poranne msze, i zaskakująco źle, bo nieszczerze odegrał rolę, którą przecież ćwiczył od lat. Dyżurny zakrystian, porządkowi, obsługa turystów, przewodnicy wolontariusze, bigotki, a nawet turyści z drugiego końca świata – wszyscy zdawali się zachowywać jak roboty, jakby byli nieobecni duchem, i wszyscy wpatrywali się w punkt, od którego nie odrywał oczu także Gombrowicz – w portal Świętej Anny,

gdzie prędzej czy później powinien pojawić się główny podejrzany o okrutne morderstwo. Potem – wiadzano o tym ze źródeł policyjnych – miał paść w pułapkę zastawioną przez Brygadę Kryminalną. Tymczasem na dziedzińcu katedry ekipa France 3 Île-de-France rozstawiała sprzęt do relacji w południowym dzienniku, wkrótce pojawił się także wóz LCI.

– Landard do Gombrowicza... Landard do Gombrowicza...

– Słyszę cię, Landard...

– Wciąż cisza?

– Japończycy, Niemcy, znowu Japończycy...

– Cholera, gdzie on się podziewa?! Chłopak, musicie mieć oczy szeroko otwarte... Czuję, że ten gnój jest w pobliżu...

Siedząc w jednej z południowych kaplic przy nawie głównej, w odległości zaledwie kilku metrów od krzyża, pod którym Gombrowicz robił sobie powtórkę z katechizmu, ojciec Kern czekał. Cekał na tych wiernych – Francuzów czy cudzoziemców – którzy pragnęli pomówić z kapłanem. Przed kilku laty do kaplicy przeznaczonej do spowiedzi wstawiono dużą szklaną kabinę, by zarówno spowiednikowi, jak i penitentowi zapewnić spokój i poufność. Od tego czasu kłósa z katedry nazywali tę kaplicę „słojem”.

Siedząc w głębi słoja, ojciec Kern czekał, ale jak niemal wszyscy tego ranka czekał przede wszystkim na smukłego młodego blondyna o kręconych włosach i wyglądzie romantyka. Tego, który przedwczoraj chciał uderzyć krucyfiksem dziewczynę w bieli. Dziewczynę znaleziono martwą i wyglądało na to, że jasnowłosy anioł wpadł w tarapaty.

Siedząc przy stoliku spowiednika, na którym zwykł kłaść dwa słowniki, angielski i hiszpański, ojciec Kern czekał i czekał na noc, która niechybnie zapadnie nad miastem. Jeszcze najwyższej dziesięć godzin i na jego ramionach, kostkach i łydkach znowu wystąpią czerwone plamy, takie same jak wczoraj, ale tym razem będzie im towarzyszyła wysoka gorączka. Bóle stawowe, ostre, nieznośne, pojawią się prawdopodobnie nazajutrz. Wiedział to już z doświadczenia. Choroba wróciła, wyniszczała jego ciało wieczór za wieczorem, nasilając się dzień po dniu. Jak długo potrwa tym razem? Tydzień, miesiąc, rok? Tego ojciec Kern nie potrafił powiedzieć.

Claire Kauffmann tej nocy praktycznie nie zmużyła oka. Patrzyła, jak godziny powoli płyną na fluorescencyjnym ekranie budzika, wierciła się i przewracała z boku na bok, wdychając tak głośno, że w końcu Fistaszek, jej kot, który co wieczór przychodził, żeby przytulić się do swej pani i usnąć, tym razem zrezygnował z ciepłutkiego miękkiego posłania i przeniósł się na posadzkę w kuchni, bo tam miał spokój. Claire zwykle udawało się zostawić za progiem sypialni obrazy, które przewijały się przed jej oczyma przez godziny dyżurów w Pałacu Sprawiedliwości. Widziała najgorsze rzeczy. A sypialnię umeblowała, przystroїła i obmyśliła tak, żeby nocą zapewnić sobie kilka godzin zapomnienia i zbudować cytadelę skutecznie chroniącą przed brutalnością miasta. Metalowe rolety zawsze były opuszczone. Zasłony z ciężkiego aksamitu zaciągnięte. Obite skórą drzwi wyciszały. Na podłodze leżał gruby dywan, ze ścian i etażerek patrzyły na nią pamiątki z dzieciństwa – trzy pluszaki, para białych baletek z szarfami, które miała na nogach tylko raz, pewnego wieczoru, zanim weszła w etap życia nastolatki. Lubiła, by otaczały ją takie przedmioty, kiedy samotna w ciemnościach czuła, jak wciąga ją otchłań myśli, lęków i wspomnień.

Ale tej nocy Claire Kauffmann nie zdołała przykryć czarnym welonem snu widoku tej białej madonny, którą znaleziono uduszoną na posadzce Notre-Dame. Na najdrobniejszy sygnał senności, za każdym razem kiedy ciało zdawało się wolno poddawać, przed oczyma stawały jej

szczy z katedry. Nie te z pracowitego poranka, nie te z wykluwającego się dochodzenia, nie te z przestrzeni wypemionej uspokajającą obecnością mundurów i białych kombinizonów techników kryminalistyki, rozświetlonej silnymi reflektorami, które rozpraszały mrok nawet najdalszych zakamarków. Kiedy tylko Claire Kauffmann skulona w łóżku zamykała powieki, widziała noc bez końca, tę noc, która poprzedziła ostatni ranek i słyszała krzyki młodej dziewczyny w bieli, krzyki rozbrzmiewające w ogromnym kościele, nadaremne, bo nikt nie zareagował, nikt nie przyszedł jej z pomocą. Została sam na sam z mordercą. Claire czuła się, jakby żelazny uścisk jakiejś ręki zmuszał ją, urzędniczkę Republiki, do patrzenia na ohydny spektakł śmierci zagarniającej ciało kobiety, na to, jak degenerat rozchyła jej uda, pięści srom dziwnie nieowłosiony, jak u dziewczynki, a w końcu pochyla nad nim świecę, która bezwstydnie wydobywa go z ciemności. I wtedy, jakby pogrążając się w koszmarze, Claire Kauffmann wychodziła z roli widza; ręka, która trzymała jej nadgarstek tak mocno, że chciało jej się krzyczeć z bólu, zmuszała ją, by zbliżyła się do tej ciemnej figury pochylonej nad ubranym w biel ciałem. I nagle młoda prokurator dostrzegała, że włosy ofiary nie są już czarne, ale jasne, tak jasne jak jej, i zarazem zaczynała czuć niezdarne łapy mordercy na własnej skórze, ciepło świecy parzyło jej uda; próbowała wołać, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk; próbowała się bronić, wyrwać, ale jej ciało było jak martwe, już do niej nie należało. W końcu otwierała oczy, ciężko dysząc w mokrej od potu pościeli, zapalała światło, próbowała nabrać powietrza w płuca, uspokoić oddech, szukała oczyma przyjaznego przedmiotu, na którym mogłaby zatrzymać spojrzenie.

Kobiety musiały wciąż płacić za żądze mężczyzn, seksualne i mordercze. Nawet po śmierci tamta dziewczyna skazana była na bestialstwo zbrocznia. Wosk ze świecy... Co jeszcze? Nie warto nawet wspominać o nachalnych dwuznacznych spojrzeniach wszystkich – od oficerów policji przez techników po ciekawskich turystów – którzy kręcili się przy jej zwłokach. Ale i to nie był koniec tortur. Czekała ją jeszcze sekcja, która dodatkowo ją zbezcześci. Claire stała przed oczyma lekarz sądowy – co prawda doskonały fachowiec, w przeszłości spotkała go już wiele razy – drapiący się po głowie ręką, z której zdjął lateksową rękawiczkę. I znowu przewracała się w łóżku, a potem jeszcze bardziej kulila.

Kiedy wreszcie zadźwięczał budzik, Claire Kauffmann wstała z łóżka przymulona po nocnych zmaganiach między czuwaniem a koszmarem. Nakarmiła Fistaszka. Wypiła poranną czekoladę, słuchając radia. Na zakończenie skrótu wiadomości o siódmej France Info doniosła o morderstwie w Notre-Dame. Prasa już wiedziała, zaczynał się wielki cyrk medialny.

Potem Claire Kauffmann wzięła prysznic, pozwalając patrzeć na swą nagość tylko Fistaszkowi, który wyciągnął się w kącie łazienki i leniwie uderzał ogonem o terakotę. Ubrała się, naciągając na jeszcze wilgotne ciało pancerz bawełnianego body, które starannie zapięła w kroku, wciskając nogi i pośladki w cieniutkie letnie rajstopy, aby jak co rano zakryć jasne łono co najmniej dwiema warstwami ochronnymi. Wsiadła do autobusu jadącego z 17 dzielnicy, gdzie mieszkała, ubolewając nad ściskiem, nad nieuniknionym stykaniem się z innymi, nad czasem tak natrętnymi spojrzeniami mężczyzn. Zdarzało się, że na ulicy szedł za nią jeden z tych obleśnych typków, których wzrok czuła na sobie przez całą drogę. Właściwie nie umiałaby ocenić, którzy są najgorsi – ci, którzy w końcu odważali się ją zagadnąć i politowania godni, bełkocząc coś bez sensu, wciskali jej kartkę z numerem telefonu, czy ci, którzy się nie deklarowali, lecz z dystansu kilku kroków bezczelnie gapili się na jej tyłek.

Przyszła do biura spóźniona pół godziny i koleżanka z pokoju, także zastępczyni prokuratora, rzuciła na powitanie, że zaczynała się niepokoić, bo to niepodobne do Claire. Kauffmann wzięła się do pracy – czytała, segregowała informacje, robiła notatki niczym Syzyf w prostej spódnicy i z blond włosami uczesany mi w koczek. Dzień w dzień, wciąż bez powodzenia, Claire próbowała

zredukować stos dokumentów na swoim biurku. Około wpół do dwunastej zdecydowała się zadzwonić na komórkę do Landarda, który nie raczył informować jej na bieżąco o postępach dochodzenia w Notre-Dame.

Od razu zauważyła, że oficer jest bardzo poruszony. Przez cały czas mówił szeptem, tak że Claire Kauffmann ledwie go słyszała.

– Mówię, że jest tu ten chłopak Jasnowłosy anioł przyszedł do katedry, wiedziałem, że wróci. Kiedy zobaczyłem go na monitorze, wyglądał jak zjawa. To było niespełna dziesięć minut temu, widać było tylko jego, jakby błyszczał. Murad, ten porządkowy, który przedwczoraj go wyrzucił, potwierdził, że to on. Zgadnie pani, dokąd od razu poszedł ten gnojek? Podam go pani na tacy, pani prokurator. Zgadnie pani, co ten łotr zrobił zaraz po wejściu?

– Skąd mam wiedzieć, komendancie?!

– Zaraz pani powiem. Nigdy by pani nie zgadła! Ten skurwysyn poszedł się wyspowiadać!

Jasnowłosy anioł spowiadał się już prawie pół godziny. Nie mogąc usiedzieć w miejscu, Landard opuścił reżyserkę, żeby zobaczyć tę scenę na żywo. Zamknięty w słoju, trochę na podobieństwo niezwykłego motyla uwięzionego pod szkłem, chłopak mówił bez końca, śmiał się, płakał, kręcił głową, gestykulował... I komu się zwierzał? Małemu chudzielcowi, temu księdzu, który właściwie był karłem, a teraz słuchał go w milczeniu, podparwszy brodę ręką i co minutę kiwając głową.

Landard z trudem się hamował. Czuł się jak dziesięcioletek, któremu burczy w brzuchu i który ślini się wpatrzony w wystawę sklepu wędliniarskiego. Rano dał rektorowi słowo – żadnego skandalu, żadnego aresztowania w katedrze. Toteż teraz musiał czekać, żeby zgarnąć tego blond anioła, kiedy tylko stąd wyjdzie. Na zewnątrz wszystko już było gotowe: dwaj oficerowie stali przy wyjściu, trzeci przy wejściu, na wypadek gdyby podejrzany próbował się im wymknąć. Oprócz nich był także Gombrowicz, wciąż na swoim miejscu pod krzyżem, ledwie dziesięć kroków od konfesjonau. W razie poważnych problemów pozostawali jeszcze mundurowi, którym w uzgodnieniu z rektorem powierzono powściągnięcie ciekawości licznych na dziedzińcu dziennikarzy z ekip telewizyjnych.

Landard niechętnie ukleknął koło porucznika i zamiast patrzeć na ukrzyżowanego Chrystusa, wciąż zerknął w bok tam gdzie siedział podejrzany.

– Jak myślisz, o czym oni gadają?

– Może trzeba było umieścić tam mikrofon?

– Ksiądz by się na to nie zgodził. Wiesz, to, co się tam mówi, jest poufne. Zresztą kto mógł przewidzieć, że ten gnojek jest aż tak zepsuty i bezczelny, żeby pójść do spowiedzi?

– Nie przejmuj się, Landard. Dziś wieczorem czeka go kolejna spowiedź, tyle że u nas.

Trochę podbudowany myślą o przesłuchaniu, na które się zanosilo, Landard skupił się na modlitwie. Jednak jasnowłosy anioł nie miał chyba zamiaru wyjść ze słoja, toteż w końcu Landard, którego rozboleła kolana, uświadomił sobie, jak absurdalna jest cała ta sytuacja.

Wreszcie podjął decyzję. Miał przecież delikwenta na oku w szczelnie zamkniętej klatce. Na co właściwie czeka? Aż ptaszek wyfrunie? Do diabła z obietnicą złożoną rektorowi, najwyższy czas wkroczyć. Przeszedł w miejsce niewidoczne dla podejrzanego i szepcząc w walkie-talkie, wezwał trzech czekających na zewnątrz poruczników. Kiedy posiłki dotarły, Landard bez ceregieli otworzył szklane drzwi konfesjonau i wpuścił tam swoich ludzi tak, jakby wpuszczał cztery psy do rzędni.

Ciężki metaliczny dźwięk zamykanych drzwi odbił się głośnym echem w murach ciasnej celi.

Plakaty z dziełczywanami o nagich piersiach wisiały tu obok pejzażu van Gogha – łąków zbóż, nad którymi przelatywały kruki. Więzień uniósł ogoloną głowę, patrząc na gościa, a potem wstał z taboretu i wyciągnął na powitanie rękę, na której było widać nikiącego pod podwiniętym rękawem koszuli wytatuowanego węża, być może sięgającego aż po kark

– Już czwartek? François, wciąż jeszcze myślę mi się dni. Naprawdę nie radzę sobie z tym. Godziny, dni, czas...

Ojciec Kern próbował uspokoić więźnia.

– Nie, Dżibril, przyszedłem wcześniej. Dziś dopiero wtorek

Dżibril usiadł, ziewnął, przetarł oczy wierzchem dłoni, a potem wskazał księdzu swoje łóżko, zapraszając, żeby się rozgościł.

– Kawy?

Kern skinął głową. Dżibril sięgnął po słoiczek nescafé, który stał na szafce, na oko wsypał proszku do szklanki i włączył czajnik elektryczny, żeby zagotować wodę.

– Czarna jak zwykle?

– Tak, Dżibril, czarna. Dziękuję.

Kern usiadł na łóżku. Czekali w milczeniu, aż woda zawrze. Dżibril zalał kawę, wrzucił do szklanki łyżeczkę, która uderzyła o ściankę z metalicznym dźwiękiem przy pominającym szcęk klucza obracającego się wieczorem w zamku, a potem podał kawę księdzu.

– Gorąca, uważaj na palce.

Ojciec Kern zamieszał kawę łyżeczką. Milczał, patrząc, jak granulki rozpuszczają się, uwalniając aromat, który łaskotał nozdrza. Jego palce zaczerwieniły się od gorąca. On jednak nie odstawił szklanki, jakby to go nie dotyczyło, jakby był niewrażliwy na oparzenia.

– Wydawało mi się, że we wtorki jesteś w Notre-Dame.

Kern lekko westchnął.

– Odpowiem jak uczeń dzisiaj zwolnili nas z kilku lekcji.

Wypił łyki wyciągnął rękę ze szklanką ku więźniowi.

– Jeśli można, prosiłbym o kostkę cukru. Nie zdążyłem zjeść obiadu.

Wskazał przymocowany do ściany telewizor i nieme sceny niemieckiego serialu kryminalnego.

– Oglądałeś wiadomości o pierwszej?

– Tak, widziałem. Co innego można tu robić? Wyprowadzili tego waszego mordercę głównym wyjściem, w obecności tylu kamer. A nagroda za reżyserię przypadła paryskiej DRPJ. To był naprawdę wielki spektakl transmitowany na żywo.

– Dziennikarze byli doskonale poinformowani. Przypuszczam, że ludzie z katedry nie mogli utrzymać języka za zębami. Wiedzieli już o tej napaści w dniu Wniebowzięcia. Wiedzieli, na kogo policja zastawiła sidła. A chłopak rzucił się lwu w paszczę przekonywany, że idzie tyłko do spowiedzi. Pokazali w telewizji jego twarz?

– Osłonili mu głowę kurtką. Potem wpakowali go do samochodu i włączyli koguta. Błazny! Przecież do komendy mieli pół kilometra.

– Dżibril, to dzieciak zagubiony chłopiec. Przyszli po niego, kiedy udzielałem mu rozgrzeszenia. Wpadli we czterech, rzucili go na ziemię.

– Dałeś rozgrzeszenie zabójcy? Pewnie zaraz mi powiesz, że tu robisz to taśmowo. Co czwartek rozmawiasz i wybaczasz facetom, którzy dostali dożywocie.

– A ko ci powiedział, że ten chłopak zabił?

– Gazety najwyraźniej już go osądziły. Myślisz, że jest niewinny?

– Myślę, że jest potwornie winny. Ale dlatego, że źle zinterpretował ewangelię, że uczynił z Marii Panny bożka. I dlatego, że tak łatwo popadł w nietolerancję, że poszedł na łatwiznę

głupoty. Ten chłopak jest trochę stuknięty i zupełnie nieprzystosowany. Ale to nie morderca. Nie zabił dziewczyny.

– Skąd ta pewność?

– Dżibril, ja niczego nie jestem pewien. Ale ten chłopak do mnie przyszedł. Spowiadał się przede mną. Mówił o swoich obsesjach. O problemach seksualnych. O fetyszyzmie, którego obiektem jest Matka Boska. O popędach. Opowiadał mi o tej przedwczorajszej napaści na dziewczynę. Przyznaję, że chłopak potrzebuje leczenia! Ale twierdzi, że po incydencie podczas procesji wrócił do domu i poszedł spać.

– Powiedziałeś to policji?

– Jak się domyślasz, chcieli, żeby m powtórzył im całą rozmowę.

– I co?

– Po prostu nie wszystko im powiedziałem. Zasłoniłem się tajemnicą spowiedzi.

Dżibril dolał wody do czajnika i odkręcił słoik z kawą rozpuszczalną.

– Ten stuknięty chłopak przypomina ci brata, prawda?

Kern spuścił głowę i wpatrzył się w dno szklanki. Przez chwilę trącał je czubkiem łyżeczki. Już od piętnastu lat odwiedzał zakład w Poissy jako kapelan więzienny i poznał wielu osadzonych. Religia na ogół niewiele ich obchodziła, pragnęli jednak znaleźć kogoś, kto zechciałby uważnie ich wysłuchać, kogoś, kto nie przynależał do zamkniętego środowiska administracji więziennej, kogoś gotowego przy nich usiąść i nie osądzać. Procesy mieli już za sobą, ich wina została wykazana przez sędziego śledczego, prokurator postawił im zarzuty, a oni wcale o tym nie zapomnieli; pamiętali też, że wymiar sprawiedliwości skazał ich na surowe kary – przeważnie od piętnastu lat więzienia do dożywocia. Do Poissy trafiali więźniowie, którzy mieli pozostać za kratami bardzo długo.

Tu poznał Dżibrila, olbrzymia mierzącego dwa metry i ważącego sto dziesięć kilogramów. Ogoloną głowę więźnia pokrywały tatuaże. Kryminalista z wyrokiem dożywocia bez prawa ubiegania się o przedterminowe zwolnienie przez okres dwudziestu dwóch lat. Napad z bronią w rękę, który przybrał fatalny obrót: stacja benzynowa w Beauce, kasjerka wzięta za zakładniczkę, wielogodzinne oblężenie przez GIGN¹, ryzykowna improwizowana próba ucieczki, działanie kompletnie nieprzemysłane, podjęte pod wpływem paniki, a zapewne także alkoholu, który Dżibril znalazł na miejscu i pił, żeby pokonać strach; i wreszcie po koszmarnie długiej nocy zabity żandarm, ojciec jedenastoletniego dziecka, leżący w kałuży krwi pod dystrybutorem bezołowiowej 98. Ale wbrew wszelkim oczekiwaniom między tym mordercą a księdzem nawiązała się bliska więź. Z upływem miesięcy Dżibril otworzył się przed ojcem François. Małemu księdzu z krzyżem w kłapie marynarki opowiedział swoją historię. Prawdę mówiąc, było to długie staczenie się, które zaczęło się na ostatnich piętrach wieżowca w Montreuil. Najpierw stał na czatach, potem parzył się dilerką, w końcu został przywódcą gangu. Rzucił szkołę. Stopniowo zerwał z rodziną, kilkakrotnie trafił do więzienia. Nawiązał kontakty z innymi pokroju przestępcami, których nie interesowały drobne interesy, ale biżuteria, banki, konwoje. Zmieniała się też skala – z bloku na dzielnicę, z dzielnicy na miasto, z miasta na region, a wreszcie na cały kraj. Miał już pierwsze pseudonimy „artystyczne”: Byk, Wytatuowany, Afrykanin. Pistolet maszynowy, granaty, rewolwer ostatecznie zastąpiły nóż i ostrze obcinarki. Przemoc, adrenalina, straszka stały się jego codziennymi narkotykami. Żałośnie wzorcowa droga, w pewnym sensie straszliwie francuska, droga tej części Francji, której większość nie chce dostrzegać. Aż do owego nieudanego skoku pewnego wieczoru na stację benzynową gdzieś w Beauce. Proces sądowy, wyrok a potem parę reportaży telewizyjnych. No i odsiadka w więzieniu. Czas, który płynie w zwolnionym tempie, rozpaczliwa pustka w rozmównicy, cisza pośród krzyków. I raz w tygodniu wizyta kapelana.

Tego, co łączyło Kerna z Dźbrilem, w żadnym razie nie można nazwać przyjaźnią. Należałoby raczej uznać, że wytworzyła się między nimi relacja uważnego słuchania i wzajemnego szacunku, jakby przychodząc co tydzień do Poissy, Kern dokładnie uświadomił sobie ograniczenie własnego doświadczenia. Tytuł rzeczy nie wiedział, na pewno nie wiedział więcej niż ten siedzący przed nim człowiek, który zabił, pojął bezmiar swej zbrodni i do końca życia miał tego żałować i starać się to sobie wybaczyć.

– Nie wiem, Dźbril, od dawna o nim nie myślałem. Może masz rację, może ten młody chłopak przypomina mi brata, chociaż wcale sobie tego nie uświadomiam. Przez to swoje zagubienie, złość, która w nim wrze, a wszystko to pod maską anioła.

Już nieraz Kern doznał dziwnego wrażenia, że w relacji kapłan–więzień to on bardziej pragnie się zwierzać. Nic takiego nie zdarzało mu się w kontaktach z innymi więźniami w Poissy. Tamtych słuchał, potem mówił i czasami nawiązywała się rozmowa, która rozluźniała atmosferę panującą w celach, czasami tak przytłaczającą, że ciężko było złapać dech. A przecież w celi Dźbrila powietrze było to samo, wyposażono ją w takie same sprzęty, które musiały wystarczyć więźniom, na ścianach wisiały podobne obsceniczne plakaty sąsiadujące z niebieskimi kwiatami wyciętymi z takich samych czasopism. Różnica była chyba jedna: na półce w celi Dźbrila stał *Kodeks postępowania karnego* wydawnictwa Dalloz, a pod nim nieco chwiejny stos literatury prawniczej; na stoliku obok czajnika elektrycznego piętrzyły się broszury kursu korespondencyjnego. Po dwóch latach przygotowań skazany na dożywocie podjął studia i zamierzał zdobyć licencjat z prawa.

Więzień dorobił Kernowi ławy.

– W sprawie tego chłopaka najważniejsze jest, żebyś uchronił go przed losem, jaki spotkał twojego brata.

– Jak sądzisz, dlaczego w każdy czwartek przychodzę do więzienia? Czy nie po to, żeby żaden z was nie skończył jak mój brat? – Kern uniósł szklankę do ust i wypił kawę. Tym razem poczuł, jak gorący płyn parzy go w usta i gardło. – Wybacz, Dźbril. Przepraszam, nie powinienem tego mówić.

Więzień roześmiał się, a potem ze sztuczną powagą uczynił znak krzyża.

– Odpuszczam ci ten grzech, synu. Tylko czy ty sam potrafisz sobie wybaczyć? Czy potrafisz sobie wybaczyć, że żyjesz, podczas gdy twój starszy brat umarł samotnie w swojej celi?

Kern milczał, więc Dźbril wstał i cień jego rosłej sylwetki padł na małego kapłana.

– Módl się dalej, François, ale niech to nie przeszkodzi ci w działaniu, które pozwoli zapobiec najgorszemu. Przeznaczenie można nagiąć. Ja zrozumiałem to za późno.

– Wiem, Dźbril.

– W więzieniu człowiek ma nagle mnóstwo czasu na myślenie, na wielokrotne oglądanie filmu o własnym życiu. Może się wszystkiemu przyjrzeć z każdej strony. I uznać, że nie da się już niczego cofnąć.

– Wiem o tym.

– Człowiek wszystko tu roztrząsa. Życie w więzieniu jest torturą: rozpamiętujesz własne błędy i czekasz, aż zdechniesz. To czyściciel przed piekłem.

I ujął potężną dłońią kościstą rękę kapłana. Kerna przebiegł dreszcz. Więzień dużo wiedział o zaświatach, dużo więcej niż on, ksiądz, zdoła się dowiedzieć za życia. Pomyślał: W rzeczy wistości nic nie wiem. To on ma prawdziwą wiedzę, prawdziwą znajomość rzeczy.

– Dziękuję, Dźbril.

– Nie ma sprawy. Fajnie czasem poczuć, że można się do czegoś przydać. Mimo wszystko nie zapomnij o odwiedzinach. Wiesz, jak to jest: kiedy nie mogę sobie pogadać z moim małym księdzem, duszę gniew w sobie. W końcu zaczynam atakować kumpli w stołówce. Bez powodu. Za

kawałek chleba. Dla zabicia czasu. Korzystam z prawa silniejszego. Ale silniejszy nie zawsze jest najcwańszy. Ty powiedziałbyś, że nie zawsze jest najlepszym chrześcijaninem.

– Przez dwadzieścia dwa lata pracy nikt nie zaserwował mi takiej porcji bredni.

Landard podszedł do siedzącego w rogu pokoju Gombrowicza i sięgnął po kolejnego papierosa. Było koło czwartej po południu. Powietrze w biurze na poddaszu potwornie się nagrzało, duchota stała się nieznośna, a kłęby dymu, które wydychał Landard, tworzyły gęstniejącą chmurę. W drugim końcu pokoju, ledwie trzy metry od nich, jasnowłosy anioł przykuty kajdankami do krzesła był tylko zagubioną we mgle sylwetką. Landard dzielił się z kolegą przemyśleniami.

– Ten gnojek to jakiś świr. obrońca z urzędu nie będzie się musiał wysilać. Już słyszę tę mowę: „Wysoki sędzie, mój klient to kompletny wariat, kiedy był mały, matka zmuszała go, żeby zjadał własną kupę, wnoszę o uznanie go za niepczytalnego...”. I załatwione: idziesz prosto do psychiatryka, nie powąchasz więzienia. Wiesz co, Gombrowicz, to prawo jest do kitu. Nienormalne, żeby fundować wakacje takim oszołomom.

Landard znowu przysiadł przy biurku, a Gombrowicz skupił się na komputerze.

– Na czym skończyliśmy, Thibault? Mówiłeś o procesji.

– Czy mógłbym prosić o szklanę wody? Strasznie chce mi się pić.

– Za chwilę, Thibault, najpierw procesja.

Młody człowiek zdawał się szperać w pamięci, a potem spojrzął na oficera i zapytał dziwnym krzykliwym głosem:

– Jaka procesja?

– Przedwzięcia, Święto Wniebowzięcia, pamiętasz? Msza, procesja...

– Procesja w dniu Wniebowzięcia?

– No właśnie, chłopcze. Figura Matki Boskiej, księża, kawalerowie od tych bambetli, no i panna w białej sukience, ta, która kręciła zadkiem dwa metry od ciebie. Przypominasz sobie?

– Tak pamiętam, ale jak pan się wyraża...

– Thibault, znałeś tę dziewczynę? Może nam powiesz, jak się nazywała?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– To dlaczego się na nią rzuciłeś?

– Nawet jeśli powiem, nie zrozumie pan.

– Powiesz nam, chłopcze, powiesz, a ja i mój kolega postaramy się to zrozumieć.

Chłopak zmierzył wzrokiem Landarda, potem spojrzął na Gombrowicza i znowu na Landarda. Jego usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu, choć widać było, że przesłuchanie to dla niego silny stres.

– Matka Boska kazała mi to zrobić.

Landard klepnął ręką o udo.

– O kurwa, znowu się zaczy na! Matka Boska, święci i mały Jezusek!

– Sam pan widzi, nic pan nie rozumie...

– Gombrowicz, pisz, zapisuj każde słowo: „Matka Boska kazała mi zaatakować tę młodą kobietę”. A wiesz może, dlaczego dobra Matka Boska miałaby chcieć, żebyś ukarał tę ślicznotkę?

– Nie mam pojęcia.

– Nie masz... Powiedz, Thibault, czy ty przypadkiem nie robisz sobie z nas jaj? A może Matka Boska kazała ci przyłożyć tej dziewczynie z procesji za jej wygląd, taki trochę arabski?

Thibault milczał jak zakłęty. Landard zgniół gitane'a pod nosem Gombrowicza w popielniczkę, z której wysypywały się niedopałki. Porucznik nie miał już czym oddychać i zaczął się pocić,

więc chwycił ją i wysypał pety do kosza na śmieci, ciężko wzdychając. Wtedy chłopak znów się odezwał:

– Wiem, do czego pan zmierza. Próbuje mnie pan wrobić w napaść na tle rasistowskim. Ale Najświętsza Panienka nie jest rasistką. Jakże mogłaby być? Maria Panna to wzór dla wszystkich kobiet świata, bez względu na kolor ich skóry.

Landard czuł, że chłopak, a także motyw zbrodni zaczynają mu się wymykać, toteż podniósł głos i pochylił się nad biurkiem tak, że jego twarz dzieliło od twarzy podejrzanego tylko parę centymetrów.

– Przed chwilą powiedziałeś nam, że mieszkasz jeszcze z matką. W Saint-Cloud, tak? Jak myślisz, co poczuje mamusia, kiedy się dowie, że jej syn jest podejrzany o zabicie dziewczyny?

Oddech chłopaka nagle stał się szybszy.

– Matka? A co wspólnego ma moja matka z tymi waszymi wymysłami?

– No jak się poczuje? Pomyśl, Thibault. Sądzisz, że przyjdzie na twój proces? Myślisz, że będzie ci przynosiła pomarańcze do Fleury?

– Zostawcie moją matkę w spokoju. Nie zabiłem tej dziewczyny.

– W takim razie dlaczego chciałeś ją pobić, co?

Zdenerwowany Thibault zaczął bełkotać, a potem nagle wylał z siebie cały strumień słów, które płynęły jak woda z kranu wymagającego wymiany uszczelki.

– Bo była zwyczajną dziwką! Bo przedrzeźniała Najświętszą Panienkę, paradując w tym nieskazitelnie białym stroju. Uderzyłem ją, bo na to zasłużyła! Tak, paradowała przed nami w tej wyzywającej kusej sukience! Uderzyłem ją, żeby dać jej nauczkę! Uderzyłem ją, bo szukała zaczepki! Uderzyłem, żeby zrozumiała, jak ważna jest niewinność, dobroć, skromność, pokora! Uderzyłem, żeby zrozumiała, jak cenne jest dziewictwo!

Thibault wyrzucił z siebie te wyznania wbrew własnej woli, ale natychmiast tego pożałował. Przeprósł za słowa, których użył. Za to Landard wyglądał, jakby wypełniło go rozgrzane powietrze, i można było pomyśleć, że lada chwila wzbije się nad biurko niczym balon.

– Pisz, Gombrowicz, pisz: „Uderzyłem ją, żeby zrozumiała, jak cenne jest dziewictwo”.

Gombrowicz przebiegał palcami po klawiaturze komputera. Nagła zmiana rytmu przesłuchania trochę zbiła go z tropu. Landard zaczął, aż stukanie w klawiaturę ucichło, a potem zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się nim z satysfakcją.

– Gombrowicz, możesz połączyć mnie z uroczą panią prokurator? – I znowu pochylił się ku podejrzanemu. – Thibault, co byś powiedział, gdybyśmy wpadli teraz do twojej mamy i rozejrzeli się po szufladach? Myślisz, że zdążymy tam dotrzeć przed dwudziestą pierwszą?

Zamknął za sobą drzwi i dwa razy obrócił klucz. Przez chwilę stał w miejscu z czołem opartym o drewno, palcami zaciśniętymi na nadgarstku, wsłuchując się w miejski zgiełk dobiegający tu jak przez gęstą mgłę albo wytłumiony, jakby wieczorem 17 sierpnia świat przykryła pierzy na ze śniegu. Ulicą przejechał samochód. Jakaś kobieta szła, stukając obcasami. Potem rozbrzmiał śmiech dziecka. I nastała cisza.

Puścił kławkę i wszedł do mieszkania – skromnego, wręcz ascetycznego, uporządkowanego. Mieszkał tu już od osiemnastu lat. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Poszedł napić się wody. Ale tylko napełnił szklankę, wpatrując się w zawieszony na białej ścianie zegar. Właściwie go nie widział, nie potrafiłby też powiedzieć, czy trwał to krótko czy długo. Po prostu stał ze szklanką w rękę, a potem nieopróżnioną odstawił do zlewu.

Poszedł do sypialni, usiadł na łóżku, spojrzał na swe dłonie leżące na kolanach, wzorowo jak

u grzecznego dziecka, które pozuje do klasowego zdjęcia, potem znowu wstał i otworzył szafę na wprost łóżka. Wyjął pudło po butach, położył je na stoliku w rogu pokoju pod wiszącym na ścianie drewnianym krucyfikssem. Wyjął z pudła stary budzik, postawił go przed sobą, potem sięgnął po lupę i szkolny piórnik poplamiony czarnym atramentem. Rozsunął suwak. Znalazł tam pęsetę i cztery śrubokręty – każdy innego koloru i innej wielkości. Ułożył je po obu stronach budzika. Na koniec wyjął z dna pudła czarno-białe zdjęcie i oparł je o ścianę tak by na nie patrzeć. Wcisnął wyłącznik przytwierdzonej do brzegu stołu lampy kreślarskiej, do jednej ręki wziął budzik, drugą chwycił jeden z czterech śrubokrętów, ten o wyblakłym czerwonym uchwycie. Wolno i starannie, jak niepewne swych umiejętności dziecko, odkręcił metalową obudowę, odsłaniając mechanizm – zarazem prymitywny i skomplikowany – a także rok produkcji: 1958. Potem wziął tak samo starannie, pośród ciszy, w której słychać było każdy jego oddech, a czasem także tykanie zegara ściennego z kuchni, zaczął rozkładać cały mechanizm.

Tuż przed ósmą wieczorem położył przed sobą dwa ostatnie elementy, które musiał rozdzielić. Budzik był teraz na stole przed nim rozłożony na części.

Tego dnia miał na sobie koszulę z krótkim rękawem. W mieszanym świetle dziennym i elektrycznym zauważył, że czerwone plamy skupiły się wokół nadgarstków i łokci. Czuł, że rozprzestrzeniają się także pod stołem, wzdłuż łydek, sięgając kolan, wywołując dziwne wrażenie pieczenia i świądu, którego nigdy nie czuł w innych miejscach. Tego wieczoru po raz pierwszy oderwał oczy od budzika, by popatrzeć przez chwilę na opartą o ścianę fotografię. Dwaj chłopcy, jeden w wieku około siedmiu, drugi prawdopodobnie dziesięciu lat, obejmowali się, patrząc w obiektyw fotografa w pozie, która przypominała piłkarzy stojących na boisku przed meczem. Piłka czekała zresztą u ich stóp, aż któryś – albo młodszy: drobny, o wyglądzie chorowitego żebiątką, albo starszy: strzelista, o włosach barwy łanów dojrzalego zboża – zechce ją ożywić energicznym kopnięciem. Otoczenie przypominało szkołę albo staromodny pensjonat z dziedzicem z ubitej ziemi otoczonym wysokim murem. W głębi rysował się róg budynku i witraż w jedynym widocznym oknie.

Znów sięgnął do pudła po butach, żeby wyjąć termometr rtęciowy, z tych dawno już zapomnianych. Nie odrywając oczu od fotografii, wsunął metaliczną końcówkę pod języki czekał nieruchomo w dogasającym świetle dnia, które powoli ulegało zimnemu szpitalnemu blaskowi lampy kreślarskiej. Po kilku minutach wyjął termometr z ust i sprawdził – słupek rtęci wskazywał ponad czterdzieści stopni. Położył termometr na skraju stołu.

W kompletnej ciszy, bez jednego westchnienia, ojciec Kern zaczął składać budzik marki Bayard wyprodukowany w roku 1958.

Claire Kauffmann trzymała się uchwytu nad drzwiami samochodu. Jej złączone kolana kołysały się na prawo i lewo przy każdym szarpnięciu samochodu, a lewa ręka przyciskała do piersi torbę z aktami sprawy Notre-Dame.

Landard gwałtownie zredukował bieg, widząc czerwone światło, potem silnik trzystaósemki ryknął, samochód zjechał na prawo, na buspas, i pomknął w stronę Sekwany. Landard nawet nie dotknął pedału hamulca. Z dużą szybkością wjechał na most Saint-Cloud. Na tylnym siedzeniu jasnowłosa anioł patrzyła to na drogę, to na oczy Landarda odbijające się w lusterku wstecznym.

– Komendancie, czy naprawdę uważa pan, że taki pośpiech jest konieczny? Będziemy tam na długo przed dziewiątą, zdążymy przeprowadzić rewizję.

Przed zjazdem z mostu Landard włączył syrenę.

– Robię to dla mamy tego młodzieńca, pani prokurator. Nie chciałbym, żeby z naszej winy

przekopala początek filmu. Przy odrobinie szczęścia dojedziemy tuż po dzienniku, w czasie reklam.

Prokurator wywróciła oczami, a oficer zerknął w lusterko na podejrzanego.

– Mogę się założyć, że twoja mama lubi oglądać telewizję, prawda, Thibault? Daję głowę, że w dzienniku o trzynastej widziała, jak wychodzisz z katedry. Pomyślała sobie: „Przecież ten chłopak w kajdankach, w bluzie na głowie, to mój syn, mój syn!”. A potem obejrzała dziennik o dwudziestej, żeby się upewnić. Powiedz, Thibault, myślisz, że mama cię poznała mimo tej bluzy na głowie?

Landard odwrócił się i powtórzył pytanie, patrząc podejrzanemu prosto w oczy. Gombrowicz, który czuł, jak zjedzony w południe hamburger z frytkami wolno toruje sobie drogę w górę wbrew wszelkiej logice trawienia, wycedził przez zęby pod adresem przełożonego:

– Landard, patrz przed siebie, bo wpakujesz nas na jakąś kurewską latarnię!

Minęli sznur samochodów czekających, żeby wcisnąć się na autostradę prowadzącą na zachód, i ruszyli w stronę Saint-Cloud. Po kilku minutach zatrzymali się dwoma kołami na chodniku pod budynkiem z lat siedemdziesiątych. Gombrowicz, błąd jak trup, z kropelkami potu na czole, wyprowadził z samochodu jasnowłosego anioła, ciągnąc go za ramię, a Landard wyprzeździł ich i już wbiegł do budynku. Claire Kauffmann szła tuż za nim.

W windzie wszyscy czworo, ściśnięci jak sardynki w puszcze, milczeli. Claire Kauffmann czuła woń dymu papierosowego, którym przesiąkła kurtka komendanta, i zapach taniego dezodorantu Gombrowicza, którego koszula była pod pachami mokra od potu. Słyszała też oddech młodego podejrzanego, coraz szybszy z każdym mijanym piętrem, z każdą sekundą zbliżającą go do matczynego mieszkania.

Drzwi otworzyła im drobna kobieta w szlafroku. Włosy miała rzadkie, sylwetkę przygarbioną. Wyglądała na schorowaną. Na widok skutego kajdankami syna zaczęła jęczeć, a z jej wytrzeszczonych oczu wyzierało przerażenie. Zdeformowaną przez artrety zm ręką osłoniła usta – szeroko otwarte ze zdumienia. I chyba nie zdołała ich zamknąć przez cały czas, jaki zajęła rewizja.

Kiedy tylko Claire Kauffmann przekroczyła próg mieszkania, uderzył ją zaduch – od jak dawna nie otwarto tu okna? Zamknięte były także okiennice. Podeszedłszy bliżej, prokurator zauważyła, że szczeliny w okiennicach zalepiono szarą taśmą klejącą, odcinając w ten sposób dostęp powietrza i światła. Wystarczyło się rozejrzeć, żeby stwierdzić, że tak samo postąpiono tu z każdym otworem. Jasnowłosy anioł i jego matka żyli w osobliwym grobowcu składającym się z kuchni, łazienki, dwóch sypialni i saloniku.

Stary telewizor ryczał na cały regulator, pokazując reklamę towarzystwa ubezpieczeniowego. Landard trafnie przewidział czas dojazdu.

– Ojca Thibaulta nie ma w domu?

– Zmarł, panie komisarzu. Miał dwadzieścia jeden lat, kiedy zginął w wypadku samochodowym w drodze do Satory. Służył w wojsku. Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży. Thibault nie znał swojego ojca. – Odwróciła się, spojrzała na syna i znowu zatkała pięścią usta. – Thibault... Policja... Coś ty znowu narobił?

Claire Kauffmann wyjęła z torby akt.

– Pani syn został zatrzymany. Podejrzewamy go o popełnienie morderstwa. Pozostanie w areszcie do jutrzejszego południa, ale być może zatrzymanie zostanie przedłużone o kolejne dwadzieścia cztery godziny. Towarzyszący mi oficerowie policji śledczej przeprowadzą przeszukanie pokoju pani syna w związku z wszczętym dochodzeniem. Czy wyraża pani na to zgodę?

– Boże drogi! Thibault! Czyli to naprawdę ty byłeś w telewizji... To ty byłeś w Notre-Dame? Coś ty narobił?

– Czy pozwoli nam pani rozejrzeć się w pokoju syna?

Z pewnym wahaniem wskazała drzwi w końcu korytarza. Landard ruszył pierwszy wzdłuż ścian wyklejonych przybrudzoną tapetą w kwiatki, które wyglądały, jakby zwiędły przed laty. Kładąc rękę na kłamce, odwrócił się i spojrzał na jasnowłosego anioła, którego Gombrowicz wciąż trzymał za ramię.

– Wchodzimy, Thibault? Czy i ty się zgadzasz, żebyśmy obejrzelisiście swój pokój? W takim razie uważnie obserwuj, gdzie będziemy grzebali, i zapamiętaj, co zabieramy, bo już po wszystkim będziemy nam musiał podpisać papier. Zgoda?

Nacisnął kławkę i otworzył drzwi. Wewnątrz panował taki sam zaduch jak w całym mieszkaniu. Ta atmosfera była nieznośna. Landard po omacku szukał na ścianie włącznika. Kiedy światło wreszcie rozbłysło, szpetnie zaklął.

Chłopak wszedł do swojego pokoju z pilnującym go Gombrowiczem, Claire Kauffman tuż za nimi. Pani prokurator i obaj oficerowie na chwilę oniemieli, wodząc oczyma po ścianach, półkach, szafkach, szafach i oszklonych bibliotekach. Gombrowicz, który w tej duchocie jeszcze bardziej zbladł, przysunął się do zwierzchnika.

– Landard, powiedz... widziałeś kiedyś coś takiego?

To nie był pokój młodego chłopaka, ale istne muzeum poświęcone Marii Pannie. Ustawione pod ścianami od podłogi po sufit, na wielu szafkach i półkach, rozmaitej wielkości, różne w stylu, figury zdawały się przenikliwie patrzeć na trójkę intruzów. Na nielicznych skrawkach ścian bez pótek wisiały rysunki oprawione w szkło. Wyglądały, jakby narysowało je dziecko. Motyw był niezmienny: Najświętsza Panienka we wszystkich możliwych i znanych postaciach.

Uwagę Gombrowicza przyciągnął jeden z tych rysunków, może dlatego, że był znacznie większy od innych, a może ze względu na to, że tylko ten jeden był kolorowy, albo po prostu dlatego, że wisiał na wprost łóżka jasnowłosego anioła: Matka Boska w koronie, o trupio bladej cerze, otoczona przez czerwone i niebieskie anioły, trzymała na lewym kolanie Dzieciątka Jezus, pyzate i rumiane. Ten rysunek emanował zimnym erotyzmem, którego źródłem było oczywiście piękno Najświętszej Panienki, przede wszystkim jednak to, że jej lewa pierś była obnażona. Krągła i pełna, uderzająco blada, przyciągała wzrok silniej niż którykolwiek inny element kompozycji.

– Prawda, że jest piękna? To piętnastowieczny obraz francuski. Pojechałem do Anvers tylko po to, żeby zobaczyć oryginał. Poświęciłem trzy dni na namalowanie tej kopii. Pamiętasz, mamoo?

Gombrowicz gwizdnął z podziwu, nie odrywając oczu od obrazu.

– Ty to namalowałeś? Wszystko, co wisi na ścianach, to twoje prace?

Matka chłopaka odpowiedziała za syna głosem, z którego nagle zniknęła niepewność:

– Thibault jest doskonałym rysownikiem, panie inspektorze. Przygotowuje się do konkursu do Akademii Sztuk Pięknych.

– Mamoo!

– Synku, jestem pewna, że skończysz akademię! A swoją sztuką będziesz słaawił Marię i Jezusa Chrystusa.

Landard, który już wcześniej otworzył jedyną szafę w pokoju i właśnie opróżniał szuflady, wyciągnął nagle cały plik rysunków i unosił je nad głowę.

– A to, mój drogi Thibault, czy to także na konkurs do akademii?

I zaczął kolejno układać na łóżku arkusze, obserwując kątem oka, jak podejrzanemu rzędzie mina na widok pornograficznych rysunków ukazujących Marię Pannę o wydatnych zmysłowych ustach, w podartej sukni, siatkowych pończochach i na szpilkach, odsłaniającą w rozkroku wielkie zwisające wargi sromowe.

– Jeżeli pozwolisz, Thibault, ułożę je w kolejności, jaką uważam za właściwą. Mogę? Panie

i panowie, patrzcie i podziwiajcie... Pierwsze arcydzieło wykonane przez naszego przyjaciela Thibaulta w ramach przygotowań do egzaminu konkursowego do Akademii Sztuk Pięknych: *Matka Boska onanizuje się i wpada w ekstazę...* To piękne, takie czyste... Ale jest tu coś ze świętej Teresy... Drogi Thibault, musisz uważać, nie myl świętych, bo nie uda ci się dostać do akademii i zmarnujesz rok.. Drugie dzieło mające otworzyć Thibaultowi drogę do akademii: *Aby zachować bezcenne dziewictwo, zalotna Maria dogadza sobie od tyłu tym...* *ta...* Coś ty wetknął w tyłek Najświętszej Pannie, Thibault?... Gombrowicz, masz jakiś pomysł?... A może pani prokurator?... Opinia?... Nieistotne... Kontynuujmy poszukiwania.

Claire Kauffmann, która czuła się coraz bardziej niezręcznie, gdy komendant urządził tę groteskową wystawę, skinęła głową. Miała mroczki przed oczyma, czuła, że krew odpływa jej z głowy. Czy był to efekt duchoty panującej w tym szczelnie zamkniętym pokoju? A może irytującej sadystycznej przyjemności, jaką Landard czerpał z ponizania podejrzanego? A może maski zawstydzonego, którą przybrał Thibault? Srogiego wyrazu twarzy jego matki? A może obsceniczne rysunki tego lubieżnego chłopaka rozbudziły dawne bolesne osobiste wspomnienia?

Gombrowicz, który gromkim śmiechem skwitował pierwszy rysunek, już nie wyglądał na rozbawionego. Blady, pełen zażenowania uśmiech przez moment majaczył jeszcze na jego ustach, ale znikł, a smutne przygaszone oczy porucznika zwracały się to na rysunki, to na szefa.

Landard kontynuował, triumfując, i trzeba zaznaczyć, że nie bez powodu manifestował zadowolenie. Tuż po zatrzymaniu tego chłopaka odgadł, że słabym punktem podejrzanego jest jego relacja z matką. Sam na sam z policją jako tako sobie radził i przedstawiał w miarę spójną wersję zdarzeń, ale Landard czuł, że teraz, w obecności matki, to duże wrażliwe dziecko, poddane groźnemu osądowi, zaczy na panikować. Toteż zadał mu kolejny duc, sięgając po ostatni rysunek, który ze względu na potrzeby śledztwa najbardziej go interesował.

– Drogi Thibault, domyślasz się na pewno, tak już wiesz, który szkic zamyka tę ekspozycję. Patrzcie uważnie, szanowni państwo, oto najcenniejszy skarb z gabinetu osobliwości mojego przyjaciela Thibaulta. Uwaga, zatyłujemy go *Ulegając łajdackim zachciankom, gorąca Maria parzy sobie cipkę gorącym woskiem.* – I Landard zaczął klaskać. – Szacowna komisjo Akademii Sztuk Pięknych, pragnę przyznać młodemu Thibaultowi wyróżnienie w kategorii pornografii religijnej. Jeżeli jurorzy się na to nie godzą, niechaj powiedzą to głośno i otwarcie lub niech zamilkną na wieki.

W tym momencie niemal równocześnie porucznik Gombrowicz i prokurator Kauffmann poczuli nieodpartą potrzebę wyjścia, wyrwania się z tej przytłaczającej atmosfery. On pobiegł do toalety, by wreszcie uwolnić żołądek od hamburgera z frytkami, który maltretował go od bitej godziny, ona wróciła do salonu i otworzyła pierwsze okno, na jakie się natknęła. Słaby podmuch powietrza wpadającego przez uszczelnione okiennice przyniósł jej ogromną ulgę, więc stała z ręką na klawce, opierając czoło o deszczułki.

– Syn bardzo dawno odnalazł swój świat w wierze, pani prokurator. Może dlatego mniej więcej przed rokiem ta nabożność przemieniła się w obsesję. Od pierwszych dni lata prawie go nie widuję. Całymi dniami przesiaduje w Notre-Dame. Ale proszę mi wierzyć, Thibault nie jest mordercą.

– Musi pani przyznać, że syn ma osobliwą wizję religii. I paskudną wizję kobiety.

Matka Thibaulta spuściła głowę, a Claire Kauffmann, poirytowana jej milczeniem, postanowiła podjąć przesłuchanie.

– O której wrócił w niedzielę wieczorem? Pamięta pani?

– Kładę się około ósmej. Widzi pani, jestem chora. Przypuszczam, że od lat zżera mnie smutek. To się zaczęło po śmierci męża. Wszystkiego się boję. Nie mam odwagi wyjść z domu. Mam zawroty głowy. Nie wyobraża sobie pani, co przeżyłam po śmierci męża... Naprawdę trudno

samotnie chować chłopca. Ładna z pani dziewczyna... Ma pani dzieci?

– A zatem nie słyszała pani, jak syn wchodzi do domu? Zupełnie nic pani nie pamięta? Może jakiś hałas... cokolwiek... Proszę się zastanowić. To może się okazać bardzo ważne.

Kobieta zwróciła na nią spłoszone zagubione spojrzenie, które zdawało się błagać o odpowiedź na pytanie: „Co powinnam powiedzieć, żeby chronić syna? O której godzinie powinien wrócić w niedzielę do domu, żebyście ostatecznie przestali go podejrzewać?”.

Jednak z jej ust wydobył się tylko ledwie słyszalny szepot, który po chwili przerodził się w szloch.

Niedaleko od niej Thibault usiadł na łóżku, zasłaniając twarz smukłymi młodymi dłońmi, żeby nie patrzeć na skreślone czarnym ołówkiem pornograficzne szkice szaleńca.

– Wstawaj, Thibault, wracamy do aresztu. Spędzisz tam noc. Mam nadzieję, że to ci pomoże przemyśleć swoją sytuację. Musisz podjąć decyzję, chłopcze. Jutro rano znowu sobie pogadamy. A potem staniesz przed sędzią śledczym. Musisz być bardziej rozmowny niż dziś. Rozumiesz, co próbuję ci wytłumaczyć? Zostało ci niewiele czasu, Thibault. Teraz nie masz już właściwie wyboru, będziesz musiał wszystko powiedzieć... Skuj go, Gombrowicz. Zobaczymy, co robi prokurator Kauffmann, i wracamy do firmy.

Gombrowicz pochylił się nad chłopakiem, żeby go skuć. I wtedy zauważył ukryty za oparciem łóżka przełącznik, który wyglądał na dzieło majsterkowicza. Uniósł podbródek, aby zwrócić uwagę Landarda na to miejsce. Komendant wskazał mur, wyciągając rękę, na co jasnowłosy anioł zareagował niemal histerycznym krzykiem:

– Nie dotykajcie tego! Zabraniam wam to ruszać, słyszycie? Nie waźcie się dotykać tego przełącznika...

– Jakżebym śmiał, drogi Thibault... Gombrowicz, przygotuj się, nigdy nic nie wiadomo...

Gombrowicz pod wpływem adrenaliny nagle położył rękę na broni służbowej, którą miał u pasa. Landard odliczył do trzech, nie zwracając uwagi na coraz ostrzejsze protesty chłopaka. Potem wcisnął guzik. Pokój pogrążył się w głębokich ciemnościach, bo przecież przez zaklejone okiennice nie wpadała tu nawet odrobina światła z zewnątrz. Gombrowicz wolno wyciągnął broń z kabury.

– Landard? Kurwa, Landard, co tu się dzieje?

Zanim przełożony zdążył rozchylić usta, Gombrowicz uzyskał odpowiedź. W nieprzeniknionych ciemnościach, które ich otaczały, naraz rozbłysły setki – trzysta, może nawet czterysta – figurek Matki Boskiej. Migotały na półkach, a pokój upodobił się do budy jarmarcznej.

Thibault osunął się na łóżko i płakał w migającym świetle. Szlochając, powtarzał dwie sylaby, których dziecko uczy się najwcześniej, i chyba gotów był powtarzać je do rana: „Mamo... mamo...”.

Środa

Wszedł przez portal Świętej Anny wraz z pierwszą falą turystów, niosąc torbę, z którą się nie rozstawał, panterkę przerzuconą przez ramię, ubrany jak każdego dnia roku, zimą czy latem, w to, co miał najcenniejszego: w bordową puchową kurtkę, brudną, podartą, wciąż gubiącą pióra, które opadały na posadzkę, pozwalając śledzić każdy jego krok.

Kiedy znalazł się wewnątrz, przykłękął w kruchcie, na osi nawy głównej, i przeżegnał się. Mamrotał coś, poruszając ustami, które niknęły w długiej jasnej splecionej brodzie. Po chwili dźwignął się niezgrabnie, przechylając się na lewo pod ciężarem torby i – jak codziennie o ósmej rano – pod wpływem zamroczenia alkoholowego. Kiedy już jako tako stanął na nogi, skierował się w prawo, ku kolumnie z wypełnioną w trzech czwartych kropielnicą. Tam z dziwnym namaszczeniem, a może nawet z pewną kokieterią zanurzył palce w wodzie święconej i przystąpił do starannego mycia uszu.

– Kristof, co ty wyprawiasz?! Kristof! Jak możesz robić to w kropielnicy? Naprawdę nie masz lepszego miejsca, żeby się umyć? A fontanna na dziedzińcu? Dość tego, Kristof!

Krzysztof przeprosił w niezrozumiałej mieszaninie polskiego i francuskiego, potem zabrał torbę i ruszył w kierunku wyjścia, ale już po paru krokach chyba się rozmyślił, bo przystanął, rozejrzał się nieco zdezorientowany, w końcu zatrzymał oczy na tym, który łagodnie go skarcił, i poznał ojca Kerna. Wtedy rozpoznała się jego znużona twarz i brakiem snu. Znowu podszedł bliżej, tłustymi jak kielbaski palcami dotykając czterech punktów wyznaczających ramiona krzyża na piersi.

– Ja ci powiedzieć! Ja widzieć! Ja ci powiedzieć! – mówił, z trudem kłęcząc francuskie zdania.

Krzysztof spędzał czas w polskiej misji katolickiej w 18. dzielnicy i w katedrze Notre-Dame, do której przychodził już od trzech lat. Zimą mógł się tu ogrzać, latem schronić przed upałem. Przeważnie siadał w jakimś kącie na uboczu i przez cały dzień spał, a jego nieproporcjonalnie duża głowa chwilami kiwała się w górę i w dół w rytm przebudzeń i zaśnięć. Czasami siadał pod wielkim krucyfikssem po stronie południowej, w pobliżu konfesjonału, w miejscu przeznaczonym dla wiernych oczekujących na spowiedź. Ale Krzysztof potwornie cuchnął i ten bijący od niego smród – mieszanina potu, brudu i przetrawionego alkoholu – w końcu odstraszał nawet najwytrwalszych penitentów, którzy zdekoncentrowani i urażeni informowali o krępującym intruzie porządkowych i domagali się usunięcia Krzysztofa z katedry. Czyniono to łagodnie, lecz zdecydowanie, na wszelki wypadek w lateksowych antybakteryjnych rękawiczkach. Krzysztof za każdym razem głośno protestował w tej językowej mieszaninie, którą tylko on jeden rozumiał, utrzymując, że ma takie samo prawo przystąpić do spowiedzi jak każdy, że wolno mu się modlić albo spokojnie spać w sercu katedry. A im głośniejsze protestował, tym liczniej otaczali go porządkowi w rękawiczkach, którzy wylaniali się jak za sprawą czaru zza kolumn, by odprowadzić go do jego kwatery głównej – na skwer Jana XXIII oddzielający Notre-Dame od Sekwany. To tam co wieczór, kiedy strażnik zieleni miejskiej dokonał już obchodu, Krzysztof rozkładał śpiwór i mościł się do snu.

Tylko raz Krzysztof ośmielił się naprawdę wejść do słoja. Ojciec Kern, który tego dnia dyżurował jako spowiednik, wyjątkowo zostawił otwarte drzwi i uchylił lufcik zainstalowany w witrażu kaplicy, żeby powstał przewiew, a potem spokojnie, choć niewiele rozumiejąc, wysłuchał opowieści Krzysztofa o jego ojczystym Polsce i o ulicach Paryża, o zmiennych kolejach losu, o pijaństwie i bójkach. Od tego dnia Krzysztof z wdzięcznością patrzył na tego księdza.

W gruncie rzeczy Krzysztof nie był zły. Tylko czasami, pod wpływem alkoholu, stawał się nieco bardziej agresywny, ale działało się to rzadko, a i wtedy przypominał wielkiego misia ubranego w brudnoczerwoną puchową kurtkę. Przeważnie uspokajał się równie szybko, jak się denerwował i już po chwili rozglądał się wokół siebie tak samo, jak uczynił właśnie wobec ojca Kerna, przypominając sobie, że znajduje się w kościele. A przecież kościół – o czym doskonale wiedział od dzieciństwa, które spędził na przedmieściu Krakowa – to miejsce skupienia i modlitwy. Miejsce, gdzie nie ma mowy o krzykach ani o alkoholu; miejsce, gdzie nie ma wstępu przemoc, mord, śmierć.

– Ja ci powiedzieć, ja widzieć! Ja widzieć!

– Co takiego wiesz, Kristof? Co chcesz mi powiedzieć?

– Dziewczyna! Ja widzieć!

– Jaka dziewczyna, Kristof?

– Dziewczyna na biało!

Ojciec Kern odciągnął włóczęgę na boki gestem nakazał mu zniżyć tubalny głos.

– Kiedy ją widziałeś, Kristof? Postaraj się przypomnieć sobie. Jaki to był dzień? Która godzina?

– *W niedzielę wieczorem* – odparł Krzysztof po polsku.

– Nie rozumiem, co mówisz. Czy to było w niedzielę? *W niedzielę wieczorem*?

– *Tak. Niedziela.*

– O której?

Krzysztof nie zrozumiał pytania, więc ojciec Kern wskazał palcem zegarek na nadgarstku, żeby wytłumaczyć, o co pyta.

– *W nocy...* – padło z ust Krzysztofa.

– Nocą? Dobrze zrozumiałem, Kristof? Była już noc, kiedy się na nią natknąłeś?

– Tak *Noc.*

– Opowiedz mi o tym, Kristof. Gdzie ją widziałeś? Czy była sama? Co dokładnie robiła?

I Krzysztof dokonał ogromnego wysiłku, żeby wszystko sobie przypomnieć. Mimo skrajnego zmęczenia, mimo alkoholu, mimo niezliczonych problemów, które musiał pokonać od odległej już niedzieli, żeby zdobyć coś do jedzenia, do picia, znaleźć miejsce do spania i unikać bójek, zmusił się do przywołania wspomnień i zdołał jakoś uporządkować myśli. Kiedy jednak przyszło ubrać je w słowa, natknął się na barierę nie do pokonania – język Ojciec Kern zaczynał się niecierpliwić. Kristof próbował gestykulować, ale sprawa była zbyt skomplikowana.

– To nic, Kristof. Opowiedz mi o tym w swoim języku. Nigdy nie wiadomo, może rozumiem jedno czy dwa ważne słowa. Spróbujmy.

Krzysztof wziął głęboki wdech, a potem szeptem, ziejąc alkoholem, zaczął po polsku:

– *Byłem w ogrodzie. Szedłem spać schowany za roślinami. Przez ogrodzenie widziałem tył katedry. Zauważyłem dziewczynę otwierającą bramę od strony ulicy. Miała klucz od kłódki. Weszła do ogrodu. Cała była ubrana na biało. Wyglądała pięknie w świetle gwiazd. Weszła na schody i zapukała do drzwi z tyłu katedry. Gdy drzwi się otworzyły, weszła do środka. Nie wiem, co zdarzyło się później.*

Oniemiały z wrażenia ksiądz rozejrzał się wokół siebie, a potem zwrócił oczy na dużą figurę Chrystusa na krzyżu na południowej ścianie. Czy mógł liczyć na pomoc? Na wsparcie? Ale jak

inaczej wytłumaczyć to, co się działo? Ojciec Kern nie znał ani jednego polskiego słowa, a jednak wydawało mu się, że rozumiał to, co Kristof chciał mu powiedzieć. Zaraz jednak mały kapłan pomyślał: „Czyżbyś ze mnie drwił, Panie?”. Bo szokujące słowa, które padły z ust kłozarda, niosły więcej tajemnic niż wyjaśnień. Prawdę mówiąc, teraz cała katedra zdawała się tonąć w nieprzeniknionych ciemnościach. Notre-Dame została zbrukana, zbezczeszczone. Kern wciąż jednak nie wiedział, kto się tego dopuścił.

Wzniósł oczy ku wysokiemu sklepieniu, które z upływem dni, z upływem miesięcy i lat coraz wyraźniej czerniało od kwaśnych wyciewów, jakie unosiły się nad setkami tysięcy wiedzających ch. Szepnął: „Módl się za nami grzesznych mi”. A potem dodał: „Grzech wdarł się w te mury. I nie musiał wcisnąć się tu przez dziurkę od klucza. Bo przecież miał klucz”. Po chwili, również szeptem, dorzucił: „Oto znaczenie twego znaku, Panie. Pograżasz mnie w mroku, każesz mi w nim błądzić, żeby zmusić mnie do poszukiwania drogi ku światłości. Wsunąłeś mi do ręki klucz do grzechu, aby sprawdzić mą wiarę. Do mnie należy ustalić, które drzwi otwiera. To mnie kazałeś wykrzyć, kto jest zabójcą”.

Przed pograżonym w tych mrocznych myślach małym księdzem polski włóczęga w brudnej kurtce zastanawiał się, co też mogą znaczyć te szeptki.

– Hamache Luna. Dwadzieścia jeden lat, urodzona w Paryżu w osiemnastej. Studentka historii w Villetaneuse. Mieszkała z rodzicami przy rue Guy-Môquet. Ojciec z pochodzenia Algierczyk, bezrobotny; matka Francuzka, salowa w Beaujon. Mówi ci to coś, drogi Thibault?

– Nie. Kto to?

– Ta dziewczyna, którą uduszono w niedzielę wieczorem podczas *Raduj się, Maryjo*. Ojciec rozpoznał ją na zdjęciu opublikowanym we wczorajszym „Le Parisien”. Przyznasz chyba, Thibault, że to okrutne dowiedzieć się o śmierci własnej córki, przeglądając gazetę w kiosku?

– Tak, to straszne.

– Straszne?... A wiesz, gdzie są teraz jej rodzice? W Instytucie Medycyny Sądowej, właśnie identyfikują zwłoki, które wyciążnięto z szuflady w chłodni. Nie wydaje ci się, że już czas, żebyś stał się trochę roznowniejszy, Thibault?

– Mówiłem panu i mogę powtórzyć, że nic nie zrobiłem tej biednej dziewczynie.

– Nic jej nie zrobiłeś? Żartujesz sobie ze mnie, chłopcze? Mamy niemal pięćdziesięciu świadków, którzy widzieli, jak podczas procesji napadłeś na tę, jak to ładnie powiedziałeś, biedną dziewczynę. A niespełna pięć godzin później, w trakcie seansu filmowego, ktoś tak mocno chwycił ją za gardło, że na dobre posłał ją do nieba. Wybacz, Thibault, ale mamy naprawdę poważne podstawy, by podejrzewać, że ten świr, który ją załatwił, to właśnie ty.

– Nie macie dowodów.

– Ale będziemy je mieli najdalej za dwie godziny. A wiesz dlaczego, Thibault? Ponieważ za niecałe dwie godziny lekarz sądowy przygotowuje raport z sekcji zwłok. Jak myślisz, czyje DNA znajdziemy na ubraniu tej biednej dziewczyny? Osobiście nie martwię się o brak dowodów, zwłaszcza po tym, co zobaczyłem u ciebie w domu. No wiesz, mówię o tym stosie rysunków pornograficznych. Chciałbym natomiast zrozumieć dlaczego. Dlaczego o i jak?

– Proszę zapytać mordercę. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– A ja ci powiem, co się wydarzyło. Dokładnie ci to wyjaśnię. W niedzielę, jak co roku w dniu Wniebowzięcia, pojawiłeś się w katedrze. I jak co roku w jednej ręce trzymałeś krzyż, a w drugiej kutasa. Wybacz, że tak to ująłem, mój drogi.

– Faktycznie, panie komisarzu, macie w policji specyficzny styl.

– Dzień Wniebowzięcia to dla fetyszystów Matki Boskiej coś w rodzaju Nowego Roku, nieprawdaż, Thibault? To jedyny dzień w roku, kiedy wyprowadzają wam srebrną figurę. Odkurzają ją sztycytko i w drogę na krótki spacer po Paryżu. Kawalerowie, księża, stare ropuchy spod kropielnicy, wszyscy drepczą za nią. No a w tym tłumie zdarzają się tacy degeneraci jak ty. Robią zdjęcia i czekają, żeby wrócić do domu, a potem przez cały wieczór walić konia. Prawda, Thibault?

– Nie wiem.

– Racja, trochę cierpliwości, przecież to jeszcze nie koniec mojej opowieści. Wyobraź sobie, że podczas procesji spotykasz drugą Najświętszą Panienkę, podobną do tej z figurki jak siostra bliźniaczka, ale nie ze srebra, tylko z krwi i kości, ubraną na biało jak ta z Lourdes, ale trochę wulgarną, w mini, z pociągającym bufetem... Wiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– I ta mała, która ma przecież prawo paradować z tym i owym prawie na wierzchu, bo w końcu to Francja, a nie Arabia Saudyjska, tak bardzo cię podnieciła, że nagle wpadło ci do tego tępego zbroczonego łba: kurwa, nie pozwolę tej dziwce tak prowokować albo oszaleję. I zaczynasz ją walić, jakby to był worek treningowy, tak, Thibault? Biłeś ją, aż połała się krew, aż mój kumpel Murad wkroczył na ten ring z typową dla siebie finezją. Jak dotąd mam rację, Thibault? Tak właśnie było?

– To niczego nie dowodzi.

– Wtedy sobie poszedłeś i spacerowałeś do wieczora. A potem, kiedy wybiła dziewiąta czy może dziesiąta, znów rozbudziło się twoje libido. Musiałeś ujrzeć Matkę Boską na wielkim ekranie. Kto wie, może w ciemnościach uda się trzepnąć kapucyna? No i na kogo natknąłeś się w środku Notre-Dame, w pogrążonej w ciemnościach świątyni? Na tę ślicznotę w mini. Ale w ciemnościach nie widziałeś, że to ona. Daję słowo, w tej białej sukience błyszczała niczym jawa, prawda, Thibault? Dlatego zaczęłaś chwilę, zaczęłaś, aż wstała, żeby się przejść albo może zapalić świeczkę pod jakąś figurą w ciemnym kącie. I wtedy ją dopadłeś. I wiesz, co było potem, Thibault? Ta głupia dziwka zaczęła krzyczeć. Próbowwała wołać o pomoc. Dlatego zatkałeś jej usta ręką, zatkałeś jej nos, ale wpadłeś w panikę. To prawda, że głośniki kościelnego kina puły mnóstwem różnych dźwięków, że *Raduj się, Maryjo* puszczono na cały regulator. Ale mimo wszystko... A ta ciągle próbowała się drzeć. Prawda, Thibault? I co zrobiłeś? Zrzuciłeś jej ramię na szyję i pociągnąłeś, a potem ścisnąłeś, miażdżyłeś ze wszystkich sił... Aż twoja madonna przestała się ruszać. Nareszcie była nieruchoma, nieruchoma i piękna, tak była piękna jak posąg... Powiedz, Thibault, powiedz, że właśnie tak to było.

– To nieprawda, panie komisarzu. Pańska historjka to stek bzdur.

– Zaczynacie mnie wkurzać, ty i twoja matka, z tym „komisarzem”. Myślisz, że jestem Maigretem?! Komendancie! Od tej pory masz się do mnie zwracać „komendancie”.

– Rozumiem, komendancie.

– I co było dalej? No? Dałeś się zamknąć? Ukryłeś się w którejś kaplicy i trzymałeś martwą dziewczynę w ramionach, czekając, aż wszyscy wyjdą z katedry? Mam rację? Farciarz z ciebie, naprawdę, bo tego wieczoru Murad nie zrobił obchodu. A kiedy już zostałeś sam na sam z dziewczyną, miałeś dość czasu, żeby zrobić to ohydztwo z woskiem. Miałeś mnóstwo czasu, żeby przywrócić jej dziewictwo, topiąc świeczkę. W takich popaprańcach jak ty kobieta bezradna jak posąg nie wzdada lęku. Wolisz drzewo, blade, martwe dziewice, którym nic już nie można zrobić. Relikwie... Można je tylko wielbić... A potem? Co się wydarzyło? Spokojnie czekałeś do otwarcia katedry? Zgadłem? I wyszedłeś, pogwizdując, wreszcie spokojny, z rękami w kieszeniach? Tak?

– Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie tam. Spałem wtedy we własnym domu.

– Zaczynasz mnie już naprawdę wkurzać, Thibault. Ale wkrótce staniesz przed sędzią śledczym, zobaczymy, czy dalej będziesz udawał takiego cwaniaka.

– Która godzina?

– Dlaczego pytasz?

– Tak sobie.

– Gombrowicz, która godzina?

– Po jedenastej.

– Co to za uśmieszek?

– Za niespełną godzinę upływa okres zatrzymania.

– Co z tego? Myślisz, że pozwolimy ci wyjść?

– Dwadzieścia cztery godziny. Takie jest prawo, komendancie.

– Jeszcze się przekonasz, Thibault, że my tutaj lubimy ludzi i mamy prawo zatrzymać ich nieco dłużej. Mam nadzieję, że spodoba ci się twój pokój i nowi kumple z aresztu, bo może spędzisz tu kolejną noc. Gombrowicz, mógłbyś zadzwonić do uroczej pani prokurator?

Wyrobił sobie opinię o ich manierach. Brutalność, z jaką na jego oczach zatrzymali podejrzanego w przeszkonym konfesjonale, wzbudziła w nim tylko pogardę i strach. Czy miał prawo oczekiwać, że Krzysztof, który w opinii każdego mundurowego był podejrzanym, a więc z góry uważany za wroga, zechce rozmawiać z policją? Czy zgodzi się opisać to, co – jak powiedział przed chwilą – widział wieczorem w dniu morderstwa, kiedy kładł się spać w ogrodach za katedrą? Szanse były znikome, nie należało się ludzić. Polski włóczęga mógł przecież przenieść się gdzieś indziej, opuścić okolicę Notre-Dame w obawie przed spotkaniem z siłami porządkowymi i już nigdy się tu nie pojawić.

Co robić? Do kogo się zwrócić? Gdzie? Odkład został kapelanem w Poissy, nauczył się z wielką ostrożnością podchodzić do tej potężnej maszyny: francuski wymiar sprawiedliwości, któremu na pozór przyświecały tak podniosłe idee, tak szczytne cele, który pełnił tak nieodzowne funkcje, przybierał różne – krańcowo różne – oblicze zależnie od tego, z kim się stykał. Znaleźć właściwego rozmówcę, zapukać do właściwych drzwi... Los jasnowłosego chłopaka, którego skuto na jego oczach i na oczach Chrystusa, mógł zależeć od trafności tych wyborów.

Ojciec Kern ominął zakręstię i wyszedł przez portal Świętego Szczepana od strony Sekwany. Ruszył wzdłuż murów katedry, mijając prezbiterium, gdzie mieszkał rektor, i wznosił oczy, spoglądając na okna jego apartamentu. Zdąży poinformować go o wszystkim nieco później. Zresztą mały ksiądz nie wiedział właściwie, co mógłby mu powiedzieć. Czy powinien wspomnieć o Krzysztofie? I o tym graniczącym z cudem tłumaczeniu z polskiego na francuski, którego Kern dokonał? O dziwo, Kern nie był pewien, czy powinien mówić o tym przeżyciu komukolwiek, nawet innemu duchownemu z katedry. A przecież miałby spory wybór, bo w Notre-Dame służył pełni na stałe dwudziestu kapłanów – kanoników, kapłanów, księży i kleryków, nie licząc goszczących tu duchownych z całej Francji i z zagranicy, zastępujących latem tych, którzy wyjechali. Z niektórymi z nich Kern nawiązał znajomość o charakterze nie tylko religijnym i profesjonalnym, ale czysto ludzką, czasem zasługującą na miano przyjaźni. Jednak w tej chwili, w sytuacji, która wytworzyła się w katedrze, wolał nieco się wyizolować, skazać na samotność, bo już dźwigał ciężar na razie niedostrzegalny i czuł, że to brzemień może w najbliższych godzinach stać się przytłaczające.

Przekroczył furtę dzielącą kościół od placu. Szedł prosto przed siebie krokiem, który powinien być pewny i sprężysty, ale z każdym pokonywanym metrem stawał się coraz bardziej

niezdecydowany.

Przystanął na środku kwadratowego placu, wpatrując się w bruk, natychmiast jednak zaczęła go ramska żebraczka, która podsunęła mu wyświechtaną pocztówkę z równie wyświechtaną formułą odwołującą się do ludzkiej hojności. Prosiła, żeby pomógł jej wykarmić maleńkie dziecko, prosiła o wsparcie finansowe dla kalekiego brata i dla obłożnie chorej matki. Patrzył na jej plastikowe sandały i palce za długimi paznokciami, które wtargnęły w jego pole widzenia, a potem uniósł głowę i przyjrzał się młodej kobiecie. Pod bujnymi rozwichrzonymi włosami zobaczył niezwykłe piękne zielone oczy. Spuściła je i wówczas zauważyła wpięty w kłapę marynarki księżda metalowy krzyżyk – jedyną oznakę jego kapłaństwa. Doskonale wiedziała, że duchowni z Notre-Dame nie należą do osób, które chętnie sięgają do kieszeni, żeby wspomagać jej rodaków. Skwitowała swoją pomyłkę gromkim śmiechem, w którym błysnęła metalowymi koronkami. Ojciec Kern uśmiechnął się do niej i ruszył w dalszą drogę.

Po chwili natknął się na drugą żebraczkę. Ta nie przyjechała z Rumunii, ale z Domu Radia. Podsunęła mu kartonik z logiem Radio France i swym nazwiskiem. Zapytała, czy był świadkiem wczorajszego zatrzymania podejrzanego. Poprosiła, by o tym opowiedział, interesowała ją, czy młody człowiek przebywający w areszcie tymczasowym jest stałym bywalcem Notre-Dame. Popatrzył na mikrofon, który mu podsunęła, i odparł, że chcąc przeprowadzić wywiad, musi zwrócić się do rzecznika prasowego katedry. Skinąwszy jej głową, odszedł.

Ruszył przez *quai du Marché-Neuf* w stronę ruchliwych ulic. Po prawej zostawił za sobą prefekturę policji, przeszedł bulwar *du Palais* i znów przystanął – drobna nieruchoma postać zagubiona w morzu turystów zwiedzających miasto. Przed nim otwierało się *quai des Orfèvres*. Od numeru 36, siedziby Brygady Kryminalnej, dzieliło go może sto metrów. Wcisnął ręce do kieszeni marynarki. Lewą wymacał fajkę i tytoń, które zawsze nosił przy sobie. Podszedł do balustrady mostu *Saint-Michel*, położył na niej paczkę Petersona i nabijał fajkę, spoglądając na nurt Sekwany. W dole statek spacerowy właśnie wpływał pod most. Stojąca na górnym pokładzie jasnowłosa dziewczynka pomachała mu ręką. Ojciec Kern odpowiedział z lekkim opóźnieniem i zanim to uczynił, dziewczynka zniknęła. Zapalił fajkę. Czekał, aż smak i zapach tytoniu wypełnią jego nos, usta, gardło.

Pomyślał o Dżibrilu, o jego losie, którego zamknięty za murem więziennym nie mógł już odmienić. I przypomniał sobie radę, jakiej udzielił mu morderca: modlić się, owszem, ale także działać, działać, dopóki nie jest za późno, działać, dopóki ma się swobodę wyboru i działania. A potem pomyślał o swoim bracie. Działać, działać, dopóki śmierć nas nie zabierze, dopóki nie obrócimy się w proch. Działać, dopóki pośród żalu nie przysypią nas gradami ziemi.

Schował tytoń do lewej kieszeni i zostawiając za sobą smugę wonnego dymu wy dobywającego się z fajki, skręcił w prawo, w stronę bulwaru *du Palais*.

Przedpołudniowe przesłuchania zwieńczył przy padek trzydziestoosmioletniego brukarza. Minionej nocy w stanie upojenia alkoholowego zaatakował swą żonę młotem na oczach trójki dzieci – dwunasto-, dziesięcio- i siedmiolatka. Kobieta przebywała w szpitalu, miała złamany obojczyk. Kiedy Claire Kauffmann zapytała go o powody tego czynu, siedząc na wprost niej w małym boksie dla przesłuchiwanego, wzruszył ramionami, a po chwili odparł: „To ze zmęczenia”. Zdecydowanym gestem głośno zamknęła teczkę z raportem policyjnym i zaproponowała, by niezwłocznie stanął przed sądem.

Trzymając pod pachą ciężkie akta, przemierzała długie korytarze Pałacu Sprawiedliwości, wędrowała po biegnących w górę i w dół schodach, otwierała skrzypiące drzwi, niemal ocierała się o brudne ściany, podnosiła po drodze karteczki i nalepki, na których w pośpiechu nabazgrano parę słów, informując, że sędzia albo zastępca prokuratora z braku miejsca lub środków urzęduje

gdzie indziej. Te karteczki odpadały od drzwi i wały się po podłodze. Mijała protokolantów, urzędników, policjantów; widziała także pententów i wezwanych, zagubionych w jaskrawo oświetlonych korytarzach, gdzie nawet bywający tu na co dzień profesjonaliści czasami nie mogli odnaleźć drogi. Niektórych podsądnych – skłutych kajdankami – eskortowali policjanci, zdarzało się, że prowadzili ich na łańcuchu. Ci zazwyczaj patrzyli tępo przed siebie, a z ich oczu wyzierała nuda, lęk albo zmęczenie po nocy spędzonej w areszcie.

Kauffmann dotarła w końcu do swojego gabinetu i odłożyła stos dokumentów, żeby natychmiast sięgnąć po akta młodego Thibaulta, podejrzanego w sprawie zabójstwa w Notre-Dame. Dwudziestoczworgodzinny czas zatrzymania dobiegał końca i trzeba było pilnie go przedłużyć. Kiedy wychodziła, zadzwonił telefon. Jej koleżanka, także zastępca prokuratora, podniosła słuchawkę, a Claire Kauffmann zatrzymała się w progu.

– To z recepcji od strony bulwaru du Palais – powiedziała koleżanka. – Ponoć któryś z księży z Notre-Dame chce z tobą mówić.

– Później – odparła Claire. – Podaj mu mój bezpośredni numer i powiedz, żeby zadzwonił za dwie godziny – dodała.

Potem wyszła z dokumentami pod pachą. Oddalała się szybkimi drobnymi krokami, zmierzając do Brygady Kryminalnej, gdzie czekał na nią komendant Landard z podejrzanym o morderstwo.

Ledwie zamknęła za sobą drzwi pomieszczenia, zrobiło jej się niedobrze. Trudno tu było oddychać, a przez kłęby papierosowego dymu raczej odgadła, niż zobaczyła Landarda, który swoim zwyczajem siedział na rogu biurka. Obok przykuty do krzesła podejrzanym wpatrywał się w buty oficera. Landard wstał i podszedł do stojącej przy drzwiach prokurator. Półgłosem zamienili kilka słów.

– Komendancie, czy to nowa technika przesłuchania? Wędzi pan podejrzanym jak śledzie?

– Zgadza się, pani prokurator. A na noc wkładamy ich do marynaty w wilgotnych podziemiach aresztu. W ciągu dnia podwędzamy ich na poddaszu, na czwartym piętrze. Przerzucamy ich z przyjemnego chłodu w skwar lata. Takie metody się sprawdzają. Tymczasowo zatrzymani... jak by to powiedzieć... miękną, stają się rozsądniejsi, skłonni do rozmowy.

– A już tak serio, pozwoli pan, że otworzę okno? Można się tu udusić.

– Skoro pani chce... Ale kiedy pani czarująca postać już stąd zniknie, będę musiał na nowo stworzyć atmosferę.

– Gdzie porucznik Gombrowicz?

– Zszedł na dół, na dziedziniec. Wysłałem go tam, żeby spokojnie zjadł kanapkę. Zaczynamy, pani prokurator? Zafundujemy drugą turę naszemu jasnowłosemu aniołowi?

– Komendancie, proszę go tak nie nazywać.

– Drażni to panią?

– Wie pan równie dobrze jak ja, że ten chłopak nie ma w sobie nic z anioła.

– Nie ma się czym denerwować. To tylko takie miłe przezwisko.

– Mam już dość tego nadawania czułych przydomków degeneratom, rozumie pan? Mam dość uznawania gwałciela za libertyna albo uwodziciela. Mam dość tych czających się między wierszami pytań: „Co ona właściwie robiła u tego faceta o takiej porze?”. Mam dość głupich eufemizmów, których używają brutalni mężowie, tłumacząc, dlaczego ich żony lądują na ostrym dyżurze. Mam dość tych wszystkich: „Oczywiście, że jej nie pobitem, palnąłem ją tylko dwa razy, żeby się uspokoiła”. Komendancie, w naszym zawodzie słowa mają swoje znaczenie, mają swą wagę i określony sens. Takie pojęcia, jak gwałt czy zabójstwo, wiążą się z konsekwencjami karnymi, więc uważam za nadużycie nazywanie „jasnowłosym aniołem” zatrzymanego, który

jest podejrzany o napaść seksualną i morderstwo. Czy przygotował pan formularz?

Landard wskazał pani prokurator swoje miejsce za biurkiem. Kobieta otworzyła szeroko okno i usiadła naprzeciwko Thibaulta, uważnie mu się przyglądając. Z całej atenielskości pozostał mu jedynie ten przydomek. Załamała go jedna noc spędzona w areszcie. Landard prowadził oblężenie fortecy, która już prawie upadła. Jeżeli chłopak miał coś na sumieniu, wystarczy godzina, żeby się do tego przyznał.

– Młody człowieku, przyszedłem tu, aby przedłużyć pański areszt tymczasowy o kolejne dwadzieścia cztery godziny.

Chłopak wciąż wpatrywał się w to samo miejsce przy biurku, skąd zniknęły buty komendanta. Nie zwracał najmniejszej uwagi na panią prokurator.

– Słyszał pan, co powiedziałam? Dobrze się pan czuje?

Nie drgnąwszy, nawet nie zmrzywszy oka, zaczął mówić i wtedy Claire Kauffmann dostrzegła, że jest potwornie blady.

– Proszę pani, oni poszli do mojej matki. Poszli do mojej matki i o wszystko ją wypytywali. A potem pokazali ją na ekranach jak cyrkowe zwierzę, zapłakaną, o twarzy pomarszczonej jak twarz mumii. Pokazali milionom widzów, jak moja matka zalewa się łzami.

Claire Kauffmann spojrzała na oficera policji.

– Co on opowiada? O czym mówi?

– Nie widziała pani? Przeprowadzili wywiad z jego matką i pokazali w dzienniku o trzy następnego.

– Żartuje pan? Która stacja to zrobiła? Kto podał im tożsamość podejrzanego?

– Nie mam pojęcia, pani prokurator. Podejrzewam, że szperali, wykonywali swoją pracę tak samo jak my.

– A kto pokazał mu ten wywiad?

– Zrobiliśmy sobie krótką przerwę w przesłuchaniu jakieś dziesięć minut temu. Gombrowicz potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem, więc wysłałem go na dół. Thibault i ja spokojnie oglądaliśmy dziennik, czekając na panią. Siedzieliśmy tu sobie jak dwaj dobrzy kumple przed telewizorem.

Na wzmiankę o reportażu telewizyjnym chłopakowi nagle zakręciło się w głowie. Claire Kauffmann wstała i położyła mu rękę na ramieniu.

– Komendancie, proszę mu zdjąć kajdanki.

– Pani prokurator, to nierozsądne.

– Komendancie Landard, żądam, żeby go pan natychmiast rozkuł. Wzywam lekarza.

Landard usłuchał, a potem pozwolił działać Claire Kauffmann, sam zaś wsunął ręce do kieszeni i stanął w najdalszym kącie pokoju, nie kryjąc złości. Kobieta podniosła słuchawkę. Czekając na połączenie, odwróciła się i patrzyła na chłopaka. W końcu podniósł głowę i wówczas ujrzała jego puste spojrzenie, które zatrzymało się na niej. Dopiero teraz zauważyła, jak jasne ma oczy – szare, niemal tak przezroczyste jak kalka, którą wystarczy delikatnie rozerwać, żeby zbadać wnętrze jego duszy. Złożył nareszcie wolne ręce i szeptem wypowiadał słowa modlitwy: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami, i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej”.

Zaraz potem poderwał się z miejsca i ruszył biegiem.

Już od trzech godzin telefon zastępczyni prokuratora Claire Kauffmann nie odpowiadał. Ojciec Kern nigdy nie czuł potrzeby posiadania telefonu komórkowego, ale dopiero teraz pożałował, że

zlekceważył tę nowinkę technologiczną, bo dwukrotnie zmuszony był opuszczać słój pomiędzy spowiedziami, żeby udać się do zakrystii, przed którą znajdował się przedpotopowy automat, nieszczęśliwy w epoce komórek. Żeby dotrzeć do tegoż telefonu, wiszącego w końcu korytarza łączącego katedrę z zakrystią, musiał okrążyć od północy przedsionek, bo za wszelką cenę chciał uniknąć południowej części katedry, gdzie jak zwykle na cały dzień posadziła zadek pani Siuska w kwiecistym kapeluszu. Nieco wcześniej, kiedy Kern snuł się po katedrze między dwiema próbami dodzwonienia się do Pałacu Sprawiedliwości, spotkały się spojrzenia jego i starszki w kapeluszu. Jej oczy były jeszcze bardziej błędne niż zwykle, wzięrało z nich przerażenie, którego zdawała się już nie kontrolować, porывая ją jak wir, mogące lada chwila przerodzić się w krzyki i zelektryzować wiernych oraz turystów. Kern wolał zawrócić, choć z trudem oderwał oczy od tych pałających źrenic, które wpatrywały się w niego spod plastikowych maków. Wiedział, że w tej chwili telefon do Claire Kauffmann jest ważniejszy od wysłuchiwania wyznań pani Siuski.

Ale nawet kiedy dotarł już do telefonu, musiał za każdym razem czekać, aż zostanie sam: aż zakrystian pójdzie wyciszyć srebra w jakimś odległym zakątku katedry, aż dyżurny porządkowy zakończy przerwę i dopije kawę, bo dystrybutor przeznaczony dla obsługi znajdował się właśnie w zakrystii; aż wiarna, która przyszła prosić o odrobinę wody święconej dla chorego krewnego, pośpieszy do domu z cennym płynem chlupoczącym na dnie plastikowej buteleczki. A kiedy wreszcie miał tę odrobinę koniecznej samotności i swobody, w słuchawce rozlegał się wciąż ten sam dźwięk – monotony, irytujący i zdający się sugerować, że Pałac Sprawiedliwości ewakuowano z powodu wybuchu bomby.

Było już po czwartej. Ojciec Kern znów odłożył słuchawkę, obiecując sobie, że ponowi próbę za kilka minut. Podobnie jak poprzedniego dnia czuł, że zaczyna gorączkować, a ten atak choroby dodatkowo nasilał przekonanie, że sprawa jest nagła, i wprawiał go w zdenerwowanie. Postanowił wyjść nieco wcześniej, wiedział bowiem z doświadczenia, że czeka go ciężka noc.

Usiadł na jednym z drewnianych kufów ustawionych w korytarzu zakrystii. Witraże wirydarza kapituły rzucały na jego plecy zielonkawe światło. Tuż obok po prawej, za obitymi skórą drzwiami dzielącymi to miejsce od katedry, anonimowa masa turystów czyniła potworny zgiełk godny wieży Babel. Ten hałas rozbrzmiewał bez chwili przerwy, od rana do wieczora, pod sklepieniem nawy głównej.

Ojciec Kern spojrzął na zegarek i podszedł do aparatu telefonicznego, ale zanim zdążył wybrać numer, przeszkodził mu Murad, porządkowy, który wszedł drzwiami od strony prezbiterium. Przez moment wzajemnie się obserwowali, jakby każdego z nich kępowała obecność drugiego, w końcu jednak Murad niechętnie skinął księdzu głową i zniknął w zakrystii. Kern usiadł i zagryzł usta. Znów musiał czekać, żeby zadzwonić.

Usłyszał mruczenie ekspresu do kawy. Wkrótce pojawił się Murad z plastikowym kubkiem w ręce. Porządkowy nie tyle usiadł na drugim końcu rzeźbionego kufra, gdzie czekał ksiądz, ile się na niego osunął. Przez chwilę trwali w milczeniu, słysząc tylko przytłumiony szmer tłumu i ciężkie westchnienia Murada, a nawet skrobanie plastikowej szpatułki o dno kubka. Ojciec Kern zajął się nabijaniem fajki.

- Kiepsko wyglądasz, Murad. Coś poszło nie tak?
- Zupełnie nie tak, ojcze, zupełnie nie tak.
- Powiedz, co się stało. Masz jakieś problemy?
- niesprawiedliwość, ojcze, oto co mnie spotkało. niesprawiedliwość, o jakiej nie słyshałem nigdy w życiu.
- Byłeś w prezbiterium, tak?
- No właśnie.

– Domyślam się, że u rektora?

– Tak. Przed chwilą przekazano mi przez walkie-talkie: „Murad, rektor cię wzywa”. Dobrze ojciec wie, że takie wezwania na górę nie zdarzają się często.

– Tak, wiem o tym.

– Toteż pobiegłem natychmiast do prezbiterium, zapukałem do drzwi gabinetu rektora. Nie zgodnie ojciec, o czym chciał ze mną mówić.

Ojciec Kern zapalił fajkę, a dopiero potem odpowiedział. Kłęby ciężkiego wonnego dymu unosiły się nad jego głową.

– O twoim wieczornym obchodzie po niedzielnych uroczystościach, tak?

Porządkowy wyprężył się i spojrzął na księdza.

– Słowo daję, wszyscy o tym wiedzą! Wszyscy są tu przekonani, że nie zrobiłem obchodu po zamknięciu kościoła! Wszyscy oprócz mnie!

– Ja ci wierzę.

– To dobrze, bo coś ojcu powiem: zrobiłem ten obchód. Nawa, kaplice, obejście chóru, zakrystia, kuchnia, podziemia, szatnie...

– Wierzę ci, Murad.

– Nie wiem tylko, dlaczego rektor nie chce mi uwierzyć.

– Ja też nie wiem. Podejrzewam, że policja powiedziała mu, że kościół nie został sprawdzony. Domyślam się, że nie widzą innego wyjaśnienia dramatu, który rozegrał się tu w niedzielny wieczór.

– Rozumie ojciec, że w tym cały problem. Kiedy Gal mówi jedno, a Arab drugie, zawsze wierzy się Galowi. To naturalne, nikt się nad tym nie zastanawia.

– To, co powiedziałeś, dotyczy całego kraju. A co powiedział rektor?

– Że kiedy ta sprawa ucichnie, zbierze się, jak to nazwał, komisja dyscyplinarna. Co to znaczy, ojczcze?

– To znaczy, że będziesz się musiał wytłumaczyć.

– Ale co tu tłumaczyć? W jaki sposób mam udowodnić, że zrobiłem ten obchód?

– Zapamiętaj jedno: jeżeli naprawdę zbierze się komisja dyscyplinarna i staniesz przed nią, to będziesz miał prawo wybrać osobę, która będzie cię wspierała. Jeśli się zgodzisz, ja mogę być tą osobą.

Murad spojrzął na niego z ukosa.

– Jest ojciec dobry, taki uprzejmy. I twardo trzyma się ojciec zasady: „bronię Arabów i złodziei, bronię morderców z Poissy”. Ma w sobie ojciec cechy dobrego chrześcijanina, przyzwoitego faceta. Bardzo dziękuję, ale powiem szczerze: to nie Poissy, a ja nie jestem ani mordercą, ani złodziejem. Z całym szacunkiem: nie potrzebuję litości. A skoro mówię, że wykonałem moją pracę jak należy, znaczy, że to prawda. I nie powinienem potrzebować wsparcia księdza, żeby ludzie mi uwierzyli.

Szybko wypił kawę i wrócił do katedry, ustawiając głośność radionadajnika u pasa, tuż obok karabińczyka, na którym podzwaniały klucze.

Ojciec Kern ciężko zdźwignął się z łufra. Bóle nóg już dawały mu się we znaki. Zapomniawszy na chwilę o telefonie i zastępczyni prokuratora, wyszedł przez drzwi zewnętrzne, ruszył w dół po kamiennych schodach i skierował się do rezydencji rektora. Już po chwili go zobaczył – stał oparty o poczyniały mur prezbiterium. Ksiądz rektor de Bracy zauważył Kerna i wyszedł mu naprzeciw. Spotkali się przed drzwiami Świętego Szczepana.

– Wyszedł ksiądz zaczerpnąć świeżego powietrza?

– Na górce, w prezbiterium, jest tak gorąco, że trudno wytrzymać. Jak ty toń ksiądz pali?

– Petersona. To mieszanka na bazie Virginii. O ile się nie mylę, ksiądz rektor nie pali?

- Nie, nie pałę. Kiedyś, w młodości, owszem, ale to było dawno temu. Szedł ksiądz do mnie?
- Właśnie się dowiedziałem, że Murad ma stanąć przed komisją dyscyplinarną.
- Nie, teraz to już nieaktualne. Dam biedakowi spokój, katedra również będzie mogła powrócić do normalnego życia liturgicznego.
- Dlaczego? Co się stało?
- Minister osobiście do mnie zadzwonił, żeby poinformować, że ta ubolewania godna sprawa jest zakończona.
- Minister?
- Tak François, minister sprawiedliwości. Jak księdzu wiadomo, losy naszej katedry szczególnie go interesują. A podejrzany w pewnym sensie podpisał pełne zeznania.
- „W pewnym sensie”? Co to znaczy?
- Ten młody człowiek tuż po południu popełnił samobójstwo. To tragedia. Ponoć podczas przesłuchania rzucił się z okna biura na czwartym piętrze. Kiedy przewieziono go do szpitala, już nie żył.

Siedząc na krawężniku z nogami wiszącymi nad wodą, Gombrowicz wpatrywał się w nurt Sekwany. Pół godziny wcześniej opuścił gmach i przeszedł na drugą stronę ulicy, nie zwracając uwagi na samochody. Bezwiednie, jakby wiedziony zaskakującą potrzebą ujarzmienia płynącej wody, skręcił w brukowaną alejkę, która prowadziła na brzeg rzeki.

Doskonale wiedział, że po powrocie będzie musiał opowiadać o tym, co widział, o tym, co się stało. Godzina. Dali mu godzinę, żeby się uspokoił i pozbiierał myśli. Szukał słów, patrząc na płynącą Sekwanę. Próbował przemienić obrazy tłoczące się w głowie w logiczny ciąg zdań, ale nic z tego nie wychodziło.

Gombrowicz nigdy nie miał łatwości układania zdań. Już w szkole policyjnej, a może nawet wcześniej, w liceum, nie bardzo sobie z tym radził – raporty, wszystkie te papierki, przesłuchania to był dla niego istny krzyż Pański. Bóg jeden wie, ile raportów gliniarz musi napisać przez lata pracy.

Kiedy wróci do biura, poproszą, żeby przedstawił swoją wersję wydarzeń. Wcześniej przesłuchają Landarda i tę młodą zastępczynię prokuratora. Będą chcieli, żeby wyraził swe odczucia w słowach. I co ma powiedzieć ludziom z IGS?[?](#)

Byłem na dole, na dziedzińcu. Przysiadłem na masce 308. Właśnie kończyłem panini. Zamierzałem jeszcze szybko wypalić papierosa przed powrotem na górę.

Co właściwie ma im powiedzieć?

Otworzyłem puszkę pomarańczowej fanty, odchyliłem głowę do tyłu, żeby się jej napić, i spoglądałem na górę.

Co ma powiedzieć? Czy powinien wspomnieć o odczuciu, które towarzyszyło mu od wczoraj i przez znaczną część nocy spędzało sen z powiek?

Zdawałem sobie sprawę, że chłopak jest u kresu wytrzymałości. Zauważyłem to już w samochodzie wczoraj wieczorem, kiedy wracaliśmy po przeszukaniu. Landard siedział za kierownicą, jechał jak szalony, a prokurator, która siedziała na miejscu pasażera, patrząc na drogę, milczała jak zakłęta i sprawiała wrażenie osoby, która lada chwila ciężko się rozchoruje.

Co ma im powiedzieć?

Ja od razu zrozumiałem, że ten chłopak nie wytrzyma. Już wczoraj wieczorem w samochodzie czułem, że drży jak osika. Potem, kiedy zaprowadziliśmy go do aresztu w Pałacu Sprawiedliwości, gdzie miał spędzić noc, czułem, jak jego ramię staje się bezwładne. A kiedy Landard poinformował

go, że musi poddać się kontroli osobistej, zaczął kwilić jak dziecko.

O co właściwie mogą go pytać?

Czy wczoraj wieczorem w areście zjadł kolację? Skąd mam wiedzieć takie rzeczy? Czy była wystarczająca liczba porcji kolacji? Bo wczoraj wieczorem arest był chyba przepełniony. Z kim spędził tę noc? Kto jeszcze siedział z nim w siedmiometrowej celi? Nie mam pojęcia. Pałacowy arest to nie Ritz, to jasne. Kawa, owszem. Oczywiście, dostał kawę. Prawdę mówiąc, sam mu ją kupiłem. Automat na szczęście akurat działał.

Co powinien im powiedzieć? Ujawnić najskrytsze myśli?

Muszę wam powiedzieć, że w całej tej sprawie coś nie gra. Od początku coś mi tu nie pasuje.

A może powinien zdusić intuicję i trzymać się wyłącznie faktów? Dziedzińca gmachu? I swojego panini? I maski 308?

Odchyliłem głowę, żeby napić się fanty, i wtedy zobaczyłem go w oknie. Widziałem, jak wychodzi przez futrynę, a właściwie niesamowicie szybko wybiega. Jak człowiek-guma, który wyskakuje z małej skrzyni nogami i rękami do przodu, ale w przyspieszonym tempie.

Czy powinien im wspomnieć o tym dziwnym wrażeniu? O dziwnym wrażeniu, że czas jakby się zatrzymał na moment skoku?

A potem spadł, ale bardzo wolno, jakby wyświetlano film klatka po klatce. Spadał pośród grobowej ciszy. Jak zeschnięty liść, bardzo, bardzo lekki liść. Albo jak anioł. Przynajmniej początkowo. Ponieważ im bliżej był ziemi, tym wydawał się cięższy. Rozumiecie, co mam na myśli? I spadanie stawało się coraz szybsze. Bo kiedy dotknął bruku na dziedzińcu, rozległ się głuchy huk, bardzo dziwny, bardzo ciężki, jakby pianino runęło na ulicę i roztrzaskało się. Tylko nie słychać było brzmienia strun.

Natomiast wcale nie musiał im mówić, że kiedy zobaczył martwego dziecka pod swoimi nogami, zaczął potwornie krzyczeć. Zapamiętał bardzo dokładnie: upuścił puszkę fanty i zaraz potem zaczął wrzeszczeć jak opętany. A przy quai des Orfèvres 36 ludzie wychylali się przez okna, żeby zobaczyć, co się stało.

Miał wrażenie, że źródło tego świądu tkwi głęboko w nim, jakby jakieś żyjące szalone obce ciało przeniknęło jego organizm i postanowiło pożreć go od środka, zaczynając od stawów. Drapanie nic nie dawało. A może trzeba było drapać aż do krwi, aż skóra pęknie, otworzy się, a paznokcie dosięgną żywego mięsa i obnażą kości?

Już o ósmej wieczorem gorączka przykuła go do łóżka. Próbował wprawdzie znów rozłożyć stary budzik Bayarda, ale świdrujący ból w nadgarstku zmusił go do puszczenia śrubokrętu. Nawet się nie rozbierając, położył się na materacu – drobna ciemna sylwetka na białej pościeli, żaloszny drewniany pajacyk, suchy wiór zagubiony w wielkim łóżku. Na stole pozostał na pół rozmontowany budzik, którego części poniewierały się pod biało-czarnym zdjęciem brata Kerna, a dwa metry dalej książd starał się za wszelką cenę zapamiętać, że ma ciało.

Nic nie mogło przynieść ulgi. Wiedział o tym od dzieciństwa. Od tego dnia, gdy jako pięcioletni po raz pierwszy zobaczył czerwone plamy na rękach i na szyi i zawołał: „Mamusiu!”. Gorączka i zaczerwienienia powróciły nazajutrz wieczorem i w kolejnych dniach. Po czterech takich atakach, którym towarzyszyły gwałtowne bóle nadgarstków i dłoni, trzeba było spałkować piżamę i pluszowego króliczka do walizki i jechać do szpitala. Spędził tam trzy miesiące.

Zrobili mu wyszko – biopsję, punkcję, analizy krwi, biorąc pod uwagę nawet najgorsze, nawet raka układu limfatycznego – w końcu jednak odrzuciwszy kolejno szereg hipotez, postawili diagnozę. Choroba, na którą cierpiał, nie jest śmiertelna – to była dobra wiadomość. Jednak była

i zła: nikt nie znał źródła choroby ani nie wiedział, jak ją leczyć.

Dziecko wróciło do domu. Ataki ustały, jednak niespełna rok później pojawiły się znowu, ale ze wzmożoną siłą, co doprowadziło do kolejnej hospitalizacji. Lekarze bardzo szybko przestali podawać mu duże dawki aspiryny i sięgnęli po kortyzon w równie końskich dawkach. Z czasem wieczorne bóle stały się rzadsze, a lekarze, obserwując kolejne ataki, po kilku latach choroby postanowili stosować kortykoidy od chwili wystąpienia pierwszych symptomów choroby.

Pomiędzy dwoma pobytami w szpitalu dziecko zamiast rosnąć, raczej się starzało. Ceną ulgi w cierpieniu i pewnego komfortu, który zakłócały bóle artretyczne, było zaburzenie normalnego wzrostu, prawidłowego rozwoju mięśni, normalnej budowy szkieletu, a wreszcie – normalnego dzieciństwa. Inni, przyjaciele z podstawówki, a potem z gimnazjum i liceum, wyrosli, grali w piłkę nożną, urządzali imprezy, podrywali koleżanki z klasy i stopniowo odsuwali się od bladego chłopca, który nie chciał rosnąć, znikał na całe tygodnie ze szkolnej ławki, żeby w szpitalu leczyć się z nie bardzo wiadomo czego.

Przez ten długi koszmarny okres, który prowadził od dzieciństwa do dorosłości, młody Kern, wciąż w takim samym z grubszą ciele, miał trzech prawdziwych przyjaciół.

Pierwszym był stary budzik Bayarda, rozkładany i składany pewnie z dziesięć tysięcy razy wieczorami, kiedy François usiłował zapomnieć o bólu albo o piekących ranach, kiedy starał się zrozumieć, dlaczego los postanowił w pewien sposób zatrzymać bieg czasu, gdy on miał zaledwie pięć czy sześć lat.

Drugim był ten, kto podarował mu budzik, kupując go od handlarza staroci za własne kieszonkowe. Budzik był zepsuty, zardzewiały, w fatalnym stanie. Starszy brat François miał czuprynę równie jasną, jak ciemne były włosy młodszego z Kernów, i był tak pełen życia, jak François słabowity. A jednak przez te wszystkie lata starszy brat, taki inny, nigdy nie odstępował go podczas nocnych ataków choroby, kiedy François nie radził już sobie z trawiącym go od środka ogniem.

Trzeciego poznał późno, kiedy z nastolatka przeradzał się w młodego mężczyznę, w okresie gdy każdy chłopak bardziej interesuje się tym, co się dzieje pod spódnicami dziewcząt niż kwestiami natury duchowej. I los – znowu los – chciał dla zachowania swoistej równowagi, by wówczas gdy François Kern poznał Boga, jego starszy brat wszedł na drogę przestępstwa.

Wyciągnął rękę do przełącznika nad łóżkiem i zgasił światło. Teraz pozostawała mu tylko nadzieja, że przejdzie przez tę noc jak przez długi, ciemny, cichy, przerażający tunel i doczeka rana. To była jedyna metoda. Wraz z pierwszymi promieniami słońca świat i ból przygasną. Nastanie dnia oznaczało, że na kilka godzin uwolni się od udręki. Wiedział o tym. I święcie w to wierzył. Zresztą to nie była kwestia wiary, tylko doświadczenia w cierpieniu.

Jego myśli błądziły. W końcu skupiły się na jasnowłosym chłopaku aresztowanym w konfesjonale, a teraz leżącym w jednej z szuflad w Instytucie Medycyny Sądowej. Kern otworzył oczy, uniósł głowę i w dogasającym świetle dnia spojrzął na zdjęcie brata. Nie mógł się powstrzymać od szukania podobieństw między nimi dwoma. Bo też łączyły ich blond włosy, podążanie błędnymi ścieżkami, szaleństwo i śmierć.

Znów zawiódł. Nie zdołał zapobiec tragicznej śmierci Thibaulta, która była niczym ponure echo śmierci jego starszego brata. Miał ochotę walić głową w ścianę, wykrzyzczyć gniew na Boga, Pana Najwyższego.

Poddał się bólowi. Takim, jakby cztery stalowe gwoździe przebijały mu nadgarstki i nogi. On także był uwieszony. I nie był to wyrok lżejszy niż dożywocie Dźbrila siedzącego w zakładzie karnym, chociaż więziły go nie grube kraty, lecz cierpienie, losy rodziny i człowieczeństwo. Miał nieustannie przeżywać ten dożywotni wyrok, jakby wydawano go na niego wciąż na nowo: straciłeś brata, opuściłeś go w obliczu śmierci i ta rana nigdy się nie zagoi, będzie się jątrzyć.

Na ulicy sierpniowy zmierzch ustępował na tej półkuli ciemnej nocy. Było chyba koło dziesiątej wieczorem. Kern zamknął oczy, położył głowę na poduszce i wsłuchiwał się w głosy miasta, które milkły stopniowo, gdy dogasał dzień. A potem pomyślał: „I już, wchodzę do ciemnego tunelu; tym razem nie mam wyboru – nadeszła godzina prawdy”.

Szli teraz gęsiego, trzymając się od siebie w odległości około dziesięciu metrów. Od niemal dwóch godzin nie odzawali się do siebie ani słowem. Milczeli, odkąd śmigłowce Sikorsky wyrzuciły ich w tumanach żółtobieżowego pyłu, nie tracąc nawet czasu na prawdziwe lądowanie, a tylko zawisając metr nad ziemią i pozwalając, by z ich grubych brzuchów wysypały się grupki ludzi w panterkach. Kolumna sunęła teraz po zboczach niczym wąż, który bezszelestnie wiję się po piaszczystej ścieżce. Robiło się coraz mroczniej. Słońce schowało się za górami. Zupełnie jakby kałuża atramentu rozlewała się po okolicy, wypływając wolno z dna pobliskich dolin. I oto idący przed tobą kompan stał się tylko sylwetką ledwie widoczną na tle piasku i zieleni krajobrazu. Wkrótce mieli zejść niżej i kontynuować wędrówkę wzdłuż parowu i koryta częściowo wyschniętej rzeki, które rozkazano im sprawdzić, zanim dotrą do wioski.

Idący z przodu sierżant uniósł rękę. Kolumna natychmiast się zatrzymała, każdy patrzył na kolegę przed sobą. Młody podporucznik podszedł do sierżanta i wyciągnął z kieszeni mapę. Razem ustalili dokładne położenie. Porozumiewali się szeptem, a ich głosy przerażały się w szmer i niknęły w otaczającym ich bezkresie niczym żaloszny strumyk, który płynął o wiele dla niego za szerokim korytem rzeki. Po chwili podporucznik schował mapę do kieszeni i przytknął do ust manierkę. Potem podał ją sierżantowi, ten jednak odmówił, lekko kręcąc głową. Młody podporucznik opróżnił więc manierkę i otarł usta wierzchem dłoni. Sierżant zerknął na niego – przelotnie, między mrugnięciami powiek, bez słowa, ale z lekkim wyrzutem, który tamten zignorował. Sierżant znów uniósł rękę, wskazując dno doliny dwunastce spokojnie czekających ludzi. Wciąż w ciszy kolumna ruszyła w dół. Długi ludzki wąż wił się teraz tak, jak nakazywało zbocze. Po zejściu ze szlaku obecność oddziału zdradzał tylko delikatny obłok pyłu unoszącego się spod ciężkich butów. Żołnierze dbali o zachowanie odpowiednich odległości. Raczej zsuwali się, niż schodzili w tę przepaść, mocno napinając mięśnie nóg i nie odrywając oczu od wycelowanej w nieznany teren lufy broni. Tam, w dole, panowała już ciemność, zacierając pejzaż. Podczas gdy oni przesuwali się w dół, noc zdawała się pięć w górę, jakby chciała wyjść im na spotkanie. Wąziutki strumyczek nagle przeobraził się w ciemną rzekę bliską przelania się z koryta. Jeszcze kilka metrów, najwyżej dziesięć, a nurt porwałby ich wszystkich.

Czwartek

– Proszę księdza, proszę posłuchać... Wczorajszy dzień był dla mnie bardzo ciężki, w nocy nie mogłam zmrzyć oka, a dziś czeka mnie cała masa kłopotów. Toteż nie mogę poświęcić na rozmowę zbyt dużo czasu. Chciał się ksiądz ze mną widzieć? A w jakiej sprawie? Niestety, skończyła nam się kawa. Może zechce ksiądz usiąść?

Czując jeszcze sztywność kończyn po nocnych cierpieniach, ojciec Kern przytrzymał się obiema rękami oparcia krzesła stojącego przed biurkiem zastępczyni prokuratora, ale nie usiadł. Dochodziła dziewiąta rano, a w biurze już panowała potworna duchota – efekt wczorajszego upału i bardzo ciepłej nocy. Siedząca tuż pod ścianą, z nogą na nodze, uczesana w ciasny koczek, Claire Kauffmann obserwowała małego księdza okiem na pozór chłodnym i obojętnym. Ale doskonale wiedziała, że jej spokój jest tylko grą; od przeszło ośmiu godzin wciąż niemal obsesyjnie analizowała ten moment nieuwagi, ten banalny gest współczucia, który pozwolił jasnowłosemu aniołowi pozbyć się kajdanków i wyskoczyć przez otwarte okno. Oczywiście nie zmrzyła tej nocy oka. Co ją podkuśliło, żeby osobiście informować go o przedłużeniu tymczasowego aresztowania? Co sprawiło, że zechciała popisywać się przed tym zbrodźcem seksualnym swoją urzędniczą władzą? Zwykle formalność tę brali na siebie oficerowie policji śledczej, a obecność zastępcy prokuratora była zupełnie zbędna. Zwykle prokuratura zachowywała większy dystans do toczących się spraw. Po co się w to angażowała, po co poluzowała zapięcia pancerza, w którym nie bez trudu zamykała się przez całe lata?

– Pani prokurator, przyszedłem, ponieważ mam dla pani ważną informację. Ogromnie żałuję, że nie zdołałem zrobić tego wczoraj.

Claire Kauffmann nawet nie mrugnęła okiem. Siedziała nieruchomo na krześle. Jednakże zaszczo jej w ustach, a z oczu ojca Kerna wyczytała, że zauważył jej zdenerwowanie.

– O jakiej informacji ksiądz mówi?

– Uzyskałem ją od świadka. To kłozard. Powiedział mi o tym wczoraj rano, tuż po otwarciu katedry.

– Wczoraj rano? Dlaczego nie skontaktował się ksiądz od razu z policją?

– Sam nie wiem, pani prokurator. Zamiast do kryminalnych przyszedłem do Pałacu Sprawiedliwości.

Kauffmann lekko się odwróciła, by wyrzucić przez okno.

– Podjął ksiądz złą decyzję.

– I ubolewam nad tym.

Claire Kauffmann przybrała sztywną pozę.

– Czego dokładnie ksiądz się dowiedział?

– Wiem, że wasz główny podejrzany nie żyje.

– Jak dawno ksiądz o tym wie?

– Od wczoraj. Dowiedziałem się późnym popołudniem. Powiedział mi rektor katedry.

Tym razem Claire Kauffmann nie kryła oburzenia.

– Widzę, że informacje z Pałacu Sprawiedliwości błyskawicznie docierają do Notre-Dame.

Ojciec Kern postanowił postawić kropkę nad „i”.

– Wiem, że zabił się koło południa, skacząc z okna policyjnego biura podczas przesłuchania.

– W takim razie wie ojciec również, że jest już za późno i zeznania tego kłozarda, cokolwiek widział, na nic się nie zdadzą.

– Słucham?!

– Sprawa została zamknięta.

– Zamknięta? Przez kogo?

– Przez prokuraturę. Prokuratura uznała, że dalsze śledztwo byłoby bezcelowe.

– Prokuratura? Czyli kto? Może pani?

– Nie mam obowiązku odpowiadać na takie pytania.

– Polecenie przyszło z góry?

– Nie muszę odpowiadać na ojca pytania.

– Kto polecił pani zamknąć tę sprawę?

– Nie muszę się ojcu tłumaczyć! Czy mam ojcu przypomnieć, że takie śledztwa prowadzone są z urzędu, a o ich kontynuacji decyduje prokuratura? Prokurator Republiki uznał, że samobójstwo podejrzanego oznacza przyznanie się do winy. Postępowanie zostało zakończone. Ani ksiądz, ani ja nie mamy na to wpływu.

– Prokurator Republiki? A odkład to strach oznacza przyznanie się do winy? Odkład zagubienie albo choroba umysłowa wystarczą, by uznać kogoś za winowajcę? Odkład to śmierć równa się takiemu przyznaniu? Czy przynajmniej wysłuchała pani tego chłopca? Czy pani z nim rozmawiała?

– Nie jesteśmy w konfesjonale, a w Pałacu Sprawiedliwości. My tu zajmujemy się sprawami kryminalnymi. I nie pytam, czy decyzja jest moralna, ale czy jest zgodna z prawem. To nasza ewangelia.

– Czy nie można zrobić wyjątku?

– Przykro mi, nie jesteśmy tu po to, żeby lekką ręką udzielać rozgrzeszeń.

– Pani prokurator, przyszedłem, żeby przedstawić pani niezbity dowód... podkreślam: niezbity dowód niewinności chłopca, który wczoraj zadał sobie śmierć.

– Dowinności? Cóż to ma znaczyć?

– W dniu zabójstwa około dwudziestej drugiej, kiedy było już ciemno, ubrana na biało młoda kobieta weszła do ogrodów katedry. Aby się tam dostać, otworzyła furtę od rue du Cloître zamykaną na kłódkę. Klucze do niej ma tylko obsługa katedry. Szła w mroku po schodach prowadzących do drzwi na tyłach budynku. Te drzwi natychmiast się otworzyły. Prawdopodobnie więc ktoś na nią czekał. Dziewczyna weszła do katedry. Opuściła ją dopiero nazajutrz, kiedy wyniesiono ją po oględzinach przeprowadzonych przez lekarza sądowego. Ale wtedy była już w drodze do kostnicy. Tę nocną scenkę, którą opisałem, widział pewien młody człowiek, Kristof, Polak, włóczęga, który co wieczór przychodzi spać na skwer Jana XXIII tuż obok Ze swojego legowiska ma cudowny widok na ogrody i część katedry. Pani prokurator, czy mimo głębokiego przekonania, że dopadła pani sprawcę, zechce pani być tak uprzejma i odpowiedzieć na kilka pytań zadanych przez zwykłego księdza, prostego kapłana, który usiłuje rozpedzić mrok i poznać prawdę? Po co ofiara wróciła bocznym wejściem do katedry? Na jakie tajemnicze spotkanie się wybierała? Skąd miała klucz albo syfr do kłódki przy furtce od rue du Cloître? I kto otworzył jej drzwi świątyni? Pani kolej, zamieniam się w słuch...

Wytrzymała bez ruchu jeszcze pięć, najwyżej dziesięć sekund. Przez ten czas nie powiedziała ani słowa, prawie nie oddychała, a potem nagle, jak pęka tama, która nie może już wytrzymać naporu wzburzonej wody, rozpląkała się i te łzy małej dziewczynki kapały jej na kolana – jak

zwykle stulone. W pierwszej chwili jej reakcja zbiła ojca Kerna z tropu, potem jednak puścił oparcie krzesła, na którym zaciskał palce tak mocno, że na plastiku pozostały ślady. Okrążył biurko, wyjął z kieszeni chustkę do nosa i podał ją młodej zastępczyni prokuratora. Lekko obróciła krzesło na bok, wytarła nos i wreszcie powstrzymała szloch.

– Ta chustka pachnie tytoniem do fajki.

– Możliwe. Przykro mi.

– Nic nie szkodzi, przeciwnie, to przy pomina mi ojca. On też palił fajkę. Jego toga zawsze była przesiąknięta zapachem tytoniu.

– Toga?

– Był adwokatem.

Kern zdecydował się usiąść na wprost Claire Kauffmann.

– Jestem pani winien przeprosiny. Obawiam się, że mocno się zagalopowałem. Ta tragiczna śmierć na pewno panią wstrząsnęła.

– Skoczył na moich oczach. Widziałam, jak znika za oknem. Zaraz potem ktoś na dziedzińcu zaczął przeraźliwie krzyżeć.

– A teraz będzie pani miała problemy?

Pociągnęła nosem i znów sięgnęła po chusteczkę.

– Prokurator Republiki polecił wszcząć wstępne dochodzenie. Jeszcze dziś rano mam zostać przesłuchana przez IGS i IGSI.

– Dużo tych literek jak na jedną osobę.

– Inspekcja Generalna Służb i Inspekcja Generalna Służb Śledczych. Potem zapadnie decyzja o ewentualnym wszczęciu postępowania dyscyplinarnego.

– Przecież nie była z nim pani sama w tym biurze. Na pewno był tam także oficer policji? To on odpowiadał za chłopaka?

– Oczywiście, był tam Landard. Ale cóż... Landard to Landard. Podejrzewam, że to on mnie obciążył.

– Dlaczego miałby pani coś zarzucać?

– Bo to moja wina. Uparłam się, żeby otworzył okno. Uparłam się, żeby zdjął chłopakowi kajdanki. A potem wszystko poszło nie tak.

– Nie mogła pani przewidzieć, że on wyskoczy.

– Wszystko szło nie tak. Od początku. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Od chwili kiedy zobaczyłam zwłoki tej dziewczyny, za mocno wzięłam sobie tę sprawę do serca. Przyczyniłam się do uruchomienia maszyny, która zniszczyła chłopaka w niespełna dwa dni. Ja też chciałam, żeby się przyznał. Byłam pewna, że pod tą anielską gębą kryje się zbrojeniec. To było zbyt piękne, zbyt proste. Dyżurny wariat. Idealny sprawca. Oto kim był. Dla policji, dla mediów, dla prokuratury. Sprawca idealny. Zresztą wciąż nim jest. Jego śmierć niczego nie zmieniła. – Zaczęła chichotać i ten śmiech po płaczu znów upodobnił ją do małej dziewczynki. – Boże, już za długo mijam się z prawdą. Prosta trzydziestoletnia urzędniczka wyrusza na krucznię przeciw ogrom, potworom, seksualnym bestiom. Absurd... Absurd i ułuda... To przecież niczego nie zmienia... Nigdy... Nie da się cofnąć tego, co się stało...

Kern czekał. Doświadczenie spowiednika nauczyło go cierpliwości i milczenia przed drzwiami, które długo pozostawały zamknięte i nagle, niesmiało, same zaczynają się uchylać.

– Pomyśli ksiądz, że proszę o rozgrzeszenie. Wbrew wszelkim oczekiwaniom drobna urzędniczka Republiki zwraca się ku religii... Jak zatem postąpić? Ojczce, podaj mi instrukcję obsługi. Co należy zrobić? Bić się w piersi, mówiąc: „Spowiadam się Panu Bogu Wszchemogącemu”?

Zapadła cisza. Na ułamek sekundy księdzu stanął przed oczyma ptak tłuący się o kraty klatki.

– Claire, proszę mi powiedzieć... Kiedy to się stało? To było dawno temu?

– Oczywiście zamaryła. W pierwszej chwili ksiądz pomyślał, że patrzą gdzieś w dal, jednak szybko zrozumiał, że uciekły w przeszłość.

– Podczas wakacji, kiedy miałam szesnaście lat. Pewnego wieczoru na plaży.

– Czy kiedykolwiek z kimś pani o tym rozmawiała?

– Od tamtego lata szum morza przypomina mi o mdłości. Mówię wszystkim, że cierpię na chorobę morską. To taka wymówka, żeby nie zbliżać się do plaży... Nie, nigdy. Z nikim o tym nie rozmawiałam...

– Wierzę, że ręce strzępnęła ze spódnicy niewidoczny pyłek

– Jeszcze nie jest za późno, Claire.

– Co ojciec może o tym wiedzieć?

– Każdy dźwiga jakieś brzemie. Tę część siebie, która jest martwa i którą wlecziemy za sobą, dołdkolwiek staramy się dojść. Chrystus także musiał pokonać długą drogę, niosąc krzyż. Dźwigał go aż po szczyt cierpienia. Ale po trzech dniach zmartwychwstał, a wraz z nim odrodziła się nadzieja na nowe życie. Claire, krzyż nie jest celem, lecz bagażem. Prędzej czy później trzeba postawić go na ziemi.

– Czy pani prokurator znów zasnuły się mgłą. Wolała się odwrócić, kiedy Kern wstawał.

– Gdyby mnie pani potrzebowała, wie pani, gdzie mnie szukać, prawda? Jeżeli zechce pani porozmawiać, jestem do pani dyspozycji. Proszę o tym pamiętać.

– Dziękuję księdzu. Ale to niestety nie przywróci życia niewinnemu chłopakowi.

– Wyglądała teraz o wiele starszej, a tkwiąca w niej cząstka dziecka chyba odeszła już na zawsze. Sięgnęła po ołówek i notatnik

– A co z tym kłozardem, Polakiem? Gdzie można go znaleźć?

– Kern się zawałał.

– To nieistotne. Sprawa została przecież zamknięta, sama pani powiedziała. Wznowienie śledztwa graniczyłoby z cudem, a ja chyba mogę pani zaręczyć, że taki cud się nie zdarzy...

– Co sprawiło, że nagle nabrał ksiądz takiej pewności? Skoro jest ksiądz w posiadaniu ważnej wiadomości, to może śledztwo zostanie wznowione.

– Kto nalegał, żeby zamknąć tę sprawę? Prokurator Paryża?

– Tak, prokurator. Dzwonił do mnie dziś rano, bardzo wcześniej, kiedy byłam jeszcze w domu.

– A ten prokurator najprawdopodobniej odebrał telefon z ministerstwa...

– Nie rozumiem. Co ministerstwo może mieć do tej sprawy?

– Pani prokurator, czy słyszała pani o Zakonie Rycerskim Grobu Bożego w Jerozolimie?

– Ta nazwa pojawiła się w aktach...

– Oni nie zajmują się tylko noszeniem figury Matki Boskiej podczas procesji w dniu Wniebowzięcia. Powinna pani wiedzieć, że to bardzo stary zakon, którego korzenie sięgają średniowiecznych krucjat. Rzecz jasna dziś już nie walczą z mieczem w ręku i nie bronią fortec. Ich celem jest umacnianie wspólnoty chrześcijańskiej w Ziemi Świętej za pośrednictwem organizacji charytatywnych. A także ewangelizacja społeczeństwa Zachodu. Prowadzą działalność w trzydziestu państwach, w tym we Francji.

– A poza tym?

– Kaplica kapituły zakonu bożogrobców mieści się w Notre-Dame. Wiedziała pani o tym? Aby ostatecznie przywrócić spokój w katedrze, najprawdopodobniej wystarczył jeden telefon. Z Notre-Dame do Pałacu Sprawiedliwości jest zaledwie pół kilometra, często jednak szybsza droga wiedzie przez plac Vendôme.

– Sugeruje ksiądz, że wasi kawalerowie mają dojście do Ministerstwa Sprawiedliwości?

– Minister należy przecież do ich grona. Toteż osobiście jestem teraz przekonany, że to

Śledztwo zostało raz na zawsze pogrzebane.

Tylona w oparciu fotela Claire Kauffman zdążyła się już uspokoić. Tylko jej oczy wydawały się niezwykle rozbiegane i to one zdradzały, że zastępczyni prokuratora intensywnie się nad czymś zastanawia. Kern chciał chyba podać rękę Claire, jednak powstrzymał ten gest.

– Sprawiedliwość wskazała już winnego, takie są fakty. Wygląda na to, że Kościół to akceptuje. Szalenciec, zblądana owieczka szybko pójdzie w niepamięć. Natomiast rodzina ofiary zostanie poproszona o pochowanie córki dyskretnie, bez rozgłosu. Może zresztą biedne dziecko już spoczęło w grobie.

– Nie. Jeszcze nie. Pogrzeb odbędzie się jutro o piętnastej na cmentarzu Montmartre.

– Zamkną grób cementową płytą oficjalnej wersji, a rodzice będą musieli jakoś to przełknąć: „Waszą córkę zamordował szalenciec, to banalna historia, dziękujemy państwu, nie macie podstaw występować do sądu!”. Kto zresztą chciałby wznawiać śledztwo, które wszyscy uznali za zakończone? Kto?

Claire Kauffmann założyła nogę na nogę. Oddychała nieco za szybko. Wpatrywała się w Kerna z trudnym do uzasadnienia natężeniem.

– Poszło mi oczko.

Ksiądz mimowolnie zwrócił oczy na nogi pani prokurator.

– Słucham?

– Podarły mi się rajstopy. Będę musiała wyjść, żeby je zmienić.

I ruchem robota, oblewając się rumieńcem, chwyciła leżący na biurku spinacz, wyprostowała go, a potem wbiła drut w lycrę tuż nad kolanem. Delikatna mgielka rozdarła się, włókienka pękły, w górę pobiegła jaśniejsza dziesięciocentymetrowa strzałka. Kobieta wstała i przeszła obok oniemiałego Kerna. Kierowała się ku drzwiom. Już z ręką na kłamce przystanęła i nawet się nie odwracając, zaczęła mówić cichym i lekko drżącym głosem:

– Akta sprawy z Notre-Dame leżą w szufladzie mojego biurka, klucz tkwi w zamku. Raporty z rewizji i przesłuchania, wyniki autopsji, raport lekarza sądowego... jest tam wszystko. Moja koleżanka poszła do sądu, z pewnością nie wróci w ciągu najbliższej półgodziny. Ja wychodzę na dziesięć minut, ale z zegarkiem w rękę. Tyle ma ksiądz czasu. Po powrocie chciałabym zastać akta porządnie ułożone, tam gdzie je zostawiłam. Jeżeli ksiądz chce, może użyć fotokopiarki. Wystarczy wcisnąć zielony guzik, żeby wyjść z trybu czuwania. Do zobaczenia.

Uchyliła drzwi i błyskawicznie wyszła. Słyszał jej cichnące kroki.

Jak długo stał z opuszczonymi rękami przed biurkiem, na którym piętrzyły się dokumenty, w tym małym pokoiku, gdzie pachniało papierami i kurzem? Ile czasu minęło, zanim dokładnie zrozumiał, co podszeptała mu zastępczyni prokuratora? Wydawało mu się, że zegary stanęły, a krew zamarła w jego żyłach. W dali słyszał bicie dzwonu Notre-Dame wzywającego na mszę o dziewiątej. Chyba ten dzwon wyrwał go z odrętwienia. Wolno, z duszą na ramieniu, jakby był małym chłopcem, który boi się, że rodzice go przylapią i ukarzą, podszedł do biurka zastępczyni prokuratora i przekręcił klucz w szufladzie.

Kern duszkiem wypił kawę. Długo czekał, aż wystygnie, bez słowa mieszał płyn czarny jak myśli, które go ogarnęły, a na jego twarzy malowały się zatroskanie i niepewność, więc zwlekał, żeby dać sobie czas na podjęcie decyzji, i sam na siebie się irytował, że to niezdecydowanie uniemożliwi mu zrobienie tego, po co przyszedł. Przed nim na taborecie, który wydawał się za kruchy, żeby wytrzymać taki ciężar, siedział Dżibril i oparłszy łokcie o kolana, obracał w palcach kubek z kawą. Przenikliwego spojrzenia nie odrywał od małego księdza.

– François, wyglądasz jak gość, który przyszedł się wypowiadać, ale nie wie, od czego zacząć. Ksiądz postawił kubek przy łóżku, na którym siedział. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął złożony plik fotokopii. Bez słowa podał papiery Dźibrilowi. Więzień odstawił kubek z kawą rozpuszczalną i zaczął przeglądać dokumenty spięte w rogu zszywką.

– To akta śledstwa?

– Nie, dokumenty z prokuratury. Teraz, po umorzeniu postępowania, nie trafią nawet do sądu.

– Tak jest znacznie prościej. Sędziowie są upierdliwi i zbyt niezależni. Mógłby się trafić taki, który wetknąłby nos gdzie nie trzeba, i co?

– Może masz rację, nie wiem. Co my ślisz o tych aktach?

– Na pierwszy rzut oka mogą powiedzieć, że nie są grube.

– Dopadli winnego, więc czego mieli jeszcze szukać?

– Jak to zdobyłeś?

– Ta młoda zastępczyni prokuratora, która prowadzi sprawę, pozwoliła mi przejrzeć akta.

– Babka sporo ryzykuje.

– Wiem. Zdradziła tajemnicę śledstwa.

– Z tego co mówisz, już wpadła w tarapaty. Coś mi się wydaje, że wziął się za nią wydział wewnętrzny?

– Co sądzisz o tych aktach? Prawdę mówiąc, masz rację, nie wiem, od czego zacząć. Przejrzałem te papiery w metrze. Protokoły z przesłuchań niczego nie wnoszą, protokoły z rewizji... jakby to powiedzieć... tylko potwierdza, że chłopak miał jakieś zaburzenia seksualne.

Na twarzy więźnia pojawił się szeroki uśmiech. Z uwagą wpatrywał się w jedną ze stron akt. Paznokciem kciuka ściągnął spinacz, żeby rozdzielić kartki. Kiedy ojciec Kern zobaczył, jak to robi, przed oczyma stanął mu buldożer delikatnie wyjmujący gwóźdź z deski.

– Ta mi się podoba. Pozwolisz? Zresztą bardziej pasuje do mojej celi niż do twojego domu. Chodzi o spójność. W końcu to ja jestem mordercą.

Szyderczy uśmiech nie zniknął mu z ust, gdy wieszal na ścianie kopię jednego z rysunków zarekwirowanych w domu Thibaulta.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę pozostałe... Dla kumpi. Mogę?

Kern za dobrze znał Dźibrila, żeby dać mu się sprowokować takimi bluźnierczymi zaczepkami. Bez słowa skinął głową. Więzień jeszcze przez chwilę przypatrywał się fotokopii zawieszanej między zdjęciami wyciętymi z pism pornograficznych, a potem usiadł i znów skupił się na aktach. Kern podjął przerwana rozmowę.

– Na miejscu zbrodni nie znaleziono niczego, co można by uznać za dowód. Kręci się tam za dużo ludzi, jest mnóstwo różnych śladów. Można to było przewidzieć. W końcu to jedna z najczęściej odwiedzanych budowli sakralnych we Francji. Co do wyników sekcji... Na ciele ofiary znaleziono DNA Thibaulta. I innych osób. No ale przecież spędziła cały dzień w tłumie, stykała się z wieloma ludźmi. Czy Thibault zostawił swój ślad, kiedy napadł na nią podczas procesji, czy też mordując ją? Tego nikt nie potrafi powiedzieć. Biedna dziewczyna została uduszona, ale ślady na szyi nie pozwoliły ustalić nic ponadto. Zabójca prawdopodobnie nosił rękawiczki. Ciało zostało przeniesione z miejsca zbrodni. Nie wiem... wszystkie informacje tracą znaczenie. W którą podążać stroną? Gdzie szukać? Przecież ja jestem księdzem, nie mam w sobie nic z policjanta.

Dźibril czytał. Nawet nie oderwał oczu od akt.

– Gdybyś pracował dla glin, nie przyszedłbyś do mnie, François, a ja nie otworzyłbym tobie drzwi. Oczywiście mówię w przenośni, bo to nie ja decyduję, kiedy te drzwi się otwierają, a kiedy są zamknięte...

– Rzecz jasna, pozostaje jeszcze ten niezwykle szcze-gół: wosk, którym polano jej waginę. To

umocniło przy puszczeniu, że sprawcą jest wariat, osobnik chory psychicznie, ale...

– Zaczynj poszukiwania po stronie dziewczyny.

– Nie rozumiem.

– Szukaj wokół zmarłej dziewczyny. W tych papierach informacje, które jej dotyczą, dałoby się zapisać na znaczku pocztowym.

– Była studentką historii.

– Gliny olały dochodzenie. Z tego, co tu wyczytałem, ledwie zajrzeli do pokoju dziewczyny w domu jej rodziców i na tym poprzestali. – Oddał akta ojcu Kernowi, a potem podsumował, uśmiechając się: – No cóż, robota Araba!

Kern wsunął papiery do kieszeni marynarki i spojrzął na zegarek

– Muszę już iść, bo nie zdążę.

– Dokąd?

– Na pogrzeb. Odbędzie się o piętnastej na cmentarzu Montmartre.

Obaj mężczyźni wstali i podali sobie ręce.

– Już idziesz?

– Dźibril, dziękuję, bardzo mi pomogłeś.

– Prześlę ci rachunek za poradę przez sekretarkę. Informuj mnie na bieżąco, dobrze? To dla mnie naprawdę ważne.

– Wciągnąłeś się w tę grę? Książd i skazaniec... Przyszaj, że niezwykły z nas duet detektywisty czny.

Dźibril lekko się uśmiechnął. Kern wyczuł, że więzień myślami jest już gdzie indziej, daleko, że z ciasnej przestrzeni celi uciekł w miejsce i czas dla jego gościa niedostępne. Mimo drzwi, mimo rozmównic, mimo godzin poświęconych co tydzień pracy kapelana granica pomiędzy światem zewnętrznym a tym więziennym była nieprzekraczalna i Kern doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mury rosły i stawały się coraz grubsze z każdą minutą pobytu w zamknięciu, z każdym dniem spędzonym w tym czyścicu ze stali i betonu. Dźibril stopniowo oddalał się od świata. Nikt i nic nie mogło przywrócić go do kręgu żywych.

Kern mocniej uściśnął lodowatą dłoń więźnia i przez chwilę jej nie puszczał.

– To, co dla mnie zrobiesz... sam nie wiem... te rady, wskazówki, rozmowa... Czy nie jest to dowód dobrego zachowania? Może mógłbym pomówić z sędzią nadzorującym wykonanie wyroku... żeby złagodził...

– Nie fatyguj się, ojczulku. Dla niego jestem zwykłym mordercą, koniec, kropka. Zresztą facet ma rację. Tu odkupienie grzechów jest niemożliwe. A poza tym dobrze wiesz, że pogadaliśmy sobie tylko o tym i owym. Fotokopie, które mi pokazałeś, oficjalnie nie miały prawa powstać.

– Fakt, masz rację. Naprawdę mi przykro, że tak niewiele mogę dla ciebie zrobić.

– Mylisz się, François. Przecież już zacząłem pobierać pensję. Od dziś zacznę myśleć o trochę innych rzeczach, muszę uruchomić wyobraźnię, myśleć o twojej sprawie, szczołkując wieczorem zęby. Zrozum, że w Poissy takie zajęcia są bezcenne. Całe moje życie sprowadza się tu przecież do tego czajnika i kubka kawy.

– Dobrze wiesz, że wcale taknie jest.

– A ty, ojczulku, wiesz, że właśnie taka jest prawda.

Książd obszedł wysoką na metr ściankę, która oddzielała łóżko od toalety, i w dwóch krokach dotarł do drzwi celi.

– Przygotuj się do niezwyklej podróży, François. I nie dziw się, jeżeli spotkasz na swojej drodze jakieś zjawy.

– Widzisz, Dźibril, zjawy spotykam w bezsenne noce. Ja również co wieczór wędruję przez czyściec. I jeszcze od tego nie umarłem.

Kern poruszył kławką. Słyszając suchy trzask zamka, więzień cofnął się o krok.

– Tym razem mógłbyś dotrzeć nawet do piekła, ojczulku. A tam twoje piękne modlitwy na nic by się zdały. Zresztą radziłbym przedtem zdjąć ten krzyżyk, który nosisz w kłapie marynarki. Tam, dokąd idziesz, będzie cię tylko zdradzał. Uwierz mi.

Drzwi się otworzyły i ksiądz i więzień zobaczyli stojącego w korytarzu funkcjonariusza służby więziennej. Ojciec Kern jeszcze raz spojrział na więźnia, a potem zniknął w holu oświetlonym zimnym światłem lamp neonowych. Za jego plecami stalowe drzwi celi zamknęły się ze złowrogim trzaskiem niczym wieko trumny.

Luna Hamache ledwie spoczęła w ziemi, gdy ojciec Kern dotarł do 14. sektora cmentarza Montmartre. Ociężała, jakby w zwolnionym tempie, odrętwiała z rozpacz i od upału trzydziestoosobowa grupa zgromadzona wokół grobu uformowała szereg, by nie zakłócać spokoju rodzicom stojącym tuż nad mogiłą, nieruchomym, jakby wykutym w kamieniu. Oboje około pięćdziesiątki, byli opanowani i żadne nie uroniło łzy, jakby jeszcze nie dotarło do nich, co robią na tym cmentarzu, ani że skromna surowa trumna, spoczywająca już na dnię piecary, kryje zwłoki ich córki, a nie jakiejś obcej osoby, na której pogrzeb przyszli przez przypadek. Zwłaszcza ojciec wydawał się nieobecny duchem. Trudno mu było skupić się na trumnie i raz po raz spoglądał ku cmentarnej bramie, jakby oczekiwał, że przekroczy ją Luna i roztaczając wdzięk młodości, zada kłam grabarzom i samej śmierci.

Wzdłuż szeregu żałobników przeszła młoda kobieta, która wręczyła każdemu białą różę. Wówczas Kern zauważył, że niemal wszyscy tu są bardzo młodzi i ubrani na biało. Z powagą, która wręcz nie przystawała dwudziestolatkom, koledzy Luny przesuwali się przed otwarty grobem i rzucali na wieko trumny kwiaty, dławiąc szloch albo szepcząc parę słów, które niknęły w dobiegającym z ulicy szumie. Kiedy tak szli, oczy Kerna spotkały się ze spojrzeniem trzymającego się na uboczu mężczyzny. Stał oparty plecami o drzewo, z rękami splecionymi na piersi, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Kapłan poznał porucznika Gombrowicza i dyskretnie skinął mu ręką, a oficer odpowiedział, lekko skłaniając głowę.

Po chwili dwaj grabarze komunalni podeszli do rodziców zmarłej, by zamienić z nimi kilka słów. Matka dwukrotnie pokławiła głową, ale zrobiła to jak automat, a potem obrzuciła wszystkich obecnych przy grobie spojrzeniem, które wyrażało podziękowanie. Grupa zaczęła się rozchodzić bardzo wolno, jakby wszyscy tu mieli ołów w butach, a pracownicy cmentarza niezwłocznie przystąpili do pracy, żeby jak najszybciej zamknąć grób. Rodzice Luny jeszcze przez pewien czas stali, obserwując ich pracę, w końcu jednak matka ujęła męża pod rękę. Przeszli kilka kroków alejką, drepcząc jak dwójka starszków, którzy wzajemnie liczą na swe wsparcie, by nie upaść, gdy nagle pozostali na tym świecie sami, utraciwszy tu, co kazało im trwać i mobilizować siły. Na swej drodze ujrzeni niskiego mężczyzny o surowej szczupłej twarzy. W kłapie marynarki nosił krzyżyk. Podeszedł do nich i serdecznie uściskał im dłonie.

– Pozwolą państwo, że się przedstawię. Ksiądz Kern. To ja znalazłem ciało państwa córki w poniedziałek rano w Notre-Dame.

Matka Luny Hamache przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a ojciec nadal nie odrywał oczu od bramy cmentarza. Kobieta w końcu odezwała się, jednak jej głos zdradzał poruszenie spotkaniem z człowiekiem tak blisko związanym z miejscem śmierci jej córki.

– Dziękujemy, że ksiądz przyseł. Dziś rano otrzymaliśmy kondolencje od rektora...

– Tak, od księdza de Bracy'ego.

– Napisał, że w kościele modlono się za naszą córkę. Oczywiście jego słowa przyniosły nam

pociechę, ale...

– Ale niczego nie wyjaśniają... Mam rację?

– Dobrze znalazł ksiądz moją córkę? Widział ją ksiądz wcześniej w Notre-Dame?

Jej oczy błęgały i Kern ze zdumieniem słuchał, jak z jego ust płynie jak najbardziej ogólna odpowiedź:

– Nie, proszę pani. Przykro mi, nie znałem Luny. Ale wszyscy modlimy się za nią.

– Nie rozumiem. Nikt nam niczego nie wyjaśnia. Samobójstwo mordercy spowodowało, że jesteśmy zupełnie bezradni. Wymiar sprawiedliwości chyba już całkiem o nas zapomniał. Dla nich to zamknięta karta. To jest jak mur bez drzwi i okien: nie wiemy nawet, gdzie zapukać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tej napaści, która... A co do obecności Luny podczas procesji w święto Wniebowzięcia... Nigdy nie wspominała nam, że religia katolicka ją pociąga. Jak pan widzi, jesteśmy tak zwanym mieszanym małżeństwem. Zawsze pozostawialiśmy córce swobodę wyboru religii, która najbardziej jej odpowiada. Do tej pory nigdy nie poruszała w rozmowach z nami tego tematu. Usiłujemy to zrozumieć, ale wydaje się, że nikt nie jest w stanie udzielić nam żadnych informacji, ani rektor katedry, ani ksiądz. Pochowaliśmy córkę, a wraz z nią wiele tajemnic.

Kern poczuł się skępowany. Powinien postarać się ukoić ból pograżonych w żalobie rodziców, zwłaszcza że krzyżyk, który nosił w kłapie marynarki, znacznie przyczynił się do spontanicznych wyznań matki Luny, ale przecież doskonale wiedział, co spowodowało go na ten cmentarz. W rzeczy wistoci powodowały nim potrzeby śledztwa i przyszedł raczej z pytaniami o Lunę niż z odpowiedziami na to, co dręczy jej matkę.

– Pani Hamache, pani córka miała dwadzieścia jeden lat. To wiek poważnych zmagają wewnętrznych, a także dążenia do pewnego rodzaju niezależności. Może nie o wszystkim państwu mówiła. Może miała swój tajemniczy ogród.

– Od kilku miesięcy czuliśmy, że nieco się od nas oddaliła. Tak pragnęła niezależności, a my nie mogliśmy spełnić tego pragnienia.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Nie śpimy na pieniądzach. Tylko to miałam na myśli. Luna chciała się wyprowadzić na początku roku akademickiego, wynajęła małe mieszkanie blisko uczelni, zamieszkać z przyjaciółką z uniwersytetu. Zdarzało jej się nocować poza domem. Robiła to coraz częściej. Ale nie było nas stać na opłacenie jej czynszu. Mąż ukończył studia w Algierii, rozumie ksiądz. We Francji jego dyplom nie jest uznawany. Małżeństwo ze mną niczego nie zmieniło. Przez dwadzieścia lat pracował jako człowiek do wszystkiego w firmie informatycznej. Wykonywał drobne naprawy, pomagał, zajmował się dostawami. Trzy lata temu został zwolniony. W jego wieku trudno znaleźć nową pracę. Utrzymujemy się z mojej pensji. Jestem pomocą pielęgniarską. Nie jesteśmy w stanie pomóc córce w życiowym starcie. Zresztą teraz niczego już nie potrzebuje.

Broda pani Hamache zaczęła drżeć, kobieta zacisnęła zęby. Kern cierpliwie czekał. Jego pytania zmieniały rozmowę w przesłuchanie, którego ton łagodziło doświadczenie spowiednika.

– Wie pani, z kim zamierzała dzielić mieszkanie?

– Oczywiście. Z Nadią. To jej najlepsza przyjaciółka. Studiują... studiowały razem...

– Czy Nadia była na pogrzebie?

– To ta dziewczyna, która rozdawała róże. Na pewno ją ksiądz zauważył. I to ona poprosiła przyjaciół Luny, żeby ubrali się na biało. Nadia to dobra dziewczyna. W ten sposób chciała pożegnać Lunę. Śmierć naszej córki głęboko nią wstrząsnęła. To ona zadzwoniła do nas we wtorek i powiedziała o zdjęciu w „Le Parisien”, o tym poszukiwaniu świadków...

– Wydawało mi się, że to pan Hamache zobaczył zdjęcie w gazecie...

– Nie, Nadia. Po jej telefonie mąż poszedł do kawiarni i zajrzał do gazety. Potem

zadzwoniłiśmy na policję.

Słyszac swe nazwisko, ojciec Luny wyrwał się z otępienia i zwrócił oczy na księdza, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. Kern natychmiast poczuł, że te wciąż nieco błędne oczy prześwietlają go i pytają, po co właściwie przyszedł na cmentarz. Kern wydukał kilka słów, które miały nieść pociechę. Ale słowa i zdania wydobywały się z jego ust jak kwestie wygłaszane przez marnego aktora, brzmiały irytująco nienaturalnie, a on sam wyrzucał sobie, że wygłasza banały, nie umiejąc zdobyć się na serdeczność i szczerść. Pożegnał się i ruszył alejką biegnącą przed grobem. Po kilku krokach odwrócił się jednak i znów podszedł do rodziców Luny.

– Co studiowała córka? – zapytał, patrząc na panią Hamacę.

Wtedy po raz pierwszy ojciec dziewczyny otworzył usta.

– Historię, proszę pana. Luna robiła licencjat z historii. Miała zostać nauczycielką.

Żar znów lał się na Paryż, powietrze stało się nieznośnie ciężkie. Smog sprawiał, że trudno było oddychać. Kern opuścił cmentarz i wyszedł na avenue Rachel. Porucznik Gombrowicz dyskretnie wymknął się po zakończeniu ceremonii. Przed irlandzkim pubem na rogu bulwaru Clichy grupa ubranych na biało studentów powoli się rozpraszała, koleczy serdecznie się ze sobą żegnali. Ich białe ubrania były jakby nie na miejscu, wyglądały naiwnie, prawie komicznie, nie pasowały do chaosu panującego w mieście, warkotu silników, do woni spalin i przekleństw sypiących się z samochodów. Ksiądz nie był pewien, jak postąpić. Czy powinien zagadnąć tych młodych ludzi? Czy czekać, aż ich emocje się wyciszą? A może podejść i po prostu im się przedstawić? Próbować dowiedzieć się czegoś o ich koleżance, która spoczywa teraz w mogile, a którą przyszli pożegnać? Wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął woreczek z tytoniem, żeby jak zawsze, kiedy trudno mu było podjąć decyzję, zająć się nabijaniem fajki – skłupić się na błażej czynności, a odsunąć od siebie splątane myśli, które go nękały. Kiedy wsunął między wargi ebonitowy ustnik, dziewczyna, która na pogrzebie rozdawała kolegom białe róże, pożegnała się z grupą. Stukając obcasami, przeszła przez bulwar Clichy i nagle wszystko stało się jasne. Całe miasto sprowadzało się do tej jednej sylwetki – białej, smukłej, zmierzającej środkiem esplanady w kierunku placu Blanche. Zatrzymał się, żeby zapalić fajkę i poczuć aromaty czny dym, a potem podążył śladem Nadii, trzymając się dwadzieścia metrów za nią.

To, co się z nim działo, było jak upojenie, powrót do dzieciństwa i wczesnej młodości, której nie zaznał – bawił się, idąc za kobietą, bawił się w detektywa w zalanym słońcem mieście, na bulwarze, który po obu stronach otoczony był barwnymi pasami dachów, lusterek wstecznych, szyb. Kern szedł jakby nigdy nic, paląc fajkę, zafascynowany tą dziwną radością, którą rozbujało w nim tropienie dziewczyny. Choćby w tej chwili śledził go cały batalion umundurowanych żandarmów, nie zauważyłby tego.

Doszedłszy do placu, Nadia skręciła z bulwaru w rue Blanche. Ksiądz uznał, że to odpowiednia chwila, aby ją zagadnąć, i przyśpieszył kroku. Kiedy dzieliły ich zaledwie dwa, może trzy metry, dziewczyna na zatrzymała się przy drzwiach domu sąsiadującego z kawiarnią. Skłębła ręką, witając kelnera, który obsługiwał gości na tarasie kawiarni, i zaczęła wystukiwać kod. Zbity z tropu tymi nieprzewidywanymi okolicznościami Kern minął dziewczynę, ale nie odważył się jej zaczepić. Patrzył tylko na długie smukłe palce, które poruszały się po klawiaturze. Nie przyszło mu do głowy, żeby zapamiętać kod, czego zaraz pożałował. Zamek szczęknął. Nadia pchnęła drzwi i zniknęła za nimi.

Nie wiedząc, co dalej robić, usiadł w kawiarni, wybierając miejsce, z którego mógł obserwować drzwi. Kelner, lekko łysiejący dryblas z rudawymi bokobrodami, zaraz do niego podszedł. Przetarł stolik wilgotną gąbką. Kern zamówił piwo i nie czekając, aż marmurowy blat wyschnie, odłożył na niego fajkę. Dawno temu, kiedy miał szesnaście lat, upił się do

nieprzytomności w towarzystwie starszego brata, bo nie mógł już znieść bólu stawów. Ta metoda okazała się mało skuteczna, więc młodszy z Kernów leczniczo zdecydował się zażywać tylko kortyzon, który choć wielkim kosztem, pozwalał mu egzystować.

Ulicą przeszła wolno starsza pani z koszem w ręce. Widać było, że źle znosi upał. Ona także zatrzymała się przy drzwiach kamienicy i wstukała kod, który otworzył przed nią drogę do mieszkania zapewniającego prawdopodobnie przyjemny chłód. Ponieważ ani jej pamięć, ani dłonie nie były tak sprawne jak palce młodszej sąsiadki, która weszła parę minut wcześniej, z pewnym trudem wciskała cyferki, dając Kernowi dość czasu, by je zapamiętał. Ksiądz dopił kawo, zapłacił i podszedł do drzwi, teraz już wiedząc, jak je pokonać. Zanim jednak dotknął coraz bardziej drętwymi palcami klawiatury, odpiął metalowy krzyżyki schował go do portfela. Pchnął drzwi i znalazł się w brudnobrązowym korytarzu, którego ciasnotę pogłębiały zajmujące jedną ze ścian mocno zdezelowane skrzynki na listy. Kolejno odczytywał umieszczone na nich nazwiska, nie znajdując żadnej Nadii, potem minął klatkę schodową i ruszył w stronę drzwi prowadzących na małe podwórko. Było już późne popołudnie, więc słońce nie docierało w to miejsce, które w półmroku wyglądało jak studnia. Rowery, wózek i hulajnogi odstawiano tu byle jak w pośpiechu. Po lewej stronie Kern zobaczył drzwi do małego mieszkania, prawdopodobnie kawalerki. Już zamierzał zawrócić, kiedy te drzwi otworzyły się na oścież. Stała w nich Nadia. Założyła ręce z przodu i wsparła się o futrynę. Zdążyła się już przebrać, teraz miała na sobie kolorową sukienkę.

– Mnie pan szuka?

– Proszę?

– Był pan na cmentarzu. Widziałam, jak rozmawia pan z rodzicami Luny. A teraz przyszedł pan do mnie?

– Pani Nadia, tak?

– Śledził mnie pan?

– Śledziłem? Skądże, matka Luny powiedziała mi, gdzie panią znaję.

– Zna pan matkę Luny?

– Oczywiście.

– A czym zajmuje się zawodowo matka Luny?

– Jest pomocą pielęgniarską. Dlaczego pani pyta?

– Żeby sprawdzić.

– Boże! Ale co sprawdzić?

– Jest pan jednym z jej chorych, tak? Mówię o matce Luny.

– Tak, oczywiście... Pomaga mi w rehabilitacji... Z czasem się zaprzyjaźniliśmy. Często opowiadała mi o Lunie. Jak pani widzi, mam problemy zdrowotne, głównie ze stawami... A pani? Przyjaźniła się pani z Luną?

– Studiowałyśmy razem. Jest pan policjantem?

– Ja policjantem? Ależ nie. Uważa pani, że mam posturę policjanta?

Dziewczyna uśmiechnęła się blade.

– A czego pan ode mnie chce?

– Sam nie wiem... Chciałbym porozmawiać o Lunie. Właściwie jej nie znałem, ale... Jej matka powiedziała mi, że była pani jej najbliższą przyjaciółką.

Dziewczyna zniknęła w mieszkaniu, a Kern zdążył tylko zauważyć kilka banalnych szczegółów – białe kafelki w łazience, różową zasłonę prysznicową w amarantowej serduszką, wannę ze staromodną baterią. Nadia pojawiła się po krótkiej chwili z torebką Vuittona na przedramieniu i telefonem komórkowym w dłoni. Zamknęła drzwi i wrzuciła klucze do torebki.

– Bardzo przepraszam, ale mam ważne spotkanie, już jestem spóźniona. Coś panu powiem...

Właśnie wróciliśmy z cementarza, Luna leży sześć stóp pod ziemią. Nie mam ochoty teraz o niej rozmawiać.

– Rozumiem. Oczywiście. Może innym razem...

– Właśnie.

I odeszła, zostawiając za sobą smugę silnego słodkiego zapachu, który zdawał się bić od jej włosów albo szyi. Kiedy Kern został sam między rowerami i hulajnogami na dusznym podwórku i poczuł narastającą gorączkę, zadał sobie pytanie, na ile kłamstw musiał się zdobyć w ciągu minuty, żeby w końcu zobaczyć róg wanny i zasłonę prysznicową.

Ruszył przed siebie ulicą, którą niedawno tu dotarł. Gdy znalazł się już na bulwarze, zatrzymał się przed wystawą, żeby nabić fajkę. Robił to z namaszczeniem, izolując się od ulicznego zgiełku i skupiając całą uwagę na drobinach tytoniu, które kolejno dopychał drżącym palcem do dna główki. Dopiero kiedy poczuł dym, zorientował się, że stoi przed jednym z wielu sex-shopów na tej ulicy. Pochylił się, z prawdziwym zaciękwieniem oglądając różne części bielizny z czerwonej albo czarnej sztucznej skóry, botki i czółenka na wysokim obcasie, szlafrociki ze zreżnicowanymi przezrzystymi wstawkami i satynowe stroje pielęgniarek, a tymczasem nad jego głową kłęby aromatycznego dymu o zapachu Virginii zaczynały więc się wokół fioletowych migających liter, które tworzyły napis SEX. Kern nagle się wyprostował i rozejrzał wokół, jakby przeszył go prąd. Można było pomyśleć, że przypomniał sobie o jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie. Znowu ruszył rue Blanche, minął dom Nadii, nawet nie zerkając w jego stronę, i kilkadziesiąt metrów dalej wszedł do butiku, nad którym świecił neon „@”. Dopadł do lady, za którą na wysokim taborecie, wciśnięty między wentylator a fotokopiarkę, siedział Azjata o mocno podkrążonych oczach.

– Chciałbym skorzystać z komputera. Muszę sprawdzić coś w Internecie.

– Szeffie, tu nie wolno palić.

Kern wyszedł, żeby wyrzucić tytoń z fajki na chodnik, i wrócił, ponawiając prośbę. Azjata obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Euro za kwadrans, trzy euro za godzinę.

Kern wyciął portfel i położył na ladzie banknot wartości 10 euro.

– Proszę o komputer na co najmniej dwie godziny. Potrzebne mi spokojne miejsce, jeśli można.

W rzeczywistości niespełna czterdzieści minut wystarczyło mu na znalezienie tego, czego szukał. Kern poznał ważniejsze funkcje Internetu dzięki Muradowi, porządkowemu w katedrze, który latem ubiegłego roku zgodził się udzielić mu kilku lekcji informatyki. Zostawali wieczorami, po zamknięciu świątyni. W ten sposób kapłan poznał niezliczone strony kolekcjonerów starych budzików. Wstąpiła go nawet myśl, czy nie kupić komputera, jednak nie odważył się iść do sklepu, mimo że Murad proponował mu pomoc.

– Muszę zadzwonić.

– Skończył pan już z maszyną, szeffie?

– Tak skończyłem.

– Ale zapłacił pan za dwie godziny.

– Wiem.

– Została panu jeszcze przeszło godzina.

– Komputer już mi niepotrzebny. Ale muszę zadzwonić.

– Czyli mogę dać komuś ten komputer?

– Wszystko mi jedno. Teraz chciałbym zadzwonić.

Nie wstając z taboretu, mężczyzna wskazał ręką szereg przeszklonych numerowanych drzwi do kabin.

- Ma pan spory wybór, szefie. Proszę iść do tej, która panu odpowiada. Dokąd to ma być?
- Dokąd?
- Do jakiego kraju chce pan dzwonić, szefie? Do Maroka? Tunezji? Algierii?

- Proszę o pomarańczową fantę. I o rachunek

Gombrowicz siedział przy stoliku, z którego miał doskonały widok na całą ulicę. Kelner po chwili podał mu napój.

- Może wolałby pan usiąść na zewnątrz?

- Dobrze mi wewnątrz.

- Na pewno? Przy tym upale byłoby panu lepiej na tarasie. I widziałby pan, co się dzieje na ulicy.

Oficer policji śledczej uniósł głowę, uważnie przyglądając się kelnerowi. Potem bez słowa skupił się na punkcie, który dotąd obserwował. Kelner, którego policzki zasłaniały gęste bokobrody, odszedł, głęboko wdychając, i znów stanął za barem.

Gombrowicz przez ponad pół godziny siedział samotnie w kawiarni, podczas gdy na tarasie klienci zmieniali się przy stolikach owiewanych lekkim wiatrem, który niósł woń spalin nasilającą się, gdy przejeżdżał autobus. W końcu wstał, zostawiając pieniądze w plastikowej miseczce, która stała przy jego szklance. Zatrzymał się jeszcze na chwilę w progu, obserwując ulicę. Zdążył zapalić papierosa, zanim kelner z zarostem, nieustannie krążący z tacą w rękę między tarasem a barem, zmusił go do zmiany miejsca. Gombrowicz opuścił kawiarnię biegiem, zapominając nawet o tradycyjnym bezwiednym „dziękuję, do widzenia”. Wydawało się, że poczuł nagłą potrzebę rozprostowania nóg. Przeszedł przez ulicę, przepuszczając autokar z niemiecką rejestracją, a potem pobiegł po chodniku do jednego z butików. Wpadł do środka jak burza.

- Co tu robił ten niski gość w jasnym garniturze? Ten, który przed chwilą wyszedł?

- Tu się nie pali, szefie.

Gombrowicz wyjął z saszetki, którą nosił u pasa, odznakę policyjną.

- Pytałem cię o coś, Brusie Lee.

- Kupił sześć tuzinów CD.

- Drwisz sobie ze mnie?

- Korzystał z Internetu, szefie. A co miał tu robić?

- I to wszystko?

- Potem dzwonił.

- Wiesz dokąd?

- Nie mam pojęcia.

- Z którego komputera korzystał?

- Z tego w głębi.

Oficer usiadł przy komputerze i położył rękę na myszce. Kliknął na historię przeglądania, ponieważ sesja nie została zakończona, i wchodził na kolejne otwierane strony. Kiedy przejrzał już wszystkie – od pierwszej po ostatnią – rozparł się w fotelu, zapalił papierosa i wpatrzył się w sufit.

- Szefie, przepraszam, ale tu się naprawdę nie pali.

- Cholerny stary zбочeniec...

- Co pan powiedział, szefie?

- Powiedziałem: obleśny typek

Kiedy Gombrowicz wyszedł na rozpaloną od słońca rue Blanche, Azjata nie bez żalu wstał

z taboretu. Podszedł do komputera, którego przed chwilą używał policjant. Popatrzył na ekran i jego nieobecne oczy nagle się ożywiły na widoktego, co wyświetlało się na pastelowym tle.

„Studentka o orientalnej urodzie, 22 lata, kochająca pieszczoty, zmysłowa, częła w Paryżu 18 na dojrzałych uprzejmych panów, oferując im chwilę odprężenia i bliskości. Szatynka, oczy piwne, 163 cm, 54 kg, 90 D. W godzinach 19–24. Masaże relaksujące, fellacja, łagodne pieszczoty i ostra gra. Możliwy masaż na cztery ręce z udziałem wtajemniczanej przyjaciółki”.

Pod numerem telefonu komórkowego zamieszczono amatorskie zdjęcie zrobione z fleszem. Ukazywało młodą brunetkę o pociągłej twarzy pozującą nago w wannie. Dziewczyna unosiła dłońmi pełne jędrne piersi, a jej biodra, pośladki i łono skrywały się za różową zasłoną prysznicową w amarantowej serduszką.

Przesłuchiwali ją policjant z IGS oraz funkcjonariuszka IGSI w budynku przy quai des Orfèvres 36. Była pora obiadowa, a oni siedzieli w małym pokoiku, którego używano czasem do przesłuchań osób przylapanych na gorącym uczynku. Zasypywali ją seriami pytań, raz po raz, jakby falami, powracając do tej chwili, kiedy wszystko się zawaliło, do decyzji o otwarciu okna i zdjęciu młodemu zatrzymanemu kajdanek. A Claire Kauffmann myślała sobie: „Ile razy zadadzą mi jeszcze to pytanie? Wciąż do niego wracają. Za każdym razem zmieniają jedno czy dwa słowa, ale to stale to samo pytanie. Czy istnieje tak wiele różnych możliwości opisanego tego samego gestu, który trwał dwie, góra trzy sekundy? Czy tę samą sprawę można oceniać z tyłu różnych punktów widzenia? Czy prawda nie jest prawdą?”. I młoda zastępczyni prokuratora formułowała na nowo swoje wyjaśnienia, również zmieniając dwa czy trzy słowa w odpowiedzi.

W pewnym momencie zamilkła w pół zdania, przypomniawszy sobie nagle poranną rozmowę z księdzem Kernem, i zastanowiła się, czy kiedy poleciła Landardowi rozkuć Thibaulta, kiedy wydała rozkaz tak brzemienny w skutki, powzięła w głębi duszy decyzję o charakterze prawnym czy też moralnym. A siedzący na wprost niej policjant, który od początku przesłuchania ani na chwilę nie przestał przesuwać kubka z kawą po stole, wcisnął się w tę chwilę wahania Claire i powiedział: „W gruncie rzeczy zastanawia się pani, czy nie była zbyt ludzka wobec podejrzanego?”. Ponieważ zaś Claire Kauffmann nadal nie odpowiadała, dodał: „Zastanawia się pani, czy ta krótka chwila słabości albo... jak by to ująć... współczucia, nie doprowadziła do jego śmierci?”.

Wyszła z tego przesłuchania pusta jak wydmuszka, nie była w stanie skłębic jednej choćby niespójnej myśli, mogła się tylko zastanawiać, czy postąpiła słusznie, specjalizując się w prawie karnym. Przypisano jej rolę Syzyfa w prostej spódniczce, z koczkiem na głowie. Nie wiedziała jeszcze, czy częła ją postępowanie dyscyplinarne. Inspektorom zależało na ustaleniu, czy młody Thibault nie powinien zostać przesłuchany raczej w warunkach szpitalnych niż w biurze Brygady Kryminalnej. W zasadzie w tym śledztwie Claire znalazła się na dalszym planie, skupiono się na kwestiach technicznych i proceduralnych, pozostawiając ją samą z wątpliwościami.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że nie zdąży już nic zjeść przed kolejną rozprawą, która zaczynała się o czternastej. Wpadła więc tylko do biura po akta sprawy brukarza, który zbił żonę młotkiem. Przy okazji sprawdziła, czy ojciec Kern odłożył akta Notre-Dame do szuflady. Wypiła szklankę wody, a potem udała się do sali rozpraw jak do kraju, w którym nigdy nie była.

Sprawę rozpatrywano w obecności żony brukarza, która właśnie wyszła ze szpitala. Kauffmann żądała kary więzienia bez zawieszania oraz pokrycia kosztów leczenia. Zachowywała się jak robot, raczej skądawała niż mówiła, praktycznie nie odrywając nosa od papierów.

Po rozprawie wyładowała w olbrzymiej poczekalni Pałacu Sprawiedliwości. Było jej

niedobrze, czuła się zdezorientowana i jakby zamroczona, burczało jej w brzuchu, głowę ścisła ciasna obręcz, akta, trzy mała pod pachą, ciążyły. Zatopiła się w zgiełku, jaki czynił tłum interesantów, urzędników, adwokatów i żandarmów. Stukot własnych obcasów, gdy szła po marmurowej posadzce, wydawał jej się odległy, przytłumiony nakładającymi się na siebie dźwiękami, wkomponowany w cały ten hałas. Miała wrażenie, że jej kroki już do niej nie należą, że jakimś cudem oddaliły się od niej. Nagle zapragnęła krzyknąć. I ten krzyknarastający w głębi jej jestestwa przypomniał jej o innym krzyku, o tym jedynym, który wydarł się z jej ust.

Była wtedy w szkolnej stołówce, chodziła do klasy maturalnej. Miała siedemnaście lat. Kolega usiadł obok niej przy wspólnym stole i zaczął mówić – za głośno, zbyt blisko. Przede wszystkim zbyt blisko. I kiedy tak wrzeszczał jej do ucha, przekrzykując ośmiuset innych uczniów jedzących befsztyki z frytkami, zaczęła krzyczeć. Wydała z siebie piskliwy wysoki krzyk, który trwał bez końca, wzbił się w powietrze, wzniósł nad wszystkie inne odgłosy, krzyk, który natychmiast zamknął usta rozgadany licealistom. Dyżurny nauczyciel zabrał ją do dyrektora – niskiego wąsacza patrzącego na świat i na uczniów z ukrycia, jakie dawały mu grube okulary. Stała przed nim, milcząc, nie potrafiła wytłumaczyć tego rozpaczliwego wrzasku, który się jej wyrwał. Ten krzyk na nic się nie zdał, bo tak naprawdę nikt go nie usłyszał. Uznała to za fakt i zapamiętała.

Prawie dwadzieścia lat później w olbrzymiej poczekalni pełnej nakładających się, mieszających, potęgujących głosów ten sam krzyk to samo nieznośne napięcie znów próbowało się z niej wyrwać. Czuła, jakto narasta. Fala, strumień, niepoohamowany napór. Galopujący koń, który sforsuje bramę jej ust.

I nagle ją zobaczyła – ciemnowłosą drobinę, która siedziała na drewnianej ławce niedaleko tablicy pamiątkowej poświęconej pracownikom Pałacu Sprawiedliwości poległym podczas którejś z dwóch wojen. Zobaczyła, jak tamta siedzi, trzymając pod pachą torebkę, a drugą rękę ma unieruchomioną niebieskim temblakiem zapiętym na rzep. Żona brukarza. Ta, którą niespełna dwa dni temu mąż skatował młotkiem. Ta, której mąż dostał rok więzienia, w tym dziesięć miesięcy bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Tyle uzyskała Claire Kauffmann.

Wtedy upuściła akta. Kartki rozsypały się u jej stóp, ślizgając się po gładkim marmurze. Młody adwokat w czarnej todze, o włosach wysmarowanych grubą warstwą żelu, podbiegł i ukłękł przed panią prokurator, zbierając kartkę po kartce. Zignorowała przystojnego dzieciaka, przeszła po papierach, kierując się do ławki obok tablicy ku pamięci poległych. Żona brukarza zwróciła na nią oczy pełne łez. Pod jednym miała czarną obwódkę. I kiedy parę metrów dalej młody adwokat układał akta sprawy, Claire Kauffmann prowadziła długą rozmowę z żoną brukarza.

Po chwili siedziały już pośród nieustannego gwaru i ruchu, rozmawiając jak dwie doświadczone przez los przyjaciółki, które rozumieją się w pół słowa, rozpoznają każdy mimowolny gest, odruch obronny, ledwie dostrzegalne napięcie ciała zdradzające strach i malejące z biegiem dyskusji. A potem uśmiechnęły się do siebie i żona brukarza położyła dłoń na rękę prawniczki. Claire Kauffmann wstała, a młody adwokat, który od dobrego kwadransa potulnie na nią czekał, skorzystał z okazji, by podać jej dokumenty. Rzucił z uśmiechem: „Strasznie to ciężkie”. Potem powtórzył: „Nie powinna pani dźwigać takich ciężarów”. Spojrzała mu prosto w oczy, podziękowała czarującym, choć nieco nieśmiałym uśmiechem, a w końcu powiedziała: „Ma pan rację, mecenasie. Może zechciałby pan zostawić je w kancelarii? Dziś nie będą mi już potrzebne”. A potem wyszła z poczekalni, zostawiając osłupiałego adwokata z aktami swoich spraw. Mężczyzna zdążył tylko powieść wzrokiem za nieznajomą, która oddaliła się lekkim krokiem.

Przez telefon Nadia wyznaczyła mu spotkanie o dwudziestej trzeciej. W pierwszej chwili Kern odmówił – wiedział, że bóle stawowe nie pozwolą mu wytrwać do tak późnej pory i że powinien bez względu na wszystko znacznie wcześniej znaleźć się we własnym domu. Jednak dziewczyna na nie ustąpiła – mógł wybierać: jedenasta wieczorem albo nigdy.

Znalazł sobie spokojne miejsce niedaleko od jej domu, w małej piwiarni na rogu rue de Bruxelles i bulwaru. Kelner, tym razem stary wyga w białym fartuchu i czarnej kamizelce, po pewnym czasie zaczął go obserwować kątem oka. Kern siedział w piwiarni już prawie cztery godziny, a raczej tkwił nieruchomo przy filiżance, w której dawno nie było kawy, i najwyraźniej nic go nie obchodziło. W rzeczywistości ksiądz poddawał się narastającemu bólowi, obserwując przechodniów mijających piwiarnię, jakby byli o kilometry od niego, zagubieni w wilgotnej lepkiej mgłę, która gęstniała z nastaniem nocy. Gorączka mąciła mu myśli i dokuczwała jeszcze bardziej w tak upalny wieczór, w oparach smażonego oleju i zalatującego z toalet odświeżacza powietrza, który czuć było aż w sali.

W końcu spojrzął na zegarek i opuścił piwiarnię, a podejrzliwy kelner natychmiast podszedł, żeby przeliczyć pozostawione na stole monety. Znalazłszy się na ulicy, Kern zapalił fajkę i cierpki smak dymu na języku dobrze mu zrobił. Duchowny jeszcze raz skierował się w stronę rue Blanche. Atmosfera w tym rejonie miasta była teraz zupełnie inna. Na ulice wyległa nocna fauna, turyści, którzy kręcili się tu w ciągu dnia, zniknęli, zamiast słońca świeciły teraz reflektory aut i jaskrawe neony nad witrynami lokali z peep-show. W kawiarnianych ogródkach piwo lało się strumieniami.

Kern zatrzymał się przy drzwiach domu i wybrał zanotowany cztery godziny wcześniej w telefonie kod, który znał już na pamięć. Zanim wszedł, jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem podkrążonych oczu kelnera z bokobrodami, który niósł na tacy pięć kufli piwa. Była punktualnie jedenasta wieczorem.

Na podwórku z rowerami podszedł do drzwi mieszkania i zapukał, a zetknięcie z drewnem przyprawiło go o ból całego przedramienia. Pomyślał: „Nie wytrzymam, na pewno nie wytrzymam”. Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Nadia. Splotła ręce na piersi i spojrzała w dół, mierząc wzrokiem drobnego mężczyznę, który stał przed nią skulony, onieśmielony, rozgorączkowany.

– Wiedziałam... Facet z cmentarza. Przez telefon od razu poznałam pana po głosie.

– Czy mogę wejść? Bardzo chciałbym usiąść.

– Niech się pan czuje jak u siebie w domu. Jeśli się nie mylę, zna pan to mieszkanie.

Cofnęła się po chwili kiepsko pozorowanego wahania. Kern wszedł do trzydziestometrowego studia – prostego, funkcjonalnego, z białą posadzką częściowo zasłoniętą spleśniałym orientalnym dywanem. Zerknął w stronę łazienki, której drzwi teraz też były uchylone. Tę samą zasłonę prysznicową widział na stronie internetowej. Dziewczyna ze zdjęcia była Nadia – naga, zdająca się czekać na chętnego w swej wannie.

W głębi pokoju halogenowa lampka świeciła z minimalną mocą, rzucając słaby blask na łożko zarzucone ozdobnymi poduszkami. Reszta pomieszczenia – stół, szafa, komputer, ławka kuchenna, butelki z alkoholem, szło, pantofle ustawione rzędem w kącie – tonęła w półmroku, który rozpraszały tylko płomienie świec rozmieszczonych w różnych miejscach na terakocie. Nadia zamknęła drzwi i oparła się o ścianę. Jej oczy błyszczały w słabym świetle. Widząc ją na tle tej białej powierzchni, Kern pomyślał o Lunie, o jej bezwładnym ciele na posadzce Notre-Dame, o czarnych włosach, które w blasku świec wyglądały jak całun. Nadia zapaliła cienkiego papierosa, żeby dodać sobie odwagi. Oparła łokieć o biodro. Papieros palił się wolno tuż poniżej twarzy dziewczyny, smugi dymu wily się, otaczając ją mgłą.

– Domyślał się, że był pan klientem Luny?

Jej słowa dotarły do Kerna z lekkim opóźnieniem. Gorączka rosła, odgradzała go od świata. Ból w stawach rąk przechodził w fazę pieczenia, więc wsunął dłońe do kieszeni, podejmując z góry skazaną na klęskę próbę zdlawienia pożaru w zarodku. Dziewczyna zaciągnęła się papierosem. Żarząca się końcówka rzucała pomarańczowy cień na jej usta, a Kern patrzył na ten krąg jak marynarz z pełnego morza na majaczące w dali światło latarni morskiej.

– Czego pan ode mnie oczekuje? Że ją zastąpię? Ledwie pochowaliśmy Lunę, a pan już tu przyłazi, żeby wziąć się za drugą gorącą panienkę? O to chodzi?

Wpatrywał się w nią z dziwnym natężeniem, jakby nie potrafił pojąć sensu jej słów. Jego spojrenie błędziło między oknami, pomiędzy którymi stała. Za szybami widział tylko zamknięte okiennice. Wiele było dał, żeby otworzyła je szeroko, przeganiając duchotę panującą w mieszkaniu. Jego myśli raz po raz biegly ku słojuwi w Notre-Dame, w którym wysłuchiwał spowiedzi wiernych. Może dlatego, że brakowało mu powietrza, a może dlatego, że odruchowo milczał, stosując tę samą metodę, jakiej używał, żeby skłonić do zwierzeń tych wiernych, którym trudno było wyznać, co im leży na sercu.

– O kurwa, do rozmownych to pan nie należy.

Peszcz raz się zaciągnęła, a potem wyprostowała się i odeszła od ściany.

– Biorę dwieście euro za godzinę, tak jak Luna. Stosunek z ochroną, fellacja też, żadnego analu. Tak jak z Luną. I niech się pan nie przejmuje, po ciemku nawet pan nie zauważy, że to nie ona. Sama wszystkiego ją nauczyłam.

Zgasila papierosa wodą nad zlewem, czubkiem pantofelka wyłączyła lampę. Kiedy znowu stanęła przed Kernem, miała rozpiętą sukienkę, a jej piersi sterczały w blasku trzech świec. Kern skamieniał.

Podeszła bliżej. Sukienka zsunęła się na posadzkę. Na wysokich obcasach była o dobrą głowę wyższa od niskiego księdza. Wyjęła jego ręce z kieszeni, delikatnie rozprostowała mu palce i położyła je na swoich piersiach. Kern zadrżał. Szeptał: „Nie”, ale dziewczyna uciszyła go przeciągłym, pieścizotliwym „szszsz...”. Powiedziała mu, że zachowuje się jak debiutant, jak niedoświadczony nastolatek. Prosiła, żeby się odprężył. Powiedziała, że ma gorące dlonie. Zapytała, co najbardziej lubi.

Ojciec Kern nigdy nie tknął ciała kobiety. Nie w taki sposób. Z powodu choroby, nie wiary. Lata wczesnej młodości, przed wstąpieniem do seminarium, upłynęły mu w odosobnieniu i bólu. Teraz, odkrywając tak późno pełne kobiece kształty, był zdumiony. Te silne wrażenia sprawiły, że zapomniał o gorączce. Kiedy Nadia ujęła go za ręce i uniosła je do swych piersi, spodziewał się, że będą parzyły jak żagwie, że dotknie czegoś niedozwolonego, upajającego jak alkohol. Wiedział, że wchodząc do sypialni prostytutki, łamie złożone śluby. Tymczasem gdy dotknął piersi dziewczyny, nie poczuł piekielnego ognia, ale delikatne aksamitne ciało, czystość, która przerastała wszystko, czego dotąd zaznał. To było tak, jakby zanurzył dlonie w mleku. Skóra dziewczyny działała na niego kojąco i nawet choroba, która dręczyła go od dzieciństwa, pod wpływem pieścizoty choć na krótką chwilę odchodziła do krainy wspomnień, co prawda wyrazistych i żywych, lecz znajdujących się poza nim, na zewnątrz.

Ręce Kerna zsunęły się z piersi Nadii na jej talię. Głowa kapłana, jakby zwabiona zapachem perfum dziewczyny, opadła na jej piersi. Czuł bicie jej serca, słyszał je, czuł pulsowanie delikatnej skóry, której dotykał policzkiem, i nagle, zanim zdał sobie z tego sprawę, coś w nim pękło. Rozplakał się. Łzy płynęły niepoohamowane. Nadia objęła go ramionami. Uświadomił sobie, że od dzieciństwa nie płakał, i nieoczekiwanie ogarnęło go poczucie, że jest strasznie stary. Wtedy wreszcie pozwilił sobie nadrobić te straty w ciągu kilku długich jak wieczność sekund.

A potem wyprostował się, otarł łzy wierzchem ręki, szepnął ledwie słyszalne „dziękuję”, które płynęło z głębi duszy. Piersi Nadii lśniły od łez ojca Kerna. Podniosła sukienkę w kwiatki, która

tworzyła krąg wokół jej stóp, i ubrała się, nic nie mówiąc. Lekki materiał wchłonął słoną wodę. Dziewczyna na usiadła na łóżku, założyła nogę na nogę, zapaliła papierosa i wypuściła dym ustami i dopiero wtedy przerwała milczenie:

– Dobra, umówmy się, że tym razem to tylko sto pięćdziesiąt.

– Nie rozumiem.

– Wydaje mi się, że dziś na tym poprzestaniemy, wygląda pan na zmęczonego. Należy mi się sto pięćdziesiąt euro.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Trzeba płacić i za łyż, i za spermę, chłoptasiu. Byłam dla ciebie dobra, pieściłeś mnie, poświęciłam ci czas, zajęłam sobie część wieczoru, więc musisz przestrzegać reguł gry.

– Przecież przyszedłem tu tylko po to, żeby porozmawiać.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu podstarzałych facetów przychodzi tu, żeby ze mną pogadać, popatrzeć, pomacać, a nie tylko pieprzyć. Tak czy inaczej każdy płaci bez względu na rodzaj usługi.

– Nawet nie mam przy sobie takiej kwoty.

Wyprężyła się i zdecydowanie zmieniła ton.

– Coś ty powiedział? Jak ci się wydaje, po co tu przyszedłeś? Wypić darmową kawę?

– Bardzo mi przykro, chciałem porozmawiać o Lunie.

– Kurwa! Zawsze ściągająca tu gawędziarzy!

Sięgnęła po telefon komórkowy, który leżał przy łóżku. Z oszałamiającą szybkością poruszała palcami po ekranie dotykowym. Po chwili z głośnika dobiegł czyjś głos.

– Mówi Nadia. Gillou, jesteś mi potrzebny. Wzięłam klienta Luny... Gość nie chce zapłacić... Jakis dziwak... Sto pięćdziesiąt...

Rzuciła telefon na poduszkę i spokojnie patrzyła na Kerna. Nie zmieniła pozycji – wciąż siedziała ze skrzyżowanymi nogami, jej ręka zbliżała się do ust i oddalała, unosząc do nich papierosa i odsuwając go. Ciało małego księdza znów opanował ból, teraz narastający z siłą potężnego przypływu. Po zaledwie dwudziestu sekundach usłyszał, jak zamykają się drzwi prowadzące na podwórko, i do mieszkania wszedł potężnie zbudowany mężczyzna. Na policzkach miał gęste kępki zarostu wyglądające jak dwa wycięte z dywanu trójkąty. Kern poznał kelnera z pobliskiej kafejki.

– W czym problem, Nadia?

– Pan macał, a teraz nie chce zapłacić.

– Przepraszam panią, ale chyba doszło do nieporozumienia.

– Też tak uważam. Ale Gillou rozwiąże ten problem. Tylko delikatnie, Gillou, facet cierpi na jakąś chorobę kości, nie za bardzo wiem, co mu jest.

Osobnik zwany Gillou chwycił Kerna za kolarz marynarki. Zrobił to bez brutalności, trochę tak jak hodowca, gdy chce unieruchomić cielę – przyparł go do muru i zabrał mu portfel, który rzucił na łóżko, nie zadając sobie trudu sprawdzenia, co w nim jest.

– Zapłać sobie, moja śliczna. Znam tego twojego karta. Dziś po południu był u nas w ogródku. Takiej gęby się nie zapomina. Później odwiedził nas pewien gliiniarz. Wyczułem go na kilometr. Siedział w środku i obserwował ulicę. Coś mi tu śmierdzi.

– To nie ma związku. Nie sądzę, Gillou.

– A ja ci mówię, że coś tu śmierdzi.

Nadia trzymała papierosa wargami, grzebiąc w portfelu. Nagle zamarała.

– A to co?

Metalowy krzyżyk, który ojciec Kern zwykle nosił w kłapie marynarki, zastąpił papierosa w palcach dziewczyny.

– Staruszkowie, którzy do mnie przychodzą, czasami chowają do portfela obrączkę. Ale co znaczy ten krzyż? Jesteś księdzem?

Kern nie odpowiedział. Ból nie pozwalał mu zebrać myśli, ręce drżały mu jaklicie na wietrze. Kurczowo trzymał się dalekiego, dającego poczucie bezpieczeństwa obrazu – budzika Bayarda, który leżał w częściach na stoliku w jego pokoju, jakby wspomnienie starego mechanizmu miało moc przywracania kontroli nad sytuacją i nad bólem. Nadia zamknęła portfel.

– Gillou, to ten ksiądz Luny. To o nim nam opowiadała. Cholera, jakie to patetyczne! W dodatku lajdak jest bez kasy.

Gillou znowu złapał Kerna za kołnierz, tym razem już nie cackając się z nim.

– Jesteś księdzem Luny? To może nam wytłumaczysz, co się stało w tej cholernej katedrze? Co Luna tam robiła? Wiesz coś o tym?

Teraz chwycił go za gardło i spokojnie zacisnął rękę na krtani. Kern stał przyparty do muru. Rękami uczył się nadgarstków kelnera, ale były tak potężne, jakby nie należały do człowieka. Zaczynało mu brakować tchu, kiedy Nadia poderwała się z łóżka.

– Zostaw go, Gillou. Ten facet jest kruchy jak szkło, jeszcze nam tu wykłuje. Zresztą to nie on zabił Lunę.

– Skąd wiesz?

– To ksiądz. Może stary lajdak, zboczeniec, wszystko, co tylko chcesz, ale nie morderca. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby to zrozumieć, zresztą sam mu się przyjrzyj. Luna rozwaliłaby mu łeb jednym ciosem, gdyby próbował ją skrzywdzić.

– A ja nie wierzę, żeby zrobił to tamten gnojek, którego pokazali w telewizji. Ten, który wyskoczył przez okno.

– Zostaw go, Gillou, zostaw go.

– Nie wierzę w to, pamiętaj.

– Zostaw go, do jasnej cholery! – wrzasnęła Nadia. – Ten człowiek nie zrobił nic złego.

– Skąd ta pewność?

– Bo tu, przy mnie, zrobił tylko jedno: popłakał się...

– Co?!

– Przytulił się do mnie i szlochał mi na piersiach.

Kelner puścił Kerna, który osunął się na posadzkę.

– Beczał? Beczałeś na jej cyklach? Kurwa, co to za popapraniec?

– Wyrzuc go stąd...

– A twój szmal? Chcesz, żeby się z nim przeszedł do bankomatu?

– Mówię ci, po prostu go wywal. I oddaj mu jego rzeczy, oddaj mu ten głupi krzyż... Proszę cię, Gillou, zrób to. Mam już dość, jestem zmęczona. Luna nie żyje, dziś ją pochowaliśmy. Wkurza mnie, że robię z siebie kurwę dla kasy. Marzę, żeby się wypaść. Zasnąć i już się nie obudzić.

Szlochała, ale łzy nie chciały popłynąć jej z oczu.

Kelner złapał Kerna za pasek. Zanim ksiądz zrozumiał, co się dzieje, siedział już na chodniku przed domem na rue Blanche. Wreszcie poczuł świeże powietrze, a w każdym razie – powietrze. Gillou stał nad nim, trzymając ręce w kieszeniach i cygare w gębie. Przechodnie przy stanęli, chcąc wezwać strażaków, ale kelner wskazał ręką oddalone o parę metrów stoliki.

– Proszę się nie obawiać, to nasz klient. Dobrze go tu znamy. Znow przesadził z alkoholem. Co wieczór ta sama historia. Popija przy barze, a potem pada na pyski leży na ulicy. Czekam, żeby trochę otrzewiał na powietrzu, zanim zamkniemy. Za parę minut dojdzie do siebie na tyle, żeby wrócić do domu. Lucien, mam nadzieję, że nie przyjechałeś dziś samochodem? Po tym, co w siebie wlałeś, zostało niewiele krwi we krwi! Nie możesz prowadzić, słyszysz, Lucien?

Wyjął rękę z kieszeni.

– Masz, to twój portfel, znowu zostawiłeś go na barze.

I wsunął mu go do kieszeni marynarki. Uspokojeni tym gestem przechodnie oddalili się, a Gillou podniósł księdza, chwyciwszy go za kołnierz.

– A teraz spadaj stąd, księżulku. Bądź tak miły i poszukaj innych uciech dla swojej fujary. A gdybyś próbował jeszcze zawracać Nadii głowę, to pamiętaj, że przybiję cię do krzyża. Wiesz, jakiego. Rozumiemy się?

Potem wyjął metalowy krzyżojca Kerna i cisnął go do rynsztoka.

Szukał go przez wiele minut. Nie panował już nad rękami, nie mógł nawet utrzymać równowagi. Wszystko, na co patrzył, było dziwnie rozmazane. Dlaczego nie został w domu? Po co próbował bawić się w detektywa? Samochody niebezpiecznie się o niego ocierały, kierowcy trąbili. Drugą stroną rue Blanche szli trzej młodzi ludzie. Jeden niósł pod pachą butelkę coli, a ręce trzymał w kieszeniach kurtki. Zwyzywali Kerna od pijaków i blaznów, kiedy szukał w rynsztoku krzyża. Na rogu ulicy Gillou jakby nigdy nie wnosił do lokalu krzesła z ogródka.

Ksiądz w końcu natrafił palcami na krzyż. Trzymał go w zaciśniętej ręce, kiedy zmierzał w stronę placu tuż pod ścianami domów, opierając się o nie, żeby nie upaść. Wiedział, że jeżeli się teraz przewróci, nie zdoła wstać. Stawy miał rozpalone, nogi przestały reagować na sygnały wysyłane przez mózg. Wyglądał jak najzwyklejszy pijak, który schlał się do nieprzytomności, choć na tej nieznośnie długiej drodze krzyżowej do placu Blanche oszalał na nie alkohol, lecz ból.

Na oślep przeszedł przez jezdnię, wyciągając ręce przed samochodami, słyszał pisk opon, krzyki ostrzegających go przechodniów i rozwścieczonych kierowców, z trudem przenosił ciężar ciała z nogi na nogę bliski utraty równowagi, którą utrzymywał raczej dzięki temu, że był w ruchu, niż dzięki własnej woli. Świat w jego oczach składał się w tej chwili z zamglonych różnokolorowych świateł, z głosów i bezładnych hałasów, które odbijały się bolesnym echem w jego głowie, wypełniały ją, nie dając się uładzić. Noc przeistoczyła się w długi tunel, którego końca nie widział. Pomyślał tylko: „Nad niczym nie panuję, nic nie wiem, podążam tylko szlakiem bólu, a u jego kresu ujrzę albo światło prawdy, albo mrok śmierci”.

Osunął się na wolną ławkę na skwerze. Ile razy przechodził tędy w ciągu ostatnich godzin? Nie potrafił już zliczyć. Widział siebie stojącego nad grobem, w otoczeniu ubranych na białą młodych ludzi, nie wiedział już jednak, kto leży w trumnie ani czy to wspomnienie z dzisiejszego dnia, z wczoraj czy może z dzieciństwa. Czuł, że wpadł w pułapkę, stał się więźniem wiecznych wędrówek między mieszankiem na rue Blanche a cmentarzem Montmartre. Popatrzył na dłonie, które uparczywie zaciskał. Neony nad sex-shopami rzuciły fioletowe światło na jego twarz. A może to czerwone piętna jego choroby zrobiły się purpurowe? Jak ma się stąd wydostać? Jak wrócić do domu? Przeszukał kieszenie marynarki. Portfel był na miejscu, co go uspokoiło, ale i zaskoczyło. Nie przypominał sobie, żeby go tam wkładał po rewizji przeprowadzonej przez kelnera z dziwnymi bokobrodami. Zajrzał do środka i stwierdził, że nie został tam ani jeden banknot. Jak wziąć taksówkę? Jak dotrzeć do Poissy? Jak dotrzeć choćby do metra, którego stacja znajdowała się tuż obok? Został na miejscu, siedział na ławce oszołomiony, zagubiony, z krzyżkiem w jednej ręce i portfelem w drugiej, patrząc na wieżyczkę Moulin Rouge i na hipnotyzujący ruch rozświetlonych skrzydeł wiatraka. Wrócił myślami do budzika Bayarda. Tym razem nie był już w stanie uporządkować jego elementów w potwornym chaosie pamięci.

Trzej młodzi ludzie, którzy minęli go jakiś czas temu, do tej pory przyglądali mu się

z sąsiedniej ławki, popijając colę z jednej butelki i paląc skręta. Teraz podeszli do Kerna i jeden rozsiadł się na ławce tuż obok. Już po wszystkich Kern nie mógł sobie przypomnieć ich twarzy, doskonale pamiętał jednak zapach, który bił od siedzącego obok chłopaka – zapach whisky i skórzanej kurtki motocyklisty, czarnej, rozgrzanej w upalny dzień, z białymi literami na wysokości serca. Zapamiętał woń whisky i dokładnie odróżniał ją od drugiego zapachu – zapachu wódki towarzyszącego mu nieco później, na dalszym odcinku tej niekończącej się wędrówki po paryskich ulicach, po czyścicu, do którego trafił.

– Za dużo wypiełeś, tatuśku? I nie boisz się siedzieć tu sam z forszą w garści? Nie boisz się złodziei, tatuśku?

Który z nich trzech to powiedział? Raczej nie ten siedzący obok, bo milczał i zajmował się wyłącznie popijaniem whisky z colą. Dwaj inni, stojący nad nim, wydali mu się nagle olbrzymami.

– Co ci jest? Jesteś chory?

– Co on mówi?

– Powiedział, że wszystko go boli.

– Boli cię, tatuśku? Momo, daj mu się sztachnąć.

– Odbiło ci?

– Kurwa, facet mówi, że go boli. Daj mu się sztachnąć. Śmiało, staruszk, zapal sobie, to ci dobrze zrobi.

Wsunęli mu papierosową tulejkę do ust. W pierwszej chwili pokręcił głową, odmawiając, potem jednak się zaciągnął i zapach przywołał wspomnienie powietrza w celach w Poissy. Pociągnął jeszcze raz i znowu. Stopniowo zapominał o swoim ciele, oddalał się, odpływał i unosił w letnim powietrzu jaksmugi dy mu. Trawka otwierała drzwi jego pamięci, wiodła go ku bratu, na sam początek, do tych pierwszych lat jego upadku, zanim sięgnął po twarde narkotyki, zanim zaczęły się problemy z policją, zanim trafił do więzienia.

Wyjęli mu skręta z ust.

– Spokojnie, tatuśku, to dobry towar.

– Już ci lepiej, tatuśku?

– Masz wszystko, czego ci trzeba?

– A może chcesz trochę do domu, tatku? To zalecenie doktora Momo. Jak chcesz, wystawię ci receptę.

Dwaj pozostali parsknęli śmiechem, a Kern wtórował im, chociaż nie wiedział dlaczego.

– Ile masz przy sobie?

– Pokaż forszę. Ile tam masz, tatuśku?

– Ile?

– Kurwa, facet jest goły. Co to za dupek?

Nie zauważył, że odkryty czarną skórą łokieć zbliża się do jego twarzy. Dopiero potem poczuł ból, ale leżał już wtedy na ziemi, spadały na niego kopniaki, a on kulił się i próbował wcisnąć pod ławkę. Bił go ten w czarnej kurtce. Jego dwaj kumple tylko patrzyli, stojąc z rękami w kieszeni. Czuł, że z nosa sączy mu się coś ciepłego, że spływa mu po policzkach, cieknie po uchu, skroni i włosach. Już od kilku sekund bezgłośnie poruszał ustami, ale nikt nie chciał wysłuchać jego modlitwy. Trzeba zresztą przyznać, że nie kierował jej do Boga, lecz do swego brata. W końcu usłyszał krzyki i ciosy ustały.

Czuł, że koś wyciąga go spod ławki. Instynktownie osłonił głowę ramionami, ale silne ręce chwyciły je i rozsunęły. Zrezygnował z walki, poddał się i odkrył, rozkrzywując ręce na asfalcie. Cóż mógłby zrobić – on, karzeł wzrostu metr czterdzieści osiem? Godził się z losem, godził się na udrczenie ciała, godził się na te razy, godził się nawet z myślą o śmierci. Jego

mięśnie się rozluźniły. Przez chwilę wydawało mu się, że wybiła jego godzina i Bóg wzywa go do siebie. Jednak miały sekundy długie jak wieczność, a kiedy odrobina powietrza zdołała się przedostać przez jego nozdrza i nareszcie mógł oddychać, zauważył, a raczej poczuł, że coś się zmieniło. Teraz czuć było zapach wódki, a nie whisky. Gdy otworzył oczy i spojrzął w niebo, zobaczył wielki niedźwiedzi łeb, który wyglądał, jakby wynurzył się z prahistorycznej jaskini. Był kudłaty, brudny, obserwował go, a barwa tych kudłów zmieniała się w blasku migających neonów i reflektorów omiatających ulicę. Poczuł, że niedźwiedź unosi go w górę i układa na puchu. Kern objął go jak dziecko, które tuli się do wielkiego pluszaka, mimo że Bóg jeden wie, jak cuchnął ten pluszowy miś. Jego ciało już nic nie ważyło. Czuł się lekki jak powietrze. Z nosa nadal płynęła mu krew. Wzniósł oczy ku niebu. W górze skrzydła Moulin Rouge wciąż leniwie się obracały i odniósł wrażenie, że tej nocy nic nie byłoby w stanie powstrzymać ich ruchu.

Płynął. A ulice Paryża, żyjące poruszeniem typowym dla letnich nocy, przesuwały się przed jego przymkniętymi powiekami. Ludzie spoglądali na niego ze zdziwieniem, czasem ktoś wskazywał go palcem, ktoś inny wybuchł śmiechem. Ale on czuł się teraz chroniony, bezpieczny pod tą skorupą brudu i smrodu. Tej nocy już nikt się do niego nie zbliżył. Nareszcie mógł odpocząć. Zamknął oczy i dać się ukołysać. Zasnęta krew utworzyła skorupę na jego policzku i szyi. Czuł, jak pęka przy każdym ruchu wahadła kołyszącego się w jego głowie, przy każdym drgnięciu, w rytm kroków, które prznosiły go z dzielnicy do dzielnicy, choć nie były jego krokami.

Pozwolił swym myślom błądzić. Widział teraz siebie całego w bieli, samotnego nad otwartym grobem, w którym złożono zwłoki jego starszego brata. Miał siedemnaście lat, jego brat niedawno skończył dwadzieścia. Grabarze zamykali grób starszego brata na zawsze, wydając go na żer czasu, robactwa, rozpadu, a młodszy stał nad tą otchłanią, mając przed sobą całe życie i wpisane już w świadomość, głęboko wrosnięte w pamięć doświadczenie cierpienia.

Po trzech dniach wrócił na cmentarz, by pożegnać się z bratem. Postarzał się o trzydzieści lat. Wysechł. Chodził po żwirowych alejkach. Widział kwiaty złożone podczas ceremonii i już przywiedle. Zbliżył się. Płyta była odsunięta, grób otwarty, pusty, porzucony. Rozejrzał się. Wołał. Widział, jak jego starszy brat oddala się, idąc między nagrobkami. Pobiegł w ślad za nim. Groby przesuwały się przed jego oczyma – anonimowe, zimne, lśniące. Wciąż wołał. Starszy brat przystawał, odwracał się, a twarz miał taką jak dawniej – nienaruszoną, młodzieńczą – twarz z czasów, kiedy się kochali, przyjaźnili, sprzed narkotyków, sprzed uzależnienia. Starszy brat do niego mówił. Mówił: żegnaj. Tulił go w ramionach. Prosił, żeby żył własnym życiem. Prosił, żeby szukał światła. Mówił, że w tym małym ciele tkwią nie tylko słabości, ale i siła. W końcu się oddalił. Wrócił do swojej pieczary. Zniknął na zawsze pod ziemią, lecz przedtem obdarzył brata ostatnim uśmiechem, który promieniał wieczną młodością.

Czy Kern śnił? Ku jakim obszarom wspomnień wiodły go gorączka i rojenia? Teraz przeszedł przez furtkę. Słyszał skrzypienie podłoża pod stopami. Otaczały go gęste liście. Wreszcie mógł położyć się na ziemi. Na kocu, łóżku albo czymś takim. Mógł złożyć zboliałe drętwie ciało. Wyciągnąć ręce i poczuć chłód wilgotnej trawy. Pogrążyć się w nieświadomości. Gdzie był? Nad nim pośród nocy wznosiła się czarna bryła Notre-Dame podobnej do giganty cznego pająka, którego ciężki korpus unosił się na łukach. A tuż obok widział wezglowie. Wyciągnął rękę, żeby go dotknąć. Widział wylaniającą się z mroku sylwetkę, która szła, mijała go. To była kobieta sylwetka: biała, czysta, o jedwabistych włosach. Widział, jak nerwowa i nieufna idzie po schodach. I widział, jak puka do drzwi, czeka, niecierpliwie się. Drzwi się otworzyły, dziewczyna

weszła do środka i zniknęła mu z oczu, a w progu dostrzegł postać – masywniejszą i ciemną sylwetkę mężczyzny, którego twarz kryła się w mroku i który stał chwilę, aby przed zamknięciem z niepokojem rozejrzeć się po okolicy.

W końcu Kern zamknął powieki. Czuł, że na dobre zapada w drzemkę, ale nie mógł spokojnie usnąć. Wszystko przez to światło – jeszcze odległe, ruchliwe, nieskazitelne, które wciąż się do niego zbliżało. Czuł, że ten blask przyciąga go jak potężny magnes.

Przed świtem ruszyli w dalszą drogę. Chcieli dotrzeć do górskiej osady, zanim wszędzie słońce. Jak najszybciej otoczyć i zamknąć ten obszar, załatwić to po cichu, pod osłoną ciemności. Potem niczego już by nie znaleźli. Potem, po nastaniu dnia, byłoby za późno. Sierżant powiedział im to wyraźnie tej nocy, a sierżant cieszył się powszechnym szacunkiem.

Zanim przy świetle latarek opuścili częściowo wyschnięte koryto rzeki, napełnili manierki w mętnych strugach, które płynęły tu i ówdzie. Wiedzieli, że dzień będzie upalny. Tutaj sierpień był bezlitosny, nie mogli pozwolić, żeby zabrakło im wody. Musieli ją oszczędzać. Sierżant przypomniał o tym podporucznikowi jednym lapidarnym zdaniem, kiedy oficer naruszył swój zapas tuż po rozpoczęciu wspinaczki na grzbiet góry.

U schyłku dnia, po zakończeniu operacji, mieli powrócić do bazy – prawdopodobnie helikopterem, a w najgorszym razie ciężarówką, i planowali wypić tyle piwa, ciepłego piwa, ile dusza zapagnie. Będą pili, aż okaże się, że nie mają już siły wstać, żeby się odlać. Tak będą mijały godziny odpoczynku „komanda myśliwskiego”.

W połowie drogi zatrzymali się, żeby nawiązać w ustalonym czasie kontakt radiowy. Rozkazy zostały potwierdzone. Objąć kontrolą osadę w strefie zamkniętej, gdzie prawdopodobnie doszło do wznowienia aktywności. Kontrola tożsamości. Zaprowadzenie porządku. Zniechęcenie tych wieśniaków do powrotu. I może odzyskanie radia, za którym uganił się od wielu dni, PRC 10 zagubionego podczas potyczki. Już dwukrotnie zwiadowcy sygnalizowali, że widzieli je przez lornetkę na plecach kogoś z przekradających się wrogów. Sierżant traktował tę sprawę bardzo osobiście. Bo sierżant szanował sprzęt. Świadomość, że to, co mu powierzono, wpadło w ręce wroga, była dla niego nieznosna. Młody podporucznik dobrze o tym wiedział i marzył o mi, że odzyska radio i wręczy je sierżantowi jak trofeum, a zarazem pierwszy symbol przyjaźni.

Odąk podporucznikowi powierzono dowództwo oddziału, młody żołnierz czuł się musztrowany, oceniany, a czasem potępiany przez podwładnego. Tlił się między nimi klasyczny konflikt stylu działania, co łatwo zrozumieć, jeden bowiem uczył się od podstaw, a potem sprawdzał tę wiedzę w Indochinach, drugi natomiast pochodził z dobrej rodziny, w której tradycje wojskowe przekazywano z pokolenia na pokolenie, i niedawno ukończył szkołę oficerską. Sierżant nigdy nie pozwolił sobie na słowo krytyki. To się nie zdarzyło. Ale jego milczenie bywało wymowne. Milczenie, a czasem wyraz twarzy. Na przykład niesmak, jaki malował się na niej przez moment, niemal niezauważalny, gdy przed chwilą podporucznik podsunął mu swoją manierkę, proponując, żeby się napił. Młody oficer domyślał się, że trzeba czasu, by zyskać szacunek. Wiedział, że musi z powodzeniem przejść próbę dowodzenia w boju.

Tymczasem mieli przed sobą jeszcze kilka minut marszu w niemal całkowitych ciemnościach. Ich oczy już do tego przywykły. Podeszwami rangersów sprawdzali czasem stabilność kamieni. Upadek nie byłby wprawdzie groźny, ale spowodowałby hałas. W takim miejscu, w takiej ciszy słyszało się każdy spadający kamyczek z odległości pięciuset metrów. Za ich plecami czuło się już budzący się dzień. Musieli przyspieszyć kroku. Dotrzeć na tamten szczyt, z którego będą dominowali nad dżabalem. I zostawić na górze karabin maszynowy AA-52 jako element okrążenia,

a potem zejść w prawo, tam gdzie wznosiły się pierwsze lepianki, pierwsze chaty, tam gdzie był cel ich misji.

Piątek

Jeszcze nigdy nie czuł tak mocno, że świt niesie odrodzenie. Może dlatego, że spał pod gołym niebem i że ten wschód słońca nad wyspą Cité miał w sobie coś nowego i czystego. A może z powodu brutalności wydarzeń minionego wieczoru. Może dlatego, że się bał o swoje życie i ciało.

Poddał się pieszczocie mroku i nieśmiałego brzasku. Głupio się uśmiechał i oddychał ustami, żeby nie czuć wszechobecnego obrzydliwego smrodu. Ten smród bił od śpiwora, w którym leżał. Nie próbował jeszcze się poruszyć. Wolał przez jakiś czas trwać w odrętwieniu i znieczuleniu nocy. Wiedział, że kiedy wstanie i ruszy w stronę potężnej kamiennej budowli widocznej teraz za zielonym ogrodzeniem, ciało każe mu zapłacić za szaleństwo, brak rozwagi, za ciosy, które na niego spadły, a może nawet za wczorajsze grzechy. Pieścił piersi kobiety. Jego usta musnęły ich delikatne sutki.

Na skwerze nie było żywego ducha. Wkrótce brama miała się otworzyć przed tłumem turystów, którzy poruszali się z nonszalancką powolnością. Wtedy będzie musiał wypełznąć z puchu i powrócić do podwójnego życia kapłana i detektywa. Tymczasem korzystał z tego wyjątkowego leniwego poranka. Oddalił się od świata, oddalił się od siebie i dzięki temu łatwiej mu było odzyskać siłę, a także, choć tylko częściowo, pozbierać myśli.

Usłyszał kroki na żwirze. Liście krzewów, za którymi był ukryty, poruszyły się i spomiędzy gałęzi wynurzyła się nastroszona czupryna Krzysztofa.

– Dobrze, dobrze?

– Dobrze, Kristof. Chcę ci podziękować za to, co zrobiłeś wczoraj.

– Wczoraj?

– Przecież to ty zabrałeś mnie spod tej ławki? Nie myślę się, to ty?

– Bulwar Clichy, tak, tak..

– Co robiłeś tak daleko od swojej okolicy, Kristof?

– Okolicy?

– Co tam robileś?

– Polska Misja Katolicka – wyjaśnił Krzysztof w swoim języku.

– Rozumiem, polska misja, oczywiście. I wracałeś tu na noc?

– Notre-Dame dom, tak

– Notre-Dame to dom... Zabrałeś mnie tu? I niosłeś mnie na plecach jak święty Krzysztof Dzieciątko Jezus...

– Tak, tu. Dobrze, dobrze.

– Kristof, chyba uratowałeś mi wczoraj życie.

– Dobrze, dobrze. Żaden problem.

Polak podał Kernowi czerstwy rogalik, mówiąc znowu po polsku:

– Musisz jeść.

– To dla mnie?

– Musisz odzyskać siły.

– Dziękuję, Kristof. A ty masz co jeść?

Bez słowa wyciągnął z kieszeni puszkę taniego piwa, opróżnił ją kilkoma łykami, zgniótł, robiąc dużo hałasu, i rzucił pod ogrodzenie oddzielające skwer Jana XXIII od ogrodu Notre-Dame. Kern ugryzł rogalika. Krzysztof prawdopodobnie zdobył go w kafejce na rogu rue du Cloître, bo właścicielce zdarzało się dawać mu wczorajsze pieczywo w zamian za to, że Polak obiecywał przez kilka godzin nie żebrać, krążąc między stolikami na zewnątrz. Kern poczuł, że apetyt mu dopisuje – wybierał nawet okruchy z poplamionej krwią koszuli, czym rozśmieszył Krzysztofa. Może zresztą był to najlepszy rogalik, jakiego zdarzyło mu się jeść.

– Ty znaleźć... – szukał słowa, wreszcie zakończył po polsku: – ...mordercę?

– Nie, Kristof, jeszcze nie znalazłem mordercy.

Włóczęga spochmurniał i zamknął się w milczeniu. Potem, jakby stoczywszy długi wewnętrzny spór, rozsunał suwak kurtki i wsunął za nią dłoń. Wyciągnął spłowiałe zdjęcie oklejone przezroczystą folią, która miejscami już zżółkła. Przedstawiało dziesięcio-, może dwunastoletnią dziewczynkę w białej komunijnej sukience, z drewnianym krzyżkiem na wdzięcznej smukłej szyi. Dziecko obejmowało ramieniem mężczyznę w brązowym garniturze i krawacie w kwiaty, z przedziałkiem starannie rozdzielającym na boku blond włosy. Mężczyzna głupio się uśmiechał. Kern w pierwszej chwili nie rozpoznał polskiego kłoszarda w tym trochę sztywnym i niezdatnym ojcu, który pozował przed obiektywem w odświętym ubraniu z uśmiechem nadającym mu wygląd nastolatka i – trzeba to przyznać – w pełni szczęśliwym. Co się stało po dniu, gdy zrobiono to zdjęcie? Jakie wydarzenia zburzyły życie Krzysztofa, skazując go na to niekończące się staczenie i wreszcie rzucając za krzaki na skwerze Jana XXIII w 4. dzielnicy Paryża? Książd nie wiedział, jak do tego doszło, ale widział to wielokrotnie przez lata duszpasterskiej posługi – musiał pojawić się impuls, który popychał człowieka na drogę nędzy i nieszczęścia: rozstanie, choroba, tragedia rodzinna. Istota ludzka długo walczyła, broniąc się przed upadkiem. Los musiał się na nią uwziąć i w końcu zadać cios, po którym nie potrafiła się podźwignąć.

Zubkiem poźółkłego od tytoniu palca Krzysztof poglądził fotografię.

– Moja córeczka Helena.

– Gdzie ona teraz jest?

Polak przyglądał się księdzu, jakby nie rozumiał albo jakby był nieobecny duchem, jakby wrócił do innych czasów. Kern powtórzył pytanie, wskazując zdjęcie:

– Gdzie jest teraz Helena?

Krzysztof wykonał szeroki gest ręką.

– Jest w Paryżu? Kristof, czy twoja córka mieszka w Paryżu? Tak? Ile ma teraz lat? Jak dawno zrobiono to zdjęcie?

– Ja szukać Helena. Ona wyjechać z Polski. Z Kraków.

– Kiedy to było? Kristof, ile miała lat, kiedy wyjechała? Dotarłeś aż tu, szukając jej? Kiedy wyjechała z Polski?

W odpowiedzi na ostatnie pytanie Krzysztof na piasku zmieszonym ze żwirem, służącym mu co noc za łożko, nakreślił datę, która wymownie opisywała, jak straszny, jak długotrwały był jego upadek 1996.

Kern nie wiedział, jak zadać następne pytanie. Patrząc na kłoszarda w prującej się wszędzie puchowej kurtce, czuł, że zna na nie odpowiedź.

– Odnalazłeś córkę?

W odpowiedzi Polak chwycił małego księdza za kołnierz przesiąkniętej krwią koszuli i zaczął nagle głośno dyszeć. Jego jasne oczy świdrowały Kerna, aż przesłoniła je mgła. W końcu

wymamrotał parę słów, które powtórzył kilkakrotnie, zanim schował fotografię do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Ty znaleźć mordercę... znaleźć mordercę.

Otworzył drugą puszkę piwa i spojrzął na nią z odrazą, a potem wypił duszkiem. Kilka metrów od nich pracownik zieleni miejskiej otworzył furtkę ogrodu i ruszył na obchód. Krzysztof skulił się za liśćmi. Kapłan położył wychudzoną rękę na masywnym przedramieniu Polaka.

– Odnajdę go, Kristof. Obiecuję ci, że go odnajdę. Klnę się na moją wiarę w Najświętszą Panienkę.

Nadszedł czas, żeby wracać. Kern zaczął, aż strażnik opuści skwer, po czym zaczął wstawać i wtedy dał o sobie znać ból kończyn. Zapowiadał się ciężki dzień. Kern musiał zmobilizować resztki sił, żeby przejść odległość dzielącą go od katedry. Czuł, że jego ciało jest u kresu wytrzymałości. Obejrzał się za siebie, ostatni raz spoglądając na krzewy, za którymi chował się Krzysztof – skulony i apatyczny, otulony bordową kurtką, z której wychodziły pióra. I na ten widok ścisnęło mu się serce.

Opukał twarz przy kraniku na skraju dziedzińca, przy rue d'Arcole. Na głowie miał skrzepy krwi po wczorajszej przygodzie, więc zdecydował się wsadzić ją pod strumień wody. Otrząsał się jak młody psiak. Chłodny prysznic dobrze mu zrobił. Kern odwrócił się i spojrzął na fasadę Notre-Dame. Dwie wieże wznosiły się nad jego głową i teraz, kiedy wciąż był oszołomiony, po raz pierwszy wydały mu się groźne. Portal Świętej Anny był jeszcze zamknięty, nie wybiła ósma. Musiał więc przejść do wejścia dla personelu, od strony Sekwany, wzdłuż południowej ściany katedry, potem przed drzwiami prezbiterium aż do drzwi prowadzących do zakrystii. Przy odrobinie szczęścia o tej porze na nikogo się nie natknie i spokojnie będzie mógł się przebrać. Musiał zrzucić z siebie te brudne ubrania, pozbyć się smrodu, którym przesiąkł w śpiworze Krzysztofa. Ale przede wszystkim musiał oczyścić się po tej chwili, kiedy zbłądził i czując pod palcami skórę kobiety, o mało nie zapomniał o całym świecie.

Przemknął korytarzem zakrystii jak duch, szedł prosto do swej szafki, gdzie jak wszyscy księża z katedry zostawiał szaty liturgiczne i ubranie na zmianę. Każda część ciała, każdy mięsień, każdy staw dawały o sobie znać przy każdym kroku. Miał wrażenie, że wlecze za sobą szarą smugę smrodu i winy i że ta smuga gęstnieje metr za metrem, a w brudzie odbija się ohyda jego czynów. Mimo to zachował w opuszkach palców nienaruszone wspomnienie skóry tej prostytutki – skóry tak czystej, delikatnej i białej.

Przebierając się, usłyszał, jak metalowy przedmiot, który musiał mu wypaść z kieszeni, uderzył o posadzkę. Przypomnił sobie, że wieczorem wypiął z kłapy marynarki krzyżyk, który potem długo trzymał w zaciśniętej ręce, gdy na jego ciało sypały się razy. Pochylił się, podniósł go i starannie przypiął do czystej marynarki, w którą właśnie się przebrał. Zwinął brudne ubrania i wcisnął je głęboko do szafki, żeby nikt nie poczuł, jak cuchną.

Swoim zwyczajem usiadł na drewnianej skrzyni i po raz pierwszy od pobicia poświęcił chwilę, by przeanalizować to, co się stało. Co właściwie wiedział? Czy zdobył nowe informacje? Przed sobą miał rząd dwudziestu wąskich drewnianych szafek zajmujących prawie całą ścianę. Jedna z nich należała do stałego klienta Luny Hamache – studentki i prostytutki, którą przed czterema dniami on i zakrystian znaleźli martwą.

Przednił się nieco dalej w czasie – do zakończenia obchodów święta Wniebowzięcia w przededniu tego tragicznego odkrycia. Ujrzał siebie w tym samym korytarzu, wśród kapłanów z Notre-Dame. Wszyscy byli zajęci zdejmowaniem szat liturgicznych niczym aktorzy, którzy

kiedy kurty na posła już w dół, spiesząc do garderoby, żeby rzucić kostium sceniczny. Piętnastego sierpnia, jak po każdej wielkiej uroczystości, po każdej mszy gromadzącej tłumy, na atmosferę wpływały różne czynniki: napięcia tego dnia, wciąż żywe wspomnienia z uroczystości, ulga i zmęczenie coraz mocniej dające o sobie znać teraz, kiedy obrzędowe szaty wracały do szafek, no i sypały się niewybredne żarciki oznaczające powrót do rutyny. Kernowi stanął przed oczyma biskup pomocniczy, jego ekscelencja Rieux Le Molay, który wciąż jeszcze w szatach liturgicznych ruszył korytarzem do drzwi, a potem wyszedł na zewnątrz od strony Sekwany. Rozmawiał z kimś przez komórkę. Potem Kern przywołał obraz Gérarda, który wciągnął gumowe rękawice i zmoczył gąbkę detergentem; rektora, który rozlał kawę na dywan w zakrystii; usiłował przy pomnieć sobie wszelkie szczegóły, każde słowo mogące zdradzić stres nietypowy dla kogoś z księży. Dokonywał swobodnego przeglądu duchowieństwa katedry, próbował odtworzyć kolejność, w jakiej wychodzili, ostatnie słowa wypowiedane przed opuszczeniem murów katedry; wspominał chwilę, kiedy na pożegnanie ścisnął ręce księży, ożywił nawet w pustej teraz dłoni wrażenie szczerego, silnego uścisku albo miękkiego, wymuszonego.

Wyczerpany analizami, które wydały mu się rozpaczliwie bezowocne, zamknął oczy i ciężko westchnął. Misja, którą na siebie wziął, miała w sobie coś potwornie sprzecznego z naturą, ponieważ zmuszała jego, sługę Boga, głosiciela przesłania nadziei, na wieczną udrękę – nawet tu, na łonie Kościoła.

– Och, czyżby wstając, spadł ojciec z łóżka?

Właśnie nadszedł Gérard, który zakończył przygotowania do porannej mszy. Zakrystian zatrzymał się na moment i uważnie spojrział na małego księdza.

– Pytam poważnie, ojciec, miał ojciec jakiś wypadek? Skąd ta rana na policzku?

– Drobny incydent. Wolałbym nie opowiadać o wczorajszym wieczorze, Gérardzie.

– Czyżby znowu włączył się ojciec po barach na Pigalle'u i wdawał w bójki? Co?

Kern z trudem zdobył się na uśmiech.

– No tak może się pan ze mnie śmiać.

– Zostaje nam tylko śmiech, ojciec.

– Słusznie. Śmiech i resztki wiary. Mam nadzieję, że także ta odrobina wiary.

Gérard wszedł do zakrystii, ale po chwili znowu wychylił głowę na korytarz.

– W dodatku pomylił ojciec godziny. Właśnie sprawdziłem plan dnia: do południowej mszy nie ma ojciec żadnych zajęć. A po południu od czernastej spowiedź.

– Zaczęłam. Pójdę się pomodlić. A z braku innych zajęć trochę się pośmieję.

– Lepiej byłoby iść do lekarza. Ma ojciec ochotę na małą kawę?

Kern wszedł za Gérardem do zakrystii. Kiedy kubeczki się napełniały, z korytarza dobiegł ich szcęk kluczy podzwaniających w rytm ciężkich kroków, które natychmiast rozpoznali.

– Pachnie kawa!

– Cześć, Murad, chodź, napij się z nami. Jest tu już ojciec Kern.

Sylwetka rosnącego porządkowego pojawiła się w drzwiach.

– Co się ojcu stało? Grał ojciec wieczorem w rugby czy co?

– Witaj, Murad. Dziś ty otwierasz?

– Już otworzyłem, ojciec.

Murad powiesił klucze do katedry na bitym w listwę gwoździu. Potem dołączył do stojących przy automacie księdza i zakrystiana. Przez chwilę w milczeniu sączyli kawę. Ciszę przerwał Kern, który nie spuszczał z oczu pęku kluczy.

– Gérardzie, czy te klucze otwierają wszystkie drzwi katedry?

– Mam nadzieję, że otwierają już wszystko. Bo ten pęk waży ze trzy kilo.

– Także drzwi, których używa się bardzo rzadko albo nawet wcale? Powiedzmy, te boczne

wychodzące na ogród na tyłach katedry?

– Te klucze otwierają absolutnie wszystkie drzwi w katedrze, również drzwi do krypty, do obejścia chóru, piwnic, na poddasze i całą resztę.

– I ten pęk wisi tu przez całe dni?

– W zakrystii? Tak, oczywiście. Nikomu nie chciałoby się chodzić z takim ciężarem u pasa.

– Są tu codziennie?

– We wszystkie dni, jakie stworzył Bóg. Dyżurny porządkowy odwieża je tutaj po otwarciu kościoła o ósmej rano, tak jak przed chwilą zrobił Murad. I zostają tu do chwili zamknięcia o dwudziestej.

– A potem?

– Potem? Porządkowy przekazuje klucze stróżowi, który przechowuje je u siebie do rana. I tak jest dzień w dzień przez okrągły rok.

– A w te dni, kiedy odbywają się wieczorne projekcje? Kiedy katedra jest otwarta także po dwudziestej?

– Ojczy, ja pracuję do dwudziestej. I nic mi do tego, co dzieje się potem. O tej porze siedzę w domu przy kolacji.

Murad, który dotąd bez słowa mieszał kawę, postanowił wyręczyć kolegę.

– Kiedy mamy tu wieczorne projekcje, klucze robią dodatkową rundkę. Bierzymy je stąd, żeby otworzyć katedrę o dwudziestej pierwszej trzydzieści, a zamykamy na dobre o dwudziestej drugiej trzydzieści, kiedy już wszyscy wyjdą po zakończeniu filmu.

– Czyli podczas projekcji ten pęk wisi na gwoździu tu, w zakrystii, i każdy ma do niego dostęp?

– Nie każdy. Podczas wieczornych filmów zaplecze katedry jest zamknięte: obejście chóru, skarbiec, zakrystia. Publiczność ma dostęp tylko do nawy.

– Murad, zapytam wprost: kto miał dostęp do tych cholernych kluczy podczas projekcji *Raduj się, Maryjo* w zeszłą niedzielę?

Murad nie od razu odpowiedział.

– W ostatnią niedzielę? Kiedy zamordowano tę dziewczynę? – Wypił łyk kawy. – Wydaje mi się, że tylko jeden człowiek.

– Kto taki?

– Ja.

Kern machnęła tylko ręką, wzbudzając niepokój Murada, który natychmiast zareagował:

– Coś nie tak? Znowu ta historia z obchodem, który podobno „zapomniałem” zrobić?

– Ależ skąd.

– Zobaczcie, że niedługo oskarżą mnie o zamordowanie tej dziewczyny.

– Nikt o nic cię nie oskarży. Śledztwo zostało zamknięte. Rektor też nie zamierza wszczynać postępowania dyscyplinarnego. A co do mnie, to wiem, że jesteś absolutnie niewinny.

Porządkowy patrzył na niego, nie dowierzając.

– Jest ojciec pewien? Nie zacznie ojciec snuć żadnych domysłów?

– Na pewno nie. Murad, wiem, że nie masz nic wspólnego z tym potwornym morderstwem, i jestem przekonany, że nie zaniedbałeś obowiązków. Wiem o tym z bardzo prostego powodu.

– Mogę zapytać, co to za powód?

Kern odpowiedział po krótkim wahaniu:

– Wiem, że jesteś niewinny, ponieważ nie jesteś księdzem.

Gombrowicz dał się ukłósać łagodnemu szmerowi mszy. Nie zajął miejsca na chórze, gdzie

odprawiano nabożeństwo o ósmej rano, ale w nawie, na wprost Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Głos kapłana dobiegał tu z oddali, wtórowało mu ciche echo, a monotonne brzmienie modlitwy odmawianej przez garstkę rannych ptaszków skupionych wokół kapłana otoczyło go niczym miękką obłok. W katedrze panował niezwykle spokoj.

Ziewnął i z zalem pomyślał o łóżku, które musiał opuścić tak wcześnie, żeby zdążyć na otwarcie Notre-Dame. Co on tu właściwie robił? Czy to nadal była jego sprawa? Przecież polecono mu udać się na urlop po tym, jak dwa dni temu młody Thibault odebrał sobie życie. Czy był to zwyczajny środek ostrożności czy raczej odsunięcie? Przesłuchano go, złożył raport, a potem wrócił do siebie – jeszcze trochę wstrząśnięty upadkiem jasnowłosego anioła, trochę oszołomiony. Tymczasem IGS zatrzymała sobie Landarda, żeby łatwiej skłonić go do wyznania dotychczasowych okoliczności, w jakich prowadził przesłuchanie.

Wczoraj nie mógł się pohamować od wyjścia, od udziału w pogrzebie madonny z Notre-Dame. Chciał przypatrywać się ceremonii, obserwować wszystko z daleka, trzymając się na boku, zobaczyć, kto tam jest. Śledzić tego niskiego księdza, który chyba równie mocno jak Najświętszą Panią interesował się stronami pornograficznymi. Teraz nie miał już wyboru – musiał słuchać instyktu, który popychał go do podjęcia śledztwa w punkcie, w którym zatrzymał się jego przełożony – wołał unikać nazwiska, ale oczywiście myślał o Landardzie – czyli od samobójstwa podejrzanego i zamknięcia sprawy.

Teraz wpatrywał się w rzeźbę przed sobą. Biała szata była trochę przybrudzona, a Dzieciątko Jezus, które matka trzymała na lewej ręce, miało zbyt dojrzałą, za poważną i za pyzată twarz, co drażniło Gombrowicza. Mimo to młody oficer nie potrafiłby nie docenić urody Marii. Zachwyciła go jej twarz i to na niej się skupiał – małe usta, subtelny nos, duże oczy o kształcie migdałów, brwi usytuowane bardzo wysoko i powodujące, że młoda matka wydawała się nieobecna duchem, pełna melancholii, zboląła, jakby pragnęła znaleźć się gdzie daleko. Dlaczego tak uporczywie odwracała oczy? Co takiego leżało jej na sumieniu, że nie śmiała tego wyznać? Co uczyniono w jej domu, skoro nie mogła bez wstydu powiedzieć o tym policjantowi?

Z zadumy wyrwał go kaszel, który rozległ się tuż obok. Co najmniej siedemdziesięcioletnia kobieta usiadła na sąsiednim krześle. Zerkała na niego ukradkiem, przelotnie, ale w jej wytrzeszczonych oczach malowało się przerażenie. Potem nagle odwracała głowę w inną stronę, jakby wisiało nad nią poważne zagrożenie, którego Gombrowicz nie potrafił rozpoznać. Na głowie miała podarty słomkowy kapelusz, do którego przypięła zardzewiałymi agrafkami bukietki sztucznych czerwonych kwiatków. Policjant od razu pomyślał, że natknął się na wariatkę. Miał przed sobą dzień. Zamierzał właśnie wstać i zmienić miejsce, gdy chwyciła go za rękaw. Przez moment wpatrywała się w niego, po czym uśmiech rozświetlił jej twarz – uśmiech trochę szczerbaty, który zniknął równie nagle, jak się pojawił. Kobieta zaczęła mówić ledwie słyszalnym szeptem, który trwał całą wieczność, a milkł tylko po to, by mogła przełknąć ślinę i nabrać tchu. Trzeba jednak przyznać, że pani Siuska naprawdę miała o czym opowiadać.

- Zakrystian do porządkowego, zakrystian do porządkowego... Murad, słyszysz mnie?
- Tak, Gérard. Słucham.
- Gdzie teraz jesteś?
- Przy wejściu.
- Mógłbyś tu do mnie zajrzeć?
- Ale po co?
- Potrafiłbyś uruchomić sprzęt do odtwarzania nagrań?

– Powtórz, nie rozumiałem. Straszny tu hałas.
– Czy potrafisz obsługiwać sprzęt do odtwarzania nagrań?
– O co dokładnie chodzi, Gérard?
– Ojciec Kern mnie prosił. Chciałby przejrzeć nagrania z mszy w niedzielę wieczorem. Potrafiłbyś odszukać to w komputerach?
– Powiedz ojcu Kernowi, że zaraz przyjdę. Uciszę tylko Chińczyków, są tuż za mną, a potem przyjdę.

Spotkali się przy obejściu chóru i razem pokonali dziesięć schodków dzielących ich od pomieszczenia monitoringu. Murad usiadł przy konsoli i włączył komputery, monitory i sprzęt do montażu. Ojciec Kern usiadł obok niego. Z tego pokoju nad zakrystią można było sterować wszystkimi rozmieszczonymi w nawie automatycznymi kamerami i prowadzić na żywo transmisję wieczornych mszy niedzielnych. Nabożeństwo w dniu Wniebowzięcia również było rejestrowane, toteż Murad, który swobodnie posługiwał się sprzętem, szybko znalazł właściwe nagranie. Ojciec Kern – cherlawy i rachityczny, z fotela na kółkach ledwie sięgający nogami ziemi – z dziecięcym zachwytem obserwował każdy jego gest.

– Murad, musisz mi kiedyś wyjaśnić, gdzie nauczyłeś się tak doskonale posługiwać wszystkim, co ma cokolwiek wspólnego z komputerem.

– Zawsze mnie to interesowało. Widzisz, ojczu, po prostu nie można się peszyć. Te maszyny są jak duże zabawki: trzeba tylko spróbować i niczego się nie bać. W najgorszym razie można przecież wyłączyć komputer i zacząć od nowa. Czasami coś tu robię, wykonuję pilne naprawy podczas uroczystych nabożeństw. Automatyczne kamery czasami się blokują, a są umieszczone w drewnianych skrzynkach. Demontuję je i znowu montuję, sprawdzam, czy nic się nie rozłączyło. Po prostu lubię cały ten sprzęt. W tamten poniedziałek użyłem nawet za technika policjantom. Właśnie na podstawie nagrań z kamer udało się dopaść tego nieszczęsnego chłopaka.

– Wiem, Murad.

– Życzy sobie ojciec obejrzeć mszę z niedzielnego wieczoru, tak?

– Zgadza się.

– Przecież tamtego wieczoru był ojciec w katedrze.

– Byłem, tylko że ani moje oczy, ani pamięć nie zarejestrowały wszystkiego, co mogły uchwycić zainstalowane w nawie kamery. Być może zobaczyły coś ważnego, czego ja nie widziałem.

– Po co to robimy? Czyżby ojciec zamierzał przenieść się do policji?

– Ja do policji? Na Boga, nie... Jednak interesuje mnie praca wymiaru sprawiedliwości. Tak jak ciebie komputery. Nie powinniśmy się bać próbować. Wiesz co, Murad? Niezły z nas duet, razem sobie poradzimy.

Porządkowy pokazał mu długi fragment nagrań transmitowany na żywo pięć dni temu przez stację katolicką KTO.

– Czego dokładnie ojciec szuka?

– Powiem, kiedy znajdę. Na razie nie mam pojęcia, co to może być.

Na ekranie uroczysta procesja rozpoczynająca święto Wniebowzięcia opuszczała już dziedziniec, wchodząc do pełnej po brzegi katedry. Wielkie organy Notre-Dame grzmiały, z chóru dobiegał śpiew. Pierwsi kroczyli w stronę ołtarza nastolatkiowie z haftowanymi sztandarami, za nimi podążali kawalerowie Grobu Bożego niosący srebrną figurę Matki Boskiej. Potem liczna grupa kapłanów z Notre-Dame. Procesja dotarła do ołtarza, gdzie piętnastu księży ustawiło się w transepcie, u stóp ołtarza, a biskup pomocniczy Paryża, zastępując nieobecnego arcybiskupa, zaintonował cztery *Zdrowaś Mario*. Jego ekscelencja Rieux Le Molay wspomniął o władcach Francji: „Przed rzeźbą piety, którą zawdzięczamy królowi Ludwikowi XIII,

ponawiamy jego życzenie, by oddać Francję pod opiekę Marii Panny, które władca król wyraził dziesięć lat temu, osiemset trzydziestego ósmego roku. Oświadczyliśmy wtedy i oświadczamy teraz, że biorąc Przenajświętszą i pełną łaski Dziewicę Maryję za protektorkę naszego królestwa, poświęcamy jej naszą osobę, naszą kondycję, naszą koronę i poddanych, błagając, by zechciała wskazać nam drogę cnoty i z równą troską bronić królestwa przed kłopotami wrogów”.

Ojciec Kern wiercił się na krześle. Czasem któraś z kamer odwracała się od ołtarza, omiatając okiem nieprzebrany tłum wiernych. Kern wpatrywał się w ekran i szperał w pamięci, licząc, że te obrazy ożywią jakieś przelotne wrażenia, które ogarniały go tego wieczoru, a potem zostały zepchnięte w mroczne zakamarki pamięci. Ale nic nie przychodziło mu do głowy – nic, co miałoby związek z morderstwem, które kilka godzin później splamiło katedrę.

Na monitorze pojawił się rektor de Bracy odczytujący ustęp z Apokalipsy świętego Jana. Była mowa o kobiecie w płaszczu ze słońca, z księżycem u stóp i tuzinem gwiazd, które tworzyły jej koronę. Kobieta była brzemienista, udręczona bólem porodu. Ognisty smok o siedmiu głowach i dziesięciu rogach usiłował odebrać jej dzieciątka, gdy tylko się narodzi, aby je pożreć. Lecz kobieta zdołała wydać na świat dziecko płci męskiej mające stać się pasterzem wszystkich narodów i poprowadzić je pod żelaznym berłem.

Potem odczytano List świętego Pawła apostoła do Koryntian, a następnie biskup pomocniczy przeczytał fragment Ewangelii świętego Łukasza, w którym mowa była o Elżbiecie i Marii. Potem przyszedł czas na homilię. Duszpasterz zachęcał swe owieczki, by mimo wszelkich przeciwności trwały w wierze i podążyły za Marią, tocząc wewnętrzną walkę ze złem współczesnego świata.

Ojciec Kern coraz bardziej się niepokoił. Pod koniec kazania kamera znów przesunęła się po twarzach wiernych i Murad wskazał palcem róg ekranu.

– Spójrz, ojcze, to ona. Dziewczyna w bieli siedzi w pierwszej ławce z boku, z nogą na nodze. Poznaje ją ojciec?

– Tak to rzeczywiście ona. Przypominam sobie, że zauważyłem ją tamtego wieczoru. Przypuszczam, że każdy z nas, stojąc przed ołtarzem, musiał na nią zerknąć. Pamiętaliśmy o popołudniowym incydencie, to oczywiste. Zdziwiłem się, że znów się pojawiła, ale potem skupiłem się na mszy.

Na ekranie powoli zbliżał się czas Eucharystii. Kapłani skupiali się wokół biskupa przy ołtarzu z brązu, na którym stał kielich i tyle cyboriów, ilu było księży udzielających komunii. Biskup Rieux Le Molay wznosił ręce i powiedział: „Módlmy się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący”.

Murad zaczynał się niecierpliwic. Tego dnia uczestniczył w pięciu mszach. On także był świadkiem uroczystego nabożeństwa celebrującego Wniebowzięcie. Jego twarz pojawiała się od czasu do czasu na ekranie, stał w południowym transepcie, czuwając nad spokojem i ciszą, powstrzymując turystów od używania fleszy i stale mając na oku ołtarz, choć szansa na pojawienie się szaleńca, który chciałby zaatakować celebrującego mszę biskupa, była znikoma.

Wreszcie krąg księży otaczających biskupa rozsunął się i część kapłanów – w tym ojciec Kern – skierowała się do nawy. Każdy niósł w lewej ręce cyboryum z hostiami, by udzielić komunii wiernym zgromadzonym w głębi, podczas gdy pozostali księża zeszli na najniższy stopień przed ołtarzem i czekali na podchodzące do nich osoby. Murad zobaczył na ekranie siebie ustawiającego chętnych w tyłu kolumnach, ilu było księży. Jego ekscelencja Rieux Le Molay stał pośrodku, mając czterech księży po lewicy i pięciu po prawicy, tam znalazł się także ksiądz rektor de Bracy. Zaczęło się udzielanie komunii. Każdy z księży unosił hostię, a następnie podawał ją wiernemu. Ojciec Kern czytał z ich ust te powtarzane bez końca słowa, które sam wypowiedział

już tyle razy: „Ciało Chrystusa... Ciało Chrystusa... Ciało Chrystusa...”.

Kamerzy filmowały te sceny, pokazując to zbliżenia, to szeroki plan, to ujęcie z boku. Rzędy krzesel stopniowo pustoszały, potem na nowo się zapełniały w rytm przemarszu przed ołtarzem.

– Ojczce, nie wydaje mi się, żeby ta dziewczyna chciała iść do komunii.

– Masz rację. Jeszcze nawet nie wstała.

Kolumny wiernych już się rozprasały. Na niektórych ujęciach widać było duchownych, którzy wracali do ołtarza. Msza dobiegała końca. I wreszcie dziewczyna w białej sukience, która zdawała się przyciągać światło, wstała i w kilku krokach podeszła do schodów ołtarza. Sceny szybko się zmieniły i Kern stracił nadzieję, gdy w najmniej oczekiwany moment pokazał się obraz z jednej z bocznych kamer, która zatrzymała się na pieciku, północnym witrażu i organach.

– Obyśmy zobaczyli, jak przyjmuje komunię. Murad, jak sądzisz, kórego z księży wybrała?

Jakimś cudem mnożyły się migawki z ostatnimi podchodzącymi do komunii. Kern przesunął się na róg krzesła. Z tego miejsca twarze na ekranie wyglądały jak zrobione z żółtawych i różowych pikseli. Młoda kobieta w bieli dokonała wyboru i stanęła u stóp ołtarza. Jej usta się poruszyły, tuż potem usta kapłana także coś powiedziały. I wreszcie umieścił hostię na jej języku.

Kern znów oparł się plecami o krzesło i po raz pierwszy od niemal godziny oderwał oczy od monitora. Położył rękę na ramieniu porządkowego, ale odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia.

– Bardzo ci dziękuję, Murad. Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu.

– Nie chce ojciec obejrzeć końca?

– Możesz to już wyłączyć. Zobaczyłem to, co powinienem zobaczyć.

Muł obojętnie patrzył, jak wchodzi do wioski. Wyglądał na zblazowanego, przywykł do ciągłej obecności uzbrojonych ludzi w panterkach i do tego, że porozumiewają się gestami albo szeptem. Przesuwali się pomiędzy glinianymi ścianami ostrożnie, czujni, trzymając przed sobą pistolety maszynowe. Zglądali dyskretnie do lepianek, ogarniali spojrzeniem ich wnętrza, a lufy automatów podążały w ślad za oczyma, jakby broń stała się nie tylko metalowym przedłużeniem rąk, ale wręcz integralną częścią ich ciała. Tymczasem natrafiali wyłącznie na zupełnie puste chaty – bez sprzętów, bez jedzenia, bez ubrań i ludzi. Na razie nie znaleźli w wiosce żywego ducha poza tym jednym mułem na obrzeżu.

Sierzant wziął go za uźdę i prowadził za sobą. Początkowo zwierzę zapierało się i nie chciało iść za obcym. Z uporem i nieufnością typową dla swego gatunku przeciwstawiało się podoficerowi, który chciał je zabrać. Toteż sierżant musiał najpierw pogłodzić muła i poklepać po karku, aby zechciał podążyć za nim ciężkim nierównym krokiem. Sierzant wywodził się z rodziny hodowców i szanował zwierzęta tak, jak szanował broń i sprzęt, a może nawet darzył je pewnego rodzaju miłością.

Teraz sierżant szedł na czele oddziału, mając po lewej muła, a po prawej podporucznika, niczym księżę bez ziemi i znaczenia, który wkracza na podbite ziemie, szukając pierwszego podwładnego, by zmusić go do lojalnej służby. Dopiero za rogiem szóstej lepianki, gdzie droga opadała, biegnąc płytkim wąwozem, natknęli się na siedzącego w kucki starca. Trzymał się nieco na uboczu, w cieniu pod chatą, chroniąc się przed słońcem już teraz, choć stało nisko nad horyzontem. Sierzant uniósł rękę, nakazując żołnierzom, by się zatrzymali, i zmrużył oczy, obserwując starca. Wysłał czterech żołnierzy, by sprawdzili dwie ostatnie chaty.

Sierzant zbliżał się do starca, który widząc to, wstał. Żołnierz wcisnął mu cugle w dłoni.

– To twój muł?

Wydawało się, że starzec nie rozumie. Sierzant odwrócił się do jednego z harkich z oddziału,

a ten natychmiast przetłumaczył pytanie.

– Muł jest twój?

Stary najpierw się zawahał, potem jednak przytaknął.

– A ta dziewczyna? Też jest twoja? Kim jest ta dziewczyna? Twoją córką? Wnuczką?

Podporucznik powiódł oczyma za ręką sierżanta, który wskazał najbliższą chatę. Z każdą minutą słońce świeciło ostrzej i coraz bardziej oślepiało. Malowało lepianki złocistym światłem, dla kontrastu topiąc ich wnętrza w czerni. Podporucznik pokonał dystans dzielący go od wejścia i wsunął głowę do środka. Przez chwilę czekał, osuwając wzrok z ciemności. Dostrzegł obrys białej sukienki we wzory, może w kwiaty, dwie białe stopy na polepie, kosmyki czarnych włosów wymykające się spod chusty nasuniętej na kark, a związanej na czole. Dziewczyna siedziała skulona, unosząc twarz i patrząc na odcinającą się od światła sylwetkę oficera. Trzymała ręce nad stojącym na klepisku naczyniem. Palce miała oblepione ciastem, które zagniała. W izdebce bez okien unosił się zapach oliwy z oliwek i potu.

Jak sierżant zdołał ją zauważyć? Przed chwilą, podchodząc do starca, rzucił tylko przelotne spojrzenie na dom zza grzbietu muła.

– Dobrze gotuje ta twoja wnuczka? Umie piec smaczne placki? Gotuje dla wszystkich mężczyzn?

Stary skinął głową.

– Jesteście tutejsi? Oboje? Jesteście z tej wioski? To twój dom, dziadku?

Stary skinął głową.

– A wiesz, że tu nie wolno mieszkać? Wiesz, że nie masz prawa tu przebywać? To teren zamknięty, wiedziałeś o tym? Musicie wracać do obozu, rozumiesz?

Stary skinął głową.

– No dobrze, to nic wielkiego. Wyglądasz na porządnego człowieka, dziadku. No i masz dobrego muła. Prawda, że to dobry muł, dziadku? Dobrze pracuje, co?

Stary znowu skinął głową.

– Potrafi nosić ładunki?... A co nosił ostatnio ten poczciwy muł? No na przykład ostatniej nocy? Co twój muł nosił tej nocy?

Tym razem stary milczał.

– Czy przypadkiem nie nosił worków z żywnością? Ej, dziadku? A do tego przydźwigał może ze dwie skrzynki amunicji?

Czterej żołnierze wysłani przez sierżanta do ostatnich chat już wrócili. Nie znaleźli niczego podejrzanego.

– Dziadku, rozumiesz, że muł służy do noszenia rzeczy. A ja chciałbym się tylko dowiedzieć, co twój muł, wnuczka i ty tu robicie, pomijając fakt, że zaopatrujecie partyzantów.

Stary milczał. Jego twarz nagle stała się ziemista. Nieco dalej, przed domem, podporucznik zapalił papierosa. Zaciągał się, a potem patrzył, jak się spala. Przybrał tę charakterystyczną dla siebie postawę – trzymał zwitek tytoniu między kciukiem a palcem wskazującym, nadgarstek oparł na rękojęści automatycznego pistoletu MAC 50, który miał u pasa. Jego spojrzenie błędziło w dali. Z miejsca, w którym stał, mógł obserwować wschód słońca nad postrzępionym zarysem dżabalu. Światło dnia ożywiło i nasyciło kolory. W powietrzu unosiły się świeże zapachy, dotąd przytłumione przez chłód nocy.

Nie widział, co robi sierżant, nie widział, jak obraca się lufa jego automatu. Powrócił do tej wioski, do starca i oddziału dopiero wtedy, kiedy padł strzał. Huk nagle rozdarł powietrze i odbił się echem od pobliskich gór. Zanim oficer odwrócił głowę, muł już zwałił się z nóg. Najpierw ugięły się przednie. Przez krótką chwilę zwierzę zdawało się modlić ogłupiałe, kłęczało, błagając o ostateczny cios, który jednak nie nadchodził. Potem drżenie ogarnęło tylne nogi. One też się ugięły. A potem, jakby w zwolnionym tempie, masywne ciało padło na brzuch i przewróciło się na bok. Kopyta

drgały jeszcze w ostatnich konwulsjach, aż wreszcie muł znieruchomiał.

Stary człowiek nawet się nie poruszył, wpatrując się w buty sierżanta. Obserwował je w niezwykłym skupieniu, jakby chciał przeniknąć ich tajemnicę. Nie mógł oderwać oczu od tej czarnej skóry, która mimo całonocnej włóczędzy, mimo marszu przez strumienie i nagromadzonego na niej pyłu wyglądała jak wypastowana na paradę.

Podporucznik odszedł od chaty, o którą się opierał. Stanął obok sierżanta, rzucił papierosa i próbował pozbierać myśli, zanim coś powie, żeby pokazać, że to on tu dowodzi. Ledwie poznał głos, który wydobywał się z jego własnych ust – dziwnie piskliwy, obcy. Nagle wydało mu się, że jego ciało jest za duże, zbyt sztywne, niezdarne jak ciało nastolatka.

– Sierżancie, czy to było konieczne?

Sierżant nawet nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć na zwierzchnika. Chyba bardziej interesował go wyraz oczu starca, który z uporem obserwował buty żołnierza.

– Czas przejść od teorii do praktyki, panie poruczniku. To będzie szkolenie przyspieszone. Kurs, jakiego na pewno nie prowadzi się w szkole oficerskiej. Namawiam, żeby teraz uważnie wszystko obserwować, wszystko zapamiętać. Ale przede wszystkim proszę, żeby pozwolił mi pan działać. Rozumie pan, poruczniku? Daję panu niepowtarzalną okazję, by nauczyć się, jak prowadzi się wojnę.

A potem zwykłym skinieniem głowy rzucił dziesięciu spadochroniarzy do chaty, w której pozostała wnuczka starca. Siedziała skulona na glinianej podłodze, ubrana w białą sukienkę w kwiaty.

Południe. Czas na jego mszę. Jednak nie wiedział nawet, od czego zacząć. Oczywiście musiał się przebrać za pomocą Gérarda. Założyć stulę z zielonej bawełny wyszywanej złotą nicią, zamknąć drzwi szafki, przejść korytarzem zakrytym, otworzyć ciężkie drewniane drzwi, które prowadzą do obejścia chóru, przebić się przez ścianę turystów krążących po świątyni nieustannie niczym samochody po ruchliwej ulicy, wejść na podwyższenie, pokłonić się przed ołtarzem, poczekać, aż ucichną organy, zwrócić się do grupy wiernych zajmujących miejsca w pierwszych rzędach – w tym godniu msza w południe nie ściąga nigdy tłumów – uczynić znak krzyża i wypowiedzieć, nie bacząc na kłębiące się w głowie myśli, na zwątpienie, strach i gniew – te słowa: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Uczynił wszystkie poświęcone gesty. Odczytał ewangelię. Udzielił komunii. Jaki to wszystko miało jednak sens? Czy nie było zwykłą maskaradą, w której sam brał udział – teraz, kiedy już wiedział, kiedy miał świadomość? I co powinien zrobić? Komu mógł się zwierzyć? Oczywiście Bogu, którego obecność próbował poczuć w sobie i w tej katedrze. Może nigdy tak wyraźnie nie czuł wewnętrznej walki między... właśnie: między czym a czym? Czy była to walka dobra ze złem? Prawdy z kłamstwem? Co należało zrobić albo powiedzieć, by służyć prawdzie i Bogu? Jeśli powie, jeśli powierzy komuś tajemnicę, którą posiadał, ale wciąż jeszcze jej nie wyjaśnił, to czy jego słowa wywołają skutki nieodwracalne, groźne, od straszliwej sile zniszczenia? Czy nie lepiej zamilknąć? Dołączyć w końcu do zgodnego chóru potężnego kościoła, który zaledwie pięć dni po bestialskim mordzie dokonanym w jego murach jakby nigdy nic powrócił do normalnego życia, otworzył się na gwar turystów, wypełnił wonią kadzidła i szmerem modlitw?

Msza dobiegała końca. Odprawił ją nieobecny od pierwszej do ostatniej chwili, zobojętniały, zaprzęgnięty swoimi rozterkami. Jak zawsze zwrócił się ku kolumnie z figurą białej Madonny i przy wtórze organów zaintonował *Salve Regina*. Co działało w jego duszy, gdy patrzył na tę cudownie niewinną twarz kamiennej Madonny? Nigdy nie potrafił tego w pełni wyrazić i zrozumieć – ani tego dnia, ani później. Odmawiając modlitwę, uświadomił sobie tylko, że walka toczy się teraz poza nim, poza jego ciałem. Zrozumiał, że w rzeczywistości nie jest jedynym,

kóry zdżwiga ten potworny sekret, i to przywróciło mu wolność wyboru i działania.

Zanim wybrzmiała ostatnia nuta, odszedł od otarza i najkrótszą drogą, przez chór, wrócił do zakrystii. Na końcu korytarza wisiał tam staroświecki telefon. Podszedł i podniósł słuchawkę. Ubrany w szaty liturgiczne, wybrał numer, którego zdążył nauczyć się na pamięć, gdy zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej wykręcał go bez końca. Usłyszał sygnał. Telefon nie był zajęty. Tuż obok w pachnącej woskiem zakrystii, Gérard opróżnił kadzielnicę z ciepłego jeszcze popiołu. Zakrystian usłyszał głos księdza, który cicho mówił do słuchawki:

– Tu ksiądz Kern. Musimy się spotkać. To bardzo pilne. Nie, nie mogę o tym rozmawiać przez telefon, nie stąd. Moglibyśmy zobaczyć się w Notre-Dame?... Kiedy?... Proszę się pospieszyć, czekam.

To było jak życie w wyciszonym pokoju, w którym okładziny z każdym dniem stają się jeszcze grubsze, rozrastają się z biegiem miesięcy i lat. Mimo powtarzających się wrzasków w korytarzu. Mimo hałasu dobiegającego z dwóch spacerniaków przez okno zakratowane przeciwłamaniowymi prętami. Mimo telewizora, który dniem i nocą, bez przerwy, wyświetlał filmy pornograficzne albo filmy akcji. Mimo codziennych, rozbrzmiewających od dziesiątej do jedenastej rano odgłosów uderzania pięściami w zawieszono pod sufitem skórzane worki treningowe – mimo tego głuchego brzmienia, które zawsze, kiedy je tylko usłyszał, ożywiało jego umysł i ciało. Mimo całego nieprzerwanego hałasu, jaki panował w więzieniu, cisza w głowie Dżibrila stawała się coraz bardziej ogłuszająca.

Ostatnią prawdziwą rozmowę prowadził wczoraj z małym księdzem, który zamienił się w detektywa i mylił wiarę z naiwną i nieoprawną potrzebą sprawiedliwości. Przez całą noc rozmyślał nad tą sprawą, myślał o zamordowanej dziewczynie, taktajemniczej, i analizował pod każdym możliwym kątem informacje z akt, które pozwoliły mu przeczytać ojciec Kern. Na jedną noc uciekł, wyrwał się z tego niezmiennego rytmu inspekcji strażników, którzy co półtorej godziny przechodzili korytarzem i zaglądali do celi przez judasz w pancernych drzwiach, realizując program zapobiegania samobójstwom.

W gruncie rzeczy nie było to nic niezwykłego. Ot, informacja z kroniki kryminalnej, zdarzenie, z którym nie miał nic wspólnego. Coś, o czym można było pomyśleć, szcزتując wieczorem zęby. A jednak ta sprawa na kilka godzin stała się łącznikiem między nim a światem zewnętrznym. Jedyńm, jaki mu został. Już od dawna nikt nie przychodził do rozmównicy więzienia w Poissy, żeby go odwiedzić.

Wskazówki, o które prosił mały ksiądz, uczyniły wyłom w więziennym murze. Nagle doszło do zaburzenia monotonnego rytmu czasu, coś się wydarzyło. Ten wypadek zrodził – choć Dżibril nie śmiał jasno tego nazwać – nadzieję. Teraz Dżibril chciał się dowiedzieć. Czy mały ksiądz znalazł klucz do tej sprawy? Czy wydarł z mroku prawdę, która była mu przecież tak droga?

Siedząc na łóżku, więzień chwycił pilota do telewizora, który za dwadzieścia dziewięć euro miesięcznie wynajmował od administracji zakładu karnego. Przerzucał z programu na program, z jednych wiadomości o trzynastej na drugie. Nic nowego. Dwóch alpinistów, którzy zaginęli na Mont Blanc, udało się ocalić dzięki temu, że mieli przy sobie telefony komórkowe. W wiadomościach sportowych wspomniano o nowym graczu Olympique Marsylia. Pogoda dla kurortów nadmorskich. W sobotę słonecznie, w niedzielę deszczowo. O morderstwie w Notre-Dame nigdzie ani słowa.

Wyłączył telewizor i wstał, żeby zagotować wodę w czajniku. Minęła godzina, a on nadal siedział na łóżku, trzymając w ręku szklankę pełną brązowego, już zimnego napoju. Zamieszał kawę łyżeczką, zawiesił ją na chwilę nad brzegiem szklanki, żeby ociekła, potem wsunął między języka a podniebienie. Pomyślał: „Ta kawa zwietrzała, nie ma już smaku ani aromatu”. A potem

wolniutko wsunął łyżeczkę do gardła, wprowadzając palce między zęby, żeby przesunąć metalową rączkę w dół. Poczuł, jak łyżeczka wpada do krani, jak krtań zaciska się z bólu. Osunął się pod łóżko, jego ciało ogarnęły potężne drgawki. Chwycił nogę łóżka, żeby tak nie podskakiwać i nie robić hałasu. W płucach zaczęło mu już brakować powietrza.

Schronił się w słoju, za zamkniętymi drzwiami. Czekał. Ale wkrótce rząd krzesel przed szklanym konfesjonalem zapełnił się pragnącymi rozgrzeszenia wiernymi. Godzina. Tak długo musiał jeszcze czekać, by móc wreszcie podzielić się potwornymi domysłami, wyszczać te słowa zwierzeń, które zapewne od niczego go nie uwolnią, ale przynajmniej poprowadzą we właściwym kierunku. Spojrzał na zegarek. Zamiast beczynnie siedzieć, co niechybnie zwróci na niego uwagę, postanowił przed własną spowiedzią wysłuchać kilku grzeszników. Chciało mu się śmiać z tych banalnych przewin, tak ulotnych i błahych w porównaniu z tym, o czym on zamierzał rozmawiać. Ten grzech, który nie był jego, ale który musiał w sobie nosić, zalałby piękną czernią całą katedrę.

Wreszcie, udzieliwszy trzech rozgrzeszeń, zobaczył go przez szybę mijającego turystów, obojętnie przechodzącego przed wiernymi, którzy czekali, by zrzucić z siebie ciężar grzechów. Szedł krokiem nieco cięższym, nieco bardziej znudzonym niż zwykle, ale nie zawahał się, gdy miał odsunąć szklane drzwi, za którymi czekał filigranowy spowiednik. Usiadł naprzeciwko niego, wyjął nową paczkę papierosów, zerwał celofan i zapalił, nie odzywając się jednym słowem. Chociaż ojciec Kern patrzył na niego w osłupieniu, spokojnie wypalił pół papierosa, podziwiając witraże, ku którym wznosił się dym, a potem zgasił niedopałek na blacie stołu, gdzie leżała Biblia zawsze towarzysząca małemu księdzu podczas pełnienia obowiązków spowiednika oraz dwa słowniki.

– Domyślam się, że przeprowadził ksiądz własne śledztwo, François?

– To prawda. Kto księdzu o tym powiedział?

Rektor spuścił oczy i spojrzał na wierzch swych dłoni. A potem wyjął spod marynarki radio. Tego samego modelu używali Gérard, Murad i wszyscy porządkowi oraz ochrona. Położył je na stole.

– To oczywiście, że katedra ma oczy, François. Widzi cię automatycznych kamer, które filmują msze. Ale ma też swoje uszy. Od zawsze nam w prezbiterium walkie-talkie. Ludzie o tym nie wiedzą. Słyszę rozmowy i wiem o wszystkim, co się tu dzieje. Na ogół to nic ciekawego. Porządkowy kontaktuje się z kolegą, żeby mu powiedzieć, że w kościele pojawiła się atrakcyjna dziewczyna. Zakrystian zgłasza awarię jakiejś maszyny albo że należy zdjąć afisz zapowiadający koncert, który już się odbył. Wszystko to jest żałośnie smutne i tak monotonne, że aż chce się płakać. Ale dziś usłyszałem coś zupełnie nietypowego, prośbę, którą zobowiązała się przekazać dalej dyżurny zakrystian: jeden z księży prosił porządkowego, aby pokazał mu, jak funkcjonuje system kamer... I od razu zrozumiałem. Zrozumiałem, że chce się ksiądz dobrać do nagrań z niedzielnej mszy. Oczywiście ze święta Wniebowzięcia. I nie miałem wątpliwości, że zauważy ksiądz to, czego nie dostrzegł nikt pośród tysięcy obecnych wtedy wiernych.

Radio zatrzeszczało. Gérard poprosił Murada o uporanie się z jakąś awarią dystrybutora medalików, który znowu się zaciął. Rektor zmarszczył brwi.

– Trzeba go będzie w końcu porządnie naprawić. Kto wie, ile nas to może kosztować? Te diabelskie maszyny ledwie żyją.

Ksiądz rektor de Bracy obrócił pokręteł w walkie-talkie. Głos dochodzący z aparatu cichł, aż w końcu zamilkł.

– Myślę, że możemy to już wyłączyć. Przez pewien czas nie będzie nam potrzebne.

Stary kapłan milczał, jakby czekał, aż ucichnie echo radia, które wyłączył.

– Czy zechce ksiądz wysłuchać mojej spowiedzi, François? Spowiedzi starego kapłana? Mam też nadzieję, że wysłucha ksiądz zwierzeń przyjaciela, który zwraca się do przyjaciela. Od ilu to już lat spotykamy się każdego lata? Wysłucha ksiądz tego, co muszę powiedzieć?

Ojciec Kern skinął głową. Rektor ciężko westchnął, jakby zmęczyła go sama perspektywa spowiedzi, do której się przygotowywał.

– Wyznam Panu Bogu Wszchemogącemu i tobie, ojczy, że zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem, że bardzo zgrzeszyłem... – Wydawało się, że jest gotów mówić, lecz w ostatniej chwili się zawahał. – Co właściwie ksiądz wie? Co dokładnie ksiądz odkrył?

Kern położył rękę na Biblii i wolno gładził jej grzbiet kciukiem. Już na widok rektora wchodzącego do konfesjonału domyślił się, że jego chęć do wyznań tylko na pozór jest spontaniczna. Rektor znalazł się w potrzasku, więc chciał wysondować księdza i przekonać się, co wie. Natomiast Kern doskonale zdawał sobie sprawę, że obraz, który starał się ułożyć z okrucichów, jest jeszcze pełen luk. Teraz zaczynał się pojedynek dwóch kapłanów... Wszystko zależało od tego, który z nich pierwszy wyspowiada drugiego.

– Wiem, że ksiądz rozmawiał z Luną Hamache w zeszłą niedzielę podczas mszy. Stojąc u stóp ołtarza, z cyborium w ręku, coś do niej ksiądz powiedział i nie była to normalna w tej sytuacji formuła „Ciało Chrystusa”. A ona coś odpowiedziała, zanim wzięła hostię do ust, i również nie było to „Amen”.

– Zobaczyłeś to na wideo KTO?

– Tak

– No cóż, przynajmniej, że zamieniliśmy parę słów. Ale czy nie wolno mi było zapytać, jak się czuje? Przecież dwie godziny wcześniej zaatakował ją jakiś wariat. Było wręcz moim obowiązkiem...

– Nieprawda. To, co ksiądz mówił, dotyczyło wyznaczenia miejsca spotkania.

Oczy rektora nerwowo umknęły w bok, jakby szukał w głębi siebie sposobu wyrwania się z tej sytuacji.

– Co takiego? A cóż możesz o tym wiedzieć?

Kerna ogarnęły lekkie wątpliwości, przypomniał sobie bowiem minioną noc, grzech cielesny, którego się dopuścił – wygórowaną cenę, jaką przyszło mu zapłacić za te strzępy informacji, z którymi nie wiedział, co począć. Pomyślał o skórze Nadii, o jej zapachu, o łzach, które wylała na jej piersi. Kim był, by osądzać siedzącego przed nim kapłana? Kim był w porównaniu z tym starcem, który poświęcił Bogu i Kościołowi całe życie? Czyż i on w pewnym sensie nie uległ pokusie kobiecego ciała? A potem pomyślał o Lunie. Przed oczyma stanęło mu jej ciało na posadzce katedry. Przypomniał sobie pogrzeb tej młodej kobiety, trumnę spuszczoną do grobu, błędny wzrok ojca zamordowanej. I dopiero wtedy spojrzął rektorowi prosto w oczy.

– Luna Hamache nie była grzeczną studentką. Dorywczo parała się też prostytutką i przyjmowała klientów, mocno dojrzałych panów, w mieszkaniu przy rue Blanche, w kawalerce udostępnianej przez koleżankę z wydziału, również prosty tutkę. Ksiądz należał do grona jej stałych klientów.

De Bracy nawet nie drgnął.

– Ja? Co za absurd! Kto naopowiadał ci takich bzdur?..

– Jej przyjaciółka i powierniczka Nadia powiedziała mi wszystko wczoraj wieczorem. I powtórzy to każdemu, kto zapyta, również przed sądem.

Zapadła długa cisza, a Kern niespodziewanie poczuł się, jakby miał przed sobą zardzewiały budzik, który nie chodzi już jak należy. Teraz musiał go tylko dokładnie zdemontować. W tym

celu gotów był posunąć się do kolejnych kłamstw, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Księżę rektorze, może już czas wyznać wszystko przed Bogiem? Przyznać mu się do błędów, zwątpienia, strachu?

Zdawało mu się, że rektorowi nagle przybyło lat. Jego zmarszczki pogłębiły się wokół oczu, usta lekko drżały. Postarzało się całe jego ciało, a dumna, wyprostowana jak u żołnierza postawa zniknęła. Przed Kernem siedział przygarbiony zwiotczały starzec.

– François, przyznaję, że ciężko zgrzeszyłem. Uległem żądom, spotykając się z tą dziewczyną, to prawda. Tak się składa, że Luna spełniała moje najszybsze, najgłębsze, a zarazem najsilniej tłumione potrzeby. Z wielkim coraz wyraźniej czułem, że przegrywam walkę z rozwiązłością i zepsuciem. Walkę całego życia.

– Co Luna Hamache robiła tamtej niedzieli w katedrze?

– Szantażowała mnie, François, szantażowała. Nie da się tego inaczej nazwać. Dziesięć dni temu popełniłem głupstwo, udzielając wywiadu. Było to tuż po skandalicznym ataku homoseksualnych ekstremistów na słowa Ojca Świętego. Pamięta ksiądz? Próbowali rozłożyć transparent podczas mszy. Teraz już sobie ksiądz przypomina? Rzecz jasna, mogli liczyć na poparcie reporterów telewizyjnych i przyszli, żeby zrobić sobie dobrą reklamę. Krótko mówiąc, byłem zmuszony interweniować, pokazać się w mediach, żeby z nimi polemizować i przedstawić naszą wersję zdarzeń. Żle się stało. Reportaż pokazano w wiadomościach wieczornych. To była raptem dziesięciosekundowa migawka, na dole ekranu podano moje nazwisko i funkcję. Najwyraźniej za dużo czy za długo, bo jej to wystarczyło. Zło już się stało.

– Jakie zło?

– Ta dziewczyna, François... zobaczyła mnie w telewizji. Domyśla się ksiądz, że wcześniej nie mówiłem jej, kim jestem. Zresztą nigdy o nic nie pytała. Byłem dla niej starszym gościem, zwykłym emerytem, jak spora część jej klientów. Nazajutrz po tym wywiadzie w dzienniku zobaczyłem ją w katedrze. Przyszła wcześniej rano, usiadła przed Matką Boską z Dzieciątkiem. Czekala na mnie. Żądała dużej sumy. Potrzebowała pieniędzy. Chciała skończyć z prostytutką. Groziła, że wszystko ujawni, że pójdzie do prasy. Wyobraża sobie ksiądz, jaki wywołałaby skandal? Jaki cień rzuciłoby to na katedrę?

– Co jej ksiądz powiedział?

– Wpadłem w panikę. Kazałem jej wracać do domu, powiedziałem, żeby więcej mnie nie nachodziła. Przyomniałem, że nie ma żadnych dowodów, i zagroziłem, że zadzwonię na policję.

– Co ona na to?

– Nic. Popatrzyła na mnie i wyszła. Wypatrywałem jej następnego dnia i kolejnego, ale się nie pojawiła.

– Aż do ostatniej niedzieli.

– W końcu wmówiłem sobie, że dała mi spokój. Kiedy zobaczyłem, jak idzie obok procesji w tym wyzywającym stroju, zrozumiałem, że jest zdolna do wszystkiego. I że prędzej czy później spełni swoje pogroźki. Był tam ksiądz i też ją widział.

– Wszyscy widzieli, księżę rektorze.

– I tu się na pewno zgadzamy: nie przyszła, żeby oddać cześć Matce Boskiej. Przyszła do mnie. Żeby mnie szantażować. Żeby zaskłodzić mnie, a przy okazji całej katedrze. Prosiłem Murada, żeby odsunął ją od procesji, ale nie zdążył.

– W pewnym sensie wyreczył księdza Thibault, prawda?

– Potrakowałem to jak znak Rozumie ksiądz, on wyglądał jak anioł: taki niewinny, taki błady, jasnowłosy. Słyszałem, jak mówi do tej dziewczyny, radzi, by wzięła przykład z Marii Panny, żeby odtworzyła sobie dziewictwo. Widziałem, jak chwycił ją za włosy i spoliczkował. Pomyślałem wtedy: dzięki Ci, Mario Panno, nie opuściłaś mnie.

– Ale Luna wróciła, pojawiła się na wieczornej mszy.

– Tak Usiadła w pierwszym rzędzie. Założyła nogę na nogę, tak wulgarnie, wyzywająco. Tylko niech mi ksiądz nie mówi, że jej nie zauważył. Wszyscy koncelebransi na nią patrzyli. Każdy w pewnym momencie się na nią gapił. A ona przez całe nabożeństwo nie odrywała ode mnie oczu. Ta dziwka była dość zepsuta, by przystąpić do komunii. Ona, przede mną i przed Panem Bogiem... Widząc moje wzburzenie, nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechów. Wtedy zrozumiałem. Wiedziałem już, że muszę działać.

– Działać?

– Tak, François, ma ksiądz rację. Właśnie wtedy wyznaczyłem jej spotkanie. Udzielając jej komunii. Powiedziałem, że mam dla niej pieniądze i że pragnę załatwić to dyskretnie późnym wieczorem. Podałem jej szyfr do furtki przy rue du Cloître. A potem...

– Co potem?...

– Potem podałem jej eucharystię. Wsunąłem hostię do jej ust. Musnąłem palcami jej usta. Poczulem zapach jej perfum. Spojrzałem na jej szyję. To wszystko, François.

De Bracy zwiesił głowę i zamilkł.

– Nie, księżę rektorze, to nie wszystko. Czas wyznać, co się stało później, co wydarzyło się dwie godziny po mszy.

Starzec zdawał się szperać w pamięci, jakby nie rozumiał, czego dotyczy aluzja ojca Kerna.

– Zaczekał ksiądz do końca mszy, do zamknięcia katedry, wyjścia biskupa, wszystkich księży, a wreszcie zakrystiana. Potem katedrę znowu otwarto i zaczęła się projekcja filmu. Jednak znaczna część świątyni była zamknięta dla obecnych. Miał ksiądz swobodę działania. Wystarczyło wziąć wiszące z zakrystii klucze i podejść do bocznych drzwi za amboną prowadzących do ogrodu. Luna przy szła o ustalonej godzinie, prawda?

– Tak, około dwudziestej drugiej. Wprowadziłem ją do skarbcza. Po mszy srebrna figura Matki Boskiej została odstawiona na miejsce. Drzwi były zamknięte i wiedziałem, że porządkowy nie zajrzy tu podczas wieczornego obchodu. Nikt nie mógł nam przeszkodzić.

– I co wtedy się stało?

– Dramat. Potworny wypadek.

– A dokładniej?

– Powiedziałem jej, że nie mam pieniędzy. Że musi poczekać jeszcze kilka dni. Domyślasz się, że improwizowałem. Nie miałem pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dziewczyna zaczęła mi grozić, chciała mnie uderzyć, zaczęła krzyczeć. Na Boga, François, błagam, niech mi ksiądz uwierzy, naprawdę próbowałem ją tylko uciszyć. Za ekranem w nawie katedry zebrały się tysiące widzów, chyba rozumiesz. Zatkalem jej usta rękami, ale szarpała się jak opętana, miała diabła za skórą. Dlatego przycisnąłem trochę mocniej, żeby ją uciszyć, potem jeszcze mocniej, aż w końcu upadła na posadzkę i już się nie ruszała. Myślałem, że umrę. Nie mogłem oddychać. Zabiłem ją, rozumie ksiądz, kto by jednak uwierzył, że to się stało przypadkowo?

– Właśnie. Kto?

– Uciekłem. Wpadłem w panikę. Zostawiłem ją w tym skarbczu u stóp srebrnego posągu Matki Boskiej. Wróciłem do siebie. Płakałem. Długo. I modliłem się do Boga, także długo. Do późnej nocy. Próbowałem to wszystko ogarnąć. Czy powinienem się przyznać? Zgłosić potworny wypadek, za który ta dziewczyna ponosiła przecież częściową odpowiedzialność? Taki skandal w katedrze... François, niech ksiądz sobie wyobrazi triumf wrogów wiary... Straszliwy cios dla Notre-Dame... Rozumie ksiądz?

– Doskonale rozumiem, księżę rektorze.

– Wstydzę się tego, co zrobiłem potem. Przypomniałem sobie o incydencie, do którego doszło podczas procesji. Pomyślałem o jasnowłosym aniele, o jego słowach o Marii Pannie

i dziewictwie, które wyrzył się dziewczynie prosto w twarz. I wtedy, w środku nocy, zszedłem na dół. Bezszelestnie minąłem pokój stróża. Usłyszałem jego chrapanie. Wziąłem pęk kluczy. Opuściłem prezbiterium i wróciłem do skarbcza. Wciąż tam leżała, tak jak ją zostawiłem. Oczywiście nie miałem jak pozbyć się ciała z katedry. W środku lata na bulwarach nad Sekwaną, na dziedzińcu i wszędzie wokół pełno jest młodzieży, która przez całą noc toczy rozmowy, słucha tej piekielnej muzyki, brzdąka na gitarach... I tak aż do świtu. Nie da się tu zmrzyć oka. Moją jedyną szansą było poświęcenie tego jasnowłosego chłopaka. Obarczenie go odpowiedzialnością za tę śmierć. Wziąłem dziewczynę na ręce i uniosłem jej zwłoki, zabrałem je do kaplicy Matki Boskiej Bolesnej. Wyjąłem świecę, która jeszcze się paliła. Podwinąłem spódnicę dziewczyny i zrobiłem, co miałem zrobić. Przywróciłem jej dziewictwo za pomocą kilku kropli wosku. Potem posadziłem ją na ławce zwróconą ku wschodzącemu słońcu i zostawiłem, aby czekała na otwarcie katedry.

– I liczył ksiądz, że uda mu się jakoś wywinąć?

To pytanie chyba zaskoczyło rektora.

– Przecież mi się udało. François, policja niczego nie podejrzewa. A jeśli chodzi o prokuraturę, wystarczył jeden telefon do ministra, żeby wszystko zrozumiał.

– Wszystko, czyli co? Co mu ksiądz powiedział, że tak szybko wysciszył tę sprawę?

– Prawdę mówiąc, niewiele. Zadzwoniłem do niego zaraz po odnalezieniu ciała. Rozmawialiśmy półsłówkami. Dałem mu do zrozumienia, że za priorytet należy uznać przywrócenie spokoju i uniknięcie skandalu, który zaszkodziłby katedrze. Uciszenie mediów, które na pewno pilnie śledziłyby sprawę. Dziennikarze już krążyli wokół Notre-Dame jak sępy.

– Ale nie wspomniał ksiądz o swoim udziale w tym zabójstwie?

– A po co? Oczywiście, że nie.

– To on powierzył sprawę Claire Kauffmann?

– Niedoświadczonej podrzędnej urzędniczce, której problemy w relacjach z mężczyznami są znane. Uznała to śledztwo za prywatną krucjatę. Dorzucmy do tego łut szczęścia: tego dnia dyżur pełnił komendant Landard, najgorszy glina w Paryżu... W ciągu dwudziestu czterech godzin dopadli podejrzanego. Nazajutrz chłopak już nie żył. Zanim ta mała ladacznica spoczęła w grobie, sprawa została zamknięta.

– A minister przyczynił się do wprowadzenia w błąd organów ścigania...

– Ale uczynił to w dobrej wierze, François. Prawdę znamy tylko my dwaj. Minister jest przede wszystkim sługą bożym. Służba państwu to drugorzędny obowiązek

– Świetne zagranie. Ma ksiądz powody do dumy.

– Niewłaściwie do tego ksiądz podchodzi. Kierowałem się przede wszystkim interesem katedry. Wszystko zaczęło się od mojego grzeszku, przyznaję. Któż jednak mógł przewidzieć tę odrażającą próbę szantażu?

– A zatem uważa się ksiądz za ofiarę?

– Nie posuwałem się tak daleko. Uznajmy, że udało się ocalić to, co najważniejsze: honor tego kościoła. Przynajmniej raz wymiar sprawiedliwości stanął po naszej stronie. Jeśli chodzi o media, to powoli się uspokajają. Pozostaje jeszcze ksiądz, ale wiem, że mogę liczyć na księdza dyskrecję, François.

– Słucham?!

– Nie przesyłał się ksiądz. Ksiądz również jest żołnierzem Boga, obaj walczyliśmy po tej samej stronie. A teraz niech mi ksiądz udzieli rozgrzeszenia i nie mówmy więcej o tej ponurej sprawie.

– Jak ksiądz chce zmusić mnie do dochowania tajemnicy po tym, cośmy tu sobie powiedzieli?

– Chyba zapomniał ksiądz, gdzie się znajdujemy. To, co księdzu wyznałem, jest objęte tajemnicą spowiedzi. Podzieliłem się z księdzem tą tajemnicą, aby poddać się sądowi Boga

i błagać Go o wybaczenie. Nie jest ksiądz ani prokuratorem, ani policjantem, tylko kapłanem. Czy naprawdę muszę księdzu o tym przypominać? Zdradzając to, co stało się księdza tajemnicą, zlamalby ksiądz swoje śluby. No, ojcze, dajże mi to rozgrzeszenie.

A zatem o to chodziło rektorowi. Podczas tej spowiedzi ojciec Kern naiwnie wierzył, że to on rozdaje karty. W rzeczywistości dał się po prostu zmanipulować. Tą rozmową od początku do końca kierował de Bracy. Spowiednik znalazł się w ślepym zaułku.

– Nie udzielię księdzu rozgrzeszenia, a to z bardzo prostego powodu. Kłamałeś, synu. Ta spowiedź nie była szczera, nie dostrzegam też skruchy.

– Szczera? A cóż to za wymysły? Powiedziałem prawdę. Może wydaje się księdzu odrażająca i niemoralna, ale to nie zmienia faktu, że każde słowo jest prawdą. Co ksiądz sobie wyobraża? Że prawda zawsze jest czysta i nieskalana, otoczona świetlistą aureolą? Niechże ksiądz nie udaje takiego świętoszka. Wystarczająco często odwiedzał ksiądz więzienie, żeby wiedzieć, że to, co jest prawdą, nie musi być czyste, a francuskie więzienia pełne są ofiar pomylek sądownictwa.

Ojciec Kern toczył wewnętrzną walkę, by nie dać się złamać.

– Nie udzielię księdzu rozgrzeszenia, ponieważ śmierć Luny Hamache nie była przypadkowa. Wręcz przeciwnie, dopuścił się ksiądz zbrodni z premedytacją.

Rektor rzucił mu gniewne spojrzenie i wtedy po raz pierwszy, odłód siedzieli razem w słoju, Kern poczuł, że zdołał skruszyć pancierz przeciwnika. Nie zamierzał teraz dawać mu czasu na odzyskanie przewagi.

– Tamtego wieczoru w sali skarbcza ksiądz rzucił się na ofiarę nie tylko po to, żeby ją uciszyć. Czy zdołała wypowiedzieć choć słowo? Ani na moment nie uległ ksiądz panice. Wręcz przeciwnie. Wszystko, co się wówczas wydarzyło, było dokładnie przemysłane.

– To groteskowe.

– Biorąc z zakrystii klucze tuż przed wypuszczeniem Luny bocznymi drzwiami, zadbał ksiądz, by schować do kieszeni jeszcze coś.

– Czyżby? A co takiego ukryłem w kieszeni? No słucham, skoro ksiądz taki bystry.

– Parę gumowych rękawiczek. Takich, których zakrystian używa do czyszczenia sreber. Na nieszczęście Gérard uwielbia narzucać. Opowiadał o swoim problemie całej katedrze. W poniedziałek rano przed mszą, zanim zbrodnia wyszła na jaw, kłął przez okrągłą godzinę. Nie mógł znaleźć swojego bezcennego pudełka z rękawiczkami, domyśla się ksiądz. Tymi, których ksiądz użył, żeby nie zostawić śladów na szyi Luny.

– Kompletny absurd. Oskarża mnie ksiądz o morderstwo!

– Tak, księżo rektorze. I stanie ksiądz przed sądem. Przed godziną rozmawiałem z zastępcą prokuratora Claire Kauffmann. Powiedziałem, że musimy się spotkać. Będzie tu za kilka minut i o wszystkim się dowie. Nic mnie nie powstrzyma.

– Czyżby? Naprawdę ksiądz wierzy, że pozwolę mu w jednej chwili zniszczyć dzieło całego życia?

Wsunął rękę pod marynarkę i wyciągnął broń, stary sfatygowany pistolet, który wycelował w Kerna.

– Wstawaj, François. Pójdziesz przodem, ja będę tuż za tobą. Bardzo blisko. Radzę ci o tym pamiętać.

Wsunął pistolet do kieszeni i otworzył przed małym księdzem drzwi. Ta sytuacja była groteskowa. Nierzeczywista. Absurdalna. Szacowny starzec, człowiek, który większą część życia poświęcił Bogu i piął się po szczeblach hierarchii kościelnej, kończył swą drogę z bronią w ręku. Co gorsza twierdził, że robi to, kierując się wiarą. Kern pomyślał: „Wygrałem tę partię, poznałem prawdę, ale to on odniesie zwycięstwo, bo ma siłę – trzyma w ręku pistolet. W dodatku ten morderca jest duchownym”.

Granica między dobrem a złem uległa przesunięciu. To był niedostrzegalny ruch, o którym nie wiedział nikt oprócz Kerna, zmiana spowodowana przez człowieka, jednego spośród tak wielu, którzy oddali swe życie Bogu. Ten sługa boży postanowił jednak przejść na drugą stronę – stronę mrocznych mocy. Dla Kerna to minimalne przesunięcie granicy było prawdziwym trzęsieniem ziemi. Przypomniał sobie rozmowę sprzed zaledwie dwudziestu czterech godzin w biurze Claire Kauffmann, w uszach zabrzmiały mu słowa młodej urzędniczki. „Nie pytamy, czy jakaś decyzja jest moralna, ale czy jest zgodna z prawem”. Rektor de Bracy pogodził prawo z religią, a dokonał tego, nurząc jedno i drugie w kloace.

– Idź, François. I nie próbuj robić żadnych głupstw.

Kern skupił się, szukając w sobie Boga, zwracając się do niego, próbując nawiązać z nim kontakt, spowodować reakcję, bo nade wszystko pragnął zrozumieć, dokładnie zrozumieć. Jednak tym razem odpowiedź na jego pytania była oczywista, można ją było ująć w jednym prostym słowie: umrze. Nadeszła pora, by mały ksiądz, jak radzą czasem zabójcy pod koniec powieści kryminalnych, zaczął się modlić.

Przebijali się przez gęsty o tej porze dnia tłum. Rektor przywitał skłineniem głowy kilka bigotek kłęczących w nawie. Jedna z kobiet poderwała się i podbiegła, by pocałować go w rękę, ceremonialnie się kłaniając. Podał jej wolną dłoń. W drugiej trzymał ukryty w kieszeni pistolet, którego lufa niemal dotykała Kerna. Poszli w kierunku południa, przez transept, minęli Matkę Boską z Dzieciątkiem, potem zniknęli w obejściu chóru. Kilka metrów przed zakrętem, w pobliżu tablicy upamiętniającej rozpoczęcie budowy katedry w roku 1163, de Bracy położył rękę na ramieniu Kerna.

– Drzwi po prawej. Otwórz je, François.

– Są zamknięte na klucz.

– Są otwarte. Sprawdziłem, zanim do Ciebie przyszedłem.

– O wszystkim ksiądz pomyślał.

Za drzwiami znajdowały się kręte schody prowadzące na wewnętrzny balkon. Kiedy tam dotarli, zatrzymali się, a rektor, który ciężko dyszał, musiał oprzeć się o ścianę.

– Boże, nie powinienem był palić tego papierosa... Po tylu latach abstynencji... Jestem już na to za stary.

Wyjął broń z kieszeni i unosząc lufę, nakazał Kernowi iść w górę. Wydawało się, że spiralne schody wiją się bez końca ku szczytom Notre-Dame. Za plecami ksiądz słyszał oddech rektora – z każdym stopniem bardziej chrapliwy, cięższy. Wreszcie znaleźli się na zewnątrz, na poziomie wąskiej galerii, która otaczała dach. Zaledwie kilka metrów dalej wznosiła się wieża Viollet-le-Duca. Było tu gorąco jak w piekarniku, bo ołowiane dachówki nagrzewały się od wczesnego ranka. Poniżej Kern widział strzeliste łuki wyciągające się w dół jak odnóża pająka, a pod nimi, w ogrodach i na bulwarach, maleńkie sylwetki turystów, z których wielu zadzierało głowy, żeby podziwiać majestat katedry. Dwaj kapłani znajdowali się czterdzieści metrów nad ziemią.

– Nie masz po co się rozglądać, François. Nikt nas tu nie zobaczy. Dach zasłania to miejsce przed spojrzeniami turystów, którzy wspięli się na wieżę. A dla tych z dołu jesteśmy ledwie punkcikami zagubionymi pośród kamienia i gargulców. Może ktoś zauważy, jak wykonujesz swój anielski skok, ale wtedy będzie już za późno.

– Skok? Takі koniec ksiądz dla mnie zaplanował?

– Tak, samobójstwo. Tym razem także zainspirował mnie jasnowłosy anioł. Ten chłopak to istny dar nieba.

– A pobudki tego czynu? Śmierć Luni? Wątpliwości, jakie wzbudził we mnie sposób prowadzenia śledztwa? Utrata wiary? Tylko kto w to uwierzy?

– Dajże spokój, François, przecież wszyscy wiedzą o bolesnych atakach choroby. Wszyscy

wiedzą, że stały się trudne do zniesienia. Dorzucimy do tego historii twojego brata. Samobójstwo w więzieniu, twoja bezsilność, niemożność ocalenia go przed śmiercią. Owszem, François, wiem o wszystkim, chociaż ty zawsze byleś taki skryty. To także korzyść, jaką przymoszą mi znajomości w ministerstwie. Ile to już lat? Dwadzieścia, trzydzieści? Ale nie da się zapomnieć takiego dramatu, prawda, François? Są takie wspomnienia, których nasza zawodna pamięć nigdy nie gubi... Przeciwnie, z każdym rokiem przypominamy sobie więcej szczegółów, widzimy wszystko coraz wyraźniej, aż przekroczymy granicę, za którą zaczynają się tortury. Bóg mi świadkiem, doświadczyłem tego na własnej skórze. Nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem, François.

– Tak, pamięć... Bo przecież nie przypadkiem gustował ksiądz właśnie w dziewczętach, które wywozili się z Maghrebu, prawda?

– Każdy z nas dźwiga ciężar swych grzechów tak, jak potrafi. Jeśli chodzi o mnie, to od bardzo dawna noszę brzemień grzechu śmiertelnego, wręcz pierwotnego: grzechu całego narodu. Usiłowałem uspokoić sumienie, wybierając życie poświęcone modlitwie, godne szacunku. Ale odkupienie jest niemożliwe. Coś ci powiem: pamięć, której nie da się wymazać, jest pamięć ciała. Bo ciało, właśnie ono, nigdy nie zapomina.

I znów wyceLOWAŁ w Kerna.

– Nie skocz. Będzie ksiądz musiał strzelić. A detonację usłyszy cały Paryż.

De Bracy uśmiechnął się ironicznie. Wysunął magazynek pistoletu, a potem znowu go włożył. Zamek trzasnął.

– Nie jest nawet naładowany. Nie posługiwałem się tą bronią od przeszło pięćdziesięciu lat.

Odłożył pistolet na kamienną balustradę.

– Wyciągnąłem go z szuflady. Pomyślałem, że dzięki niemu zdołam cię zastraszyć. Strach, François. Powszechne uczucie strachu na widok broni. Ten strach, który w jednej chwili rozstrzyga o tym, kto jest niewolnikiem, a kto panem. To strach kazał ci wspinać się na szczyt katedry bez słowa sprzeciwu, bez szukania pomocy w tłumie, który nas otaczał. Byłem sam, a przeciw mnie rzesze. Powtarzam, to strach. I strach sprawi, że posłuchasz i skoczysz. Strach przed śmiercią, François.

Zanurzył rękę w kieszeni marynarki, sięgając po dodatkowy środek perswazji. Powoli, z maniakalną dokładnością, jaką czasem przejawiają starcy, nałożył gumowe rękawiczki, być może te same, których użył, by na zawsze uciszyć Lunę.

– Nie opieraj się, François. To i tak nic nie da. Ważę dwa razy więcej niż ty. Lepiej uświadom sobie, że dzięki swojej ofierze ocalisz katedrę Notre-Dame przed hańbą.

I zdumiewająco silnymi jak na starca rękami otoczył Kerna. Mały ksiądz poczuł, że jego nogi odrywają się od podłoża. Opór rzeczywiście nie miał sensu. W rękach de Bracy'ego był jak bezwładny pajacyk. Rektor zbliżał się do przepaści. Oddychał coraz szybciej. Lada chwila miał zepchnąć przeciwnika w dół. Kern zamknął oczy, myśląc o swoim bracie.

– Ani kroku dalej! A teraz, dziadku, puść księdza i pozwól mu odejść!

Ten głos rozległ się za nimi. Kern poczuł, że rektor się zatrzymał. Otworzył oczy i ujrzał na galerii porucznika Gombrowicza. Policjant oburącz trzymał wycelowany w nich pistolet. Kern poczuł, że ucisk obejmujących go ramion ustępuje, jakby ciało rektora, które dotąd wydawało mu się twarde jak kamień, nagle zwiotczało. Ksiądz zsunął się na kamień. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa, więc przeszedł kilka kroków, oddalając się od przepaści i docierając w bezpieczne miejsce.

– Dobra, dziadku! A teraz rączki do góry! Czekaj spokojnie, aż podejść.

Lewą ręką Gombrowicz wyciągnął kajdanki. Usta księdza rektora de Bracy'ego drżały. Szeptał:

– Ciało... Ciało...

I z niezdarnością starca, którego dni są policzone, chwycił leżącą na balustradzie broń

i wyceLOWał w oficera. W tej samej chwili dwa sUrzały spłoszyły setki gołębi, które poderwały się do lotu. Książd de Bracy zachwiał się dopiero po drugim strzale, jakby jeden oLOWiany pocisk nie był w stanie powalić jego silnego ciała. Ugodzony drugim, cofnął się jeszcze o krok, na krótko przystanął oparty o balustradę, rzucił Kernowi puste, jakby martwe spojrzenie, a potem przechylił się w tył i runął w przepaść.

Zawieszony w powietrzu patrzył na przesuWające się postrzępione pejzaże Kabylii. Sikorsky przyleciał, żeby przetransportować ich do bazy. Zostawił za sobą pŁonąCą wioskę i płaczącego dziadka. Przesuwane drzwi helikoptera były otwarte. Warkot silnika i szum powietrza poruszanego wirnikami uniemożliwiał rozmowę. Turbulencje powodowane przez rotor wypychały do kabiny potężne podmuchy. Rozwarł prawą rękę i wysunął ją na zewnątrz, udając, że chwyta wiatr. Nie pomogło. Nie mógł się uwolnić od poczucia, że pistolet, który niedawno trzymał w ręce, wciąż tak potwornie go parzy. Chropowata rękonojeść, białawy ślad, jaki spust zostawił między paliczkami palca wskazującego, wstrząs wystrzału odczuwalny aż po łokieć – to wszystko wpisało się w pamięć jego ciała, gdy padł strzał. Dziewczyna była martwa. Wpakował jej kulę prosto w głowę. Strzelił, ponieważ nie mógł już znieść nie jej krzyków, ale właśnie milczenia. Nie mógł dłużej patrzeć, jak z palcami opartymi o to klepisko w chacie, podobna do szmacianej lalki o nieruchomych jak u trupa wywróconych do góry oczach, beczynn timer pozwala żołnierzom bawić się swoim ciałem. Zastrzelił ją, żeby położyć kres bezgłośnemu wyciu, które wydobywało się z jej szeroko otwartych ust. W porównaniu z tym krzykiem rytmiczny warkot helikoptera wydawał się łagodny i kojący.

Wiedział, że z głębi kabiny obserwuje go sierżant. Czuł, jak spojrzenie podwładnego ślizga się po jego karku i plecach. Po powrocie będą musieli uzgodnić treść raportu, który trzeba napisać. Zamknie się w kilku słowach: zadanie wypełnione zgodnie z rozkazem. Pod nimi złoży podpis, poda stopień i nazwisko: podporucznik Hugues de Bracy.

Sierżant i on wrócą do swoich ludzi. Razem wypiją piwo. Będą gadali o futach. Będą mówili o Francji. Będą mówili o swoich rodzicach, o siostrach. A ci, którzy nie są sami, będą mówili o narzeczonych i o żonach, które zostały w kraju. Będą mówili o wszystkim, byle nie o tym, co wydarzyło się dzisiejszego ranka. Potem, wieczorem, kiedy zrobi się już zupełnie ciemno, kiedy alkohol porządnie wymiesza się z krwią, wybiorą się na tył ciężarówki, która pełni funkcję obozowego burdelu wojskowego. Zrobią to właściwie tylko po to, żeby się upewnić, że wciąż jeszcze są prawdziwymi żołnierzami, dzielnymi, walecznymi. Że są prawdziwymi mężczyznami. Niewykluczone, że tym razem młody podporucznik przyłączy się do reszty oddziału. Tylko raz, po pijanemu, żeby uciszyć ten lęk, który skręca mu trzewia i ściska odbytnicę. Tylko ten jeden raz. Wykorzystać wycieńczone ciało jakieś miejscowej biedaczki, żeby zdusić lęk, który miazdży mu jądra. Jeden jedyny raz. Potem będzie noc, sen, zapomnienie i nowy dzień. Dzień, który położy kres temu, co się stało. Konflikt zakończy się w ten czy inny sposób, a on będzie mógł wreszcie wrócić do Francji. Zrzucić mundur. Może przysporzy zmartwień ojcu, pułkownikowi lotnictwa. Zamilknie, nigdy nie wspomni o przeszłości, o młodości skalanej w armii. Wybierze życie, które pozwoli mu oczyścić się z ohydny wojny.

Tymczasem jednak helikopter wciąż leciał w głąb lądu. Podporucznik cofnął rękę, nie chciał dłużej wystawiać jej na pęd wiatru. Przez chwilę przypatrywał się leżącej na udzie dłoni, a potem jak dziecko idące do pierwszej komunii albo mały ministrant złożył ręce do modlitwy.

Po raz drugi w ciągu tygodnia turyści i wierni musieli opuścić katedrę, ustępując miejsca policjantom. Tym razem policja pojawiła się także na zewnątrz, a dokładnie – u podnóża

południowej ściany, śląd trzeba było zabrać zwłoki rektora.

Wewnątrz niziutki ksiądz ubrany jak do mszy siedział sam, zagubiony w tej ogromnej nawie, pośród setek pustych krzeseł. Ktoś – ojciec Kern nie pamiętał dokładnie kto – wpadł na idiotyczny pomysł, żeby w połowie upalnego sierpnia okryć go kocem termicznym. Nie miał siły sprzeciwić się temu komuś. Toteż lśnił teraz srebrnym blaskiem w coraz głębszym przedwiecznym mroku. Na sąsiednim krześle usiadła młoda kobieta.

– Nie za gorąco ojcu w tym kocu na plecach?

– Potwornie gorąco.

Delikatna jak matka Claire Kauffmann ściągnęła z niego aluminiową folię. Kern ledwie drgnął, pogrążony w zadumie.

– Wierzy pani w Boga?

– Nie, ojczu, przykro mi, ale nie.

– Proszę nie przeproszać. Widzi pani, prawdziwa granica nie dzieli wierzących od niewierzących, chrześcijan od żydów czy muzułmanów. Prawdziwa linia frontu to ta, która dzieli gołębie od sokołów.

– Tych, którzy pragną pokoju...

– Od tych, którzy chcą wojny.

– Niech mi ksiądz nie mówi, że ta sprawa zachwiała jego wiarą?

– A co pani mi powie, Claire?

– Ja?

– Czy przez tę sprawę nie utraciła pani wiary w sprawiedliwość?

Milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Sama nie wiem. Moje poglądy zdecydowanie się zmieniły. W pewnym sensie uczyniłam krok w stronę księdza.

– W moją stronę?

– Dając ojcu dostęp do akt sprawy Notre-Dame, złamałam obowiązujące mnie zasady zawodowe. Wie ksiądz o tym. To, co zrobiłam, jest absolutnie niezgodne z prawem. Nielegalne, jednak niekoniecznie niemoralne.

Kern nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Dlaczego się ojciec uśmiecha?

– Myślę, że nasze drogi się skrzyżowały. Muszę wyznać, że przez moment byłem bliski złamania ślubów. Przypuszczam, że była to cena, jaką musiałem zapłacić za poznanie nazwiska mordercy. Poza tym wielokrotnie kłamałem. To wszystko było niezbyt moralne. Można więc powiedzieć, że trochę poplamilem sobie sutannę. Ale dzięki temu sprawiedliwość ma się nieco lepiej.

Po tych słowach uśmiech pojawił się na twarzy Claire Kauffmann.

– Ojczu, sądzę, że oboje umocniliśmy się w wyznawanej wierze, mimo że naruszyliśmy pewne zasady. A może właśnie dzięki temu, że je naruszyliśmy.

– Co pani teraz zamierza?

– Zafundować sobie wakacje. Zająć się trochę sobą. Wydaje mi się, że tego właśnie potrzebuję. Wyjadę na kilka dni do przyjaciółki. Mieszka we Włoszech, pod Ankoną.

– Pod Ankoną? To przecież nad Adriatykiem, tak?

– Zgadza się. Moje ciało domaga się kąpieli morskich. Postanowiłam sprawić mu tę przyjemność.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, rozkoszując się ciszą, a mijające w spokoju sekundy pozwalały im docenić kojącą bliskość człowieka, który rozumie, co czuje ten drugi.

Kern pierwszy wyrwał się z tego letargu.

– A co z porucznikiem Gombrowiczem? Jeszcze tu jest?

– Tak, w zakrystii. O ile wiem, siedzi tam i pije kawę. Czeka na nas, żebyśmy mogli porozmawiać we trójkę.

– Widziała się pani z nim? Jaki się czuje?

– Drżą mu ręce. Nie może nad tym zapanować. Zabił dziś człowieka.

– Wie pani, że uratował mi życie? Gdyby nie on, byłoby po mnie.

– Wiem, opowiadał mi o tym.

– Chciałbym się z nim zobaczyć, pomówić, zapytać, co robił w katedrze i dlaczego poszedł za mną i za rektorem na dach.

– Sam to księdzu wyjaśni. Wydaje mi się, że porucznik uświadomił sobie, że jest dobrym policjantem. Jeśli już czuje się ojciec lepiej, możemy do niego pójść. Macie sobie przecież sporo do powiedzenia.

– Wie pani, że on uratował mi życie?

– Tak, wiem, już mi to ojciec mówił.

Wstali i ruszyli śródkiem nawy głównej. Kern niemal natychmiast przystanął, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Poruszył palcami, obracał ręce w nadgarstkach. Claire Kauffmann zmarszczyła brwi, obserwując go. Mały ksiądz zdawał się na nowo poznawać swoje ciało, zupełnie jak dziecko w kołysce.

– Wszystko w porządku, ojcze?

– Wie pani, która godzina?

– Dochodzi szósta. Dlaczego ojciec pyta?

– Już szósta. Szósta wieczorem, a ja nie czuję bólu... To nadzwyczajne... Jakbym się uwolnił...

Zamilkł, jego twarz przybrała dziecinny wyraz, co zaskoczyło Claire. Ruszył dziwnie lekkim, prężnym krokiem. Teraz wyprzedzał młodą kobietę. Za kolumną zauważył staruszkę. Była sama, zdawała się czekać na rozpoczęcie mszy. Trzymała obie ręce na oparciu krzesła, które stało przed nią, a na głowie miała kapelusz z kwiatami. Ojciec Kern ciężko westchnął.

– Czy zechciałaby pani powiedzieć tej staruszce, że powinna opuścić katedrę? W przeciwnym razie biedaczka spędzi tu całą noc.

– To ja poprosiłam, żeby została.

– Pani?

– Żyje ksiądz tylko dzięki tej pani, która siedzi teraz w pustej katedrze.

– Pani Sin...?

– Tak, właśnie dzięki niej. W pewnym sensie od początku znała całą prawdę.

– Od początku?

– Dziesięć dni temu widziała Lunę Hamache rozmawiającą z de Bracym. Dziewczyna żądała pieniędzy. Staruszka widziała, jak biskup bez pardonowo ją odprawił. Siedziała tam gdzie zawsze. Od dziesięciu lat siada na tym krześle. Nikt jej już nie dostrzega, nikt nie zwraca na nią uwagi. Wszyscy traktują ją jak starą wariatkę. Stała się poniekąd elementem wystroju katedry, jednym z mebli. Ale nie jest meblem. Kiedy odnaleziono zwłoki Luny, ona jedna domyśliła się, że rektor ma z tym coś wspólnego.

– Boże... Ale dlaczego wcześniej nic nie powiedziała?

Claire Kauffmann rzuciła mu ironiczną spojrzenie.

– Ojcie, podejrzewam, że nigdy nie miała tu z kim rozmawiać. Tylko porucznik Gombrowicz chciał słuchać tego, co miała do powiedzenia.

Kern złapał się za głowę. Teraz sobie przypominał. Starania pani w kapeluszu z małami, jego wysiłki, żeby jakoś jej uniknąć. Gdyby wiedział... gdyby potrafił uważniej słuchać.

Obserwowała go zza filaru z charakterystycznym niepokojem w oczach. Siedziała nieruchomo na krześle. Przyjaźnie skinął jej ręką, a ona natychmiast odpowiedziała radosnym uśmiechem, który rozświetlił jej twarz.

– Ojczy, proszę... Niedługo będzie mógł ojciec z nią porozmawiać. Teraz chciałabym iść już do porucznika.

Kern skinął głową. Ruszyli w stronę zakrystii. Po drodze mijali Matkę Boską z Dzieciątkiem i tu Kern poprosił, by pani prokurator zostawiła go na chwilę samego. Przykłębął na schodku, a potem zamknął oczy i złożył ręce, modląc się. Jego usta szeptały słowa, których Claire Kauffmann nie mogła usłyszeć z takiej odległości. Ojciec Kern zwrócił oczy na kamienną Madonnę. Jej subtelna twarz odzyskała ten charakterystyczny spokój, a w wieczornym świetle, które wypełniło katedrę, wydawała się jeszcze bielsza niż zwykle.

[REDACTED]
1 GIGN – Grupa Interwencyjna Żandarmerii Narodowej (przy p. tłum.).

2 Inspection générale des Services, Inspekcja Generalna Służb, dziś połączona z Inspekcją Generalną Policji Narodowej, „policja w policji” (przy p. tłum.).